

# Tajemnicza wyspa, tom I





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JULIUSZ VERNE

# *Tajemnicza wyspa*

TEUM. J. PŁ.

# CZEŚĆ PIERWSZA. ROZBITKOWIE W POWIETRZU

## ROZDZIAŁ I

*Huragan w 1865 roku. — Głosy w powietrzu. — Balon porwany trąbą powietrzną. — Powłoka balonu pęka. — Wokół tylko morze. — Pięciu pasażerów. — Co się dzieje w koszu? — Łódź na horyzoncie. — Rozwiązanie dramatu.*

- Wznosimy się?
- Nie! Przeciwnie! Opuszczamy się!
- Gorzej, panie Cyrusie, spadamy!
- Na Boga! Wyrzucić balast!
- To już ostatni worek!
- Czy balon się wznosi?
- Nie!
- Słyszę jakby plusk fal!
- Pod nami morze!
- Nie więcej jak pięćset stóp<sup>1</sup> pod nami!

Wówczas w powietrzu rozległ się donośny głos:

- Wyrzucić wszelki ciężar!... Wszystko! I niech się dzieje wola boża!

Takie słowa zabrzmiały w powietrzu nad nieprzejrzanym pustkowiem wód Oceanu Spokojnego około godziny czwartej po południu dnia 23 marca 1865 roku.

Któż nie pamięta tego wściekłego wichru północno-wschodniego, który w owym roku rozszał się podczas zrównania dnia z nocą, kiedy barometr spadł do siedmiuset dziesięciu milimetrów?... Był to huragan, który trwał bez przerwy od 18 do 26 marca. Spowodował okropne spustoszenia w Ameryce, w Europie i Azji, ogarnąwszy pas o szerokości tysiąca osmiuset mil<sup>2</sup>, przebiegający skośnie do równika, od trzydziestego piątego stopnia szerokości północnej aż do czterdziestego stopnia szerokości południowej. Poburzone miasta, lasy powyrywane z korzeniami, brzegi spustoszone przez góry wód toczące się wściekłym pędem, powyrzucane na ląd statki, których setki liczyły wykazy Bureau Veritas<sup>3</sup>, całe okolice zrównane z ziemią przez trąby, które w swym pochodzie miażdżyły wszystko, tysiące trupów na lądzie, tysiące pochłoniętych przez morze: takie ślady swej wściekłości pozostawił po sobie ten straszliwy huragan. W klęskach przewyższył obydwa huragany, które spustoszyły tak okropnie Hawanę i Gwadelupę, pierwszy 25 października 1810 roku, drugi 26 lipca 1825 roku.

Otóż w tej samej chwili, kiedy tak straszne katastrofy miały miejsce na lądzie i na morzu, we wzburzonych przestworzach rozgrywał się równie groźny dramat.

W tym czasie pewien balon, niesiony jak piłka na grzbiecie trąby, porwany wirem powietrznym, przelatywał przestrzeń z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę<sup>4</sup>, kręcąc się dokoła własnej osi, jak gdyby nim miotał malstrom<sup>5</sup> powietrzny.

U spodu balonu, przymocowany linami, kołysał się kosz, w którym siedziało pięciu pasażerów, ledwie widocznych wśród gęstych oparów zmieszanych z kropelkami rozpylonej wody, sięgających aż do samej powierzchni oceanu.

Skąd się wziął ten balon, ta igraszka straszliwej burzy? Z którego końca świata wyleciał? Niemożliwe, żeby wystartował podczas trwania huraganu. Huragan zaś trwał już od pięciu dni, a pierwsze jego objawy wystąpiły 18 marca. Można by więc było sądzić, że

Żywioty,  
Niebezpieczeństwo

<sup>1</sup>stopa — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>mila — daw. jednostka długości o różnej wartości, w krajach anglosaskich mila lądowa wynosi ok. 1600 m, zaś mila morska ok. 1850 m. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Bureau Veritas — zał. w 1828 francuska firma rzeczoznawcza zajmująca się dostarczaniem ubezpieczycielom informacji potrzebnych do szacowania ryzyka, gł. jednostek pływających. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>90 mil na godzinę — tj. 46 metrów na sekundę albo 166 kilometrów na godzinę. [przypis autorski]

<sup>5</sup>malstrom — prąd morski o silnych wirach wywoływany pływami w fiordach północnej Norwegii. [przypis edytorski]

balon przybył z bardzo daleka, gdyż nie mógł w ciągu doby przelecieć co najmniej dwóch tysięcy mil.

W każdym razie pasażerowie byli pozbawieni sposobu obliczania drogi przebytej od chwili swego odlotu, brakowało im bowiem wszelkiego punktu odniesienia. Ponadto, co ciekawe, nie czuli nawet gwałtowności burzy, która nimi miotła. Nie czuli ani wiru, który nimi kręcił, ani pędu w kierunku poziomym! Nie byli w stanie przeniknąć wzrokiem gęstej mgły kłębiącej się pod nimi. Dokoła nie widzieli nic prócz mgły. Otaczające ich chmury były tak gęste, że nie mogli rozróżnić, czy to dzień, czy noc. Dopóki unosili się na większej wysokości, w tej ciemnej, głuchej nieskończoności nie mógł do nich dolecieć ani promień światła, ani żaden gwar z ziemi, ani szum oceanu. Dopiero nagle spadanie balonu uświadomiło im niebezpieczeństwo, jakie gotowały im huczące pod nimi bałwany morskie.

Tymczasem balon, opróżniony z ciężkich przedmiotów, jak amunicja, broń i zapasy żywności, wzniósł się znowu w wyższe warstwy atmosfery, do wysokości czterech i pół tysiąca stóp. Pasażerowie, przekonawszy się, że mają pod sobą morze, i wiedząc, że mniejsze niebezpieczeństwo grozi im u góry niż w dole, bez wahania wyrzucali z kosza najpotrzebniejsze przedmioty, żeby tylko nic nie utracić z gazu, tej duszy balonu, która ich unosiła ponad otchłanią morską.

Noc upłynęła wśród ciągłego niepokoju, który byłby w stanie przyprawić śmierć o ludzi obdarzonych mniejszym hartem i siłą ducha. Wreszcie zaświtał dzień, a z brzaskiem huragan zdawał się tracić nieco na gwałtowności. Tego dnia, 24 marca, można było zauważyć niektóre objawy przesilenia burzy. O świcie chmury stały się lżejsze i powróciły w wyższe regiony nieba. Po kilku godzinach trąba powietrzna wydeła się i załamała. Huragan zmienił się w silny wicher, prędkość warstw atmosferycznych zmniejszyła się o połowę. Był to nadal, jak powiadają marynarze francuscy, „wiatr na trzy refy<sup>6</sup>”, niemniej zamęt żywiołów znacznie się uspokoił.

Okolo godziny jedenastej niższe warstwy powietrza znacznie się oczyściły. Atmosfera wydzielala z siebie tę przezroczystą wilgoć, którą widać, a nawet czuć po przejściu każdego wielkiego zjawiska atmosferycznego. Nieprawdopodobne było, żeby huragan tylko przesuwał się dalej na zachód, zdawało się raczej, że zdusił się sam w sobie. Być może rozplynął się cały w kaskadzie elektrycznej po załamaniu trąby, jak to się zdarza czasem z tajfunami na Oceanie Indyjskim.

Ale w tym samym czasie dało się na nowo odczuć opadanie balonu, powolne, lecz ustawiczne, w niższe warstwy powietrza. Zdawało się nawet, że balon z wolna opróżnia się i że jego powłoka, rozszerzając się coraz bardziej, przechodzi z kształtu kulistego w owalny.

Okolo południa balon wznosił się już tylko dwa tysiące stóp nad powierzchnią morza. Cała jego pojemność wynosiła pięćdziesiąt tysięcy stóp sześciennych<sup>7</sup> i najwyraźniej dzięki temu mógł się przez długi czas utrzymywać w powietrzu, bądź wzbijając się wysoko, bądź też przesuując się w kierunku poziomym.

W tej chwili podróżni wyrzucili ostatnie przedmioty obciążające jeszcze kosz, chwytając tylko po kieszeniach niektóre drobniejsze narzędzia, a jeden z nich, wspiąwszy się na pierścień, gdzie zbiegały się liny siatki, usiłował mocniej związać rękaw balonu.

Było oczywiste, że podróżni nie mogli już dłużej utrzymać balonu w górnych warstwach atmosfery i że brakło im gazu.

Byli zatem zgubieni!

Jak daleko sięgał ich wzrok, nie widać było ani lądu, ani żadnej wyspy. Na całej przestrzeni nie było ani jednego punktu do lądowania, ani kawałka stałego gruntu, o który mogliby zaczepić kotwicę.

Dokoła nie było nic, tylko nieskończone morze, którego bałwany łamały się z niezwykłą gwałtownością. Bezgraniczny ocean, którego krańców nie mogli dostrzec, pomimo że ze swej wysokości obejmowali dokoła wzrokiem przestrzeń w promieniu czterdziestu mil. Była to równina wodna, bezlitośnie chłostana przez huragan, wyglądająca jak stado

Morze

<sup>6</sup>ref — dolna część żagla, o którą można zmniejszyć jego powierzchnię poprzez skrócenie wszytych w niego rzędami linek (reflinek), czyli refowanie; zwykle używano 2–3 rzędów reflinek, stąd „wiatr na trzy refy” to wiatr, przy jakim pływa się na maksymalnie zrefowanych żaglach. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>pięćdziesiąt tysięcy stóp sześciennych — okolo 1700 metrów sześciennych. [przypis autorski]

rozhułkanych rumaków ze śnieżystymi grzywami... Ani skrawka ziemi na horyzoncie, ani jednego statku!

Należało więc za wszelką ceną powstrzymać spadanie balonu, aby nie pochłonęły go fale morskie. Podróżni w koszu byli pochłonięci tą pilną sprawą. Lecz pomimo ich usiłowań balon spadał coraz niżej, a jednocześnie posuwał się z olbrzymią szybkością w kierunku, w który pchał go wicher, z północnego wschodu na południowy zachód.

Jakże straszna była sytuacja tych nieszczęsnych ludzi! Nie panowali już dłużej nad balonem. Ich wysiłki były bezskuteczne. Powłoka balonu wiotczała coraz bardziej. Gaz uchodził i nie było sposobu go powstrzymać. Tempo spadania wyraźnie rosło i około pierwszej po południu kosz znajdował się już tylko o sześćset stóp nad powierzchnią oceanu.

W istocie nie sposób było zapobiec ulatrywaniu gazu, który swobodnie wymykał się przez szczelinę w powłoce balonu.

Stopniowo opróżniając kosz ze wszystkich znajdujących się w nim przedmiotów, podróżni mogliby jeszcze przez kilka godzin utrzymać się w powietrzu. Lecz tym sposobem zdołano by tylko opóźnić nieuniknioną katastrofę, a jeśliby przed zapadnięciem nocy nie ukazał się jakiś ląd, podróżni wraz z koszem i balonem musieliby zginąć w morzu.

W tej chwili spróbowali ostatniego sposobu, jaki im jeszcze pozostał. Podróżni byli widać ludźmi niepospolitego męstwa, którzy umieją patrzeć śmierci w oczy. Z ust żadnego nie wyrwało się ani jedno słowo skargi. Byli zdecydowani walczyć do ostatniej chwili i użyć wszelkich sposobów, aby opóźnić swą zgubę. Kosz był rodzajem pudła z wikliny, nie mógł pływać i nie było możliwości utrzymania go na powierzchni fal, gdyby w nie wpadł.

O godzinie drugiej balon wznosił się już zaledwie czterysta stóp nad morzem.

W tej chwili rozległ się męski głos, głos człowieka, którego serce nie zna trwogi. Odpowiedziały mu inne, nie mniej mężne głosy.

— Wszystko już wyrzucone?

— Nie, jest jeszcze dziesięć tysięcy franków w złocie.

Ciężki worek natychmiast spadł w morze.

— Podnosi się balon?

— Trochę, lecz wkrótce spadnie znowu!

— Czy jest coś jeszcze do wyrzucenia?

— Nic!

— Jak to? A kosz?

— Złapmy się siatki! A kosz do morza!

Był to istotnie jedyny i ostatni sposób ulżenia balonowi. Odcięto sznury mocujące kosz do pierścienia i balon wzniósł się w górę o dwa tysiące stóp.

Pięciu podróżnych wspięło się po sznurach na wierzch pierścienia i uczepiwszy się siatki, spoglądało w otchłań.

Wiadomo, jak wrażliwe na zmianę obciążenia są balony. Wystarczy wyrzucić najlżejszy przedmiot, aby wywołać ruch w kierunku pionowym. Unoszący się w powietrzu balon zachowuje się jak niezwykle precyzyjna waga. Łatwo więc pojąć, że gdy pozbawia się go stosunkowo dużego ciężaru, znacznie i raptownie zmienia położenie. To samo stało się teraz.

Lecz pokołysawszy się zaledwie przez chwilę w wyższych rejonach, balon zaczął znowu spadać. Gaz wciąż ulatywał przez szparę, której nie można było naprawić.

Podróżni uczynili wszystko, co było w ich mocy. Odtąd już żadna ludzka siła nie mogła ich ocalić. Mogli liczyć już tylko na pomoc boską.

O czwartej balon oddalony był już tylko o pięćset stóp od powierzchni morza.

Nagle rozległo się głośnie szczekanie. Podróżnym towarzyszył pies, który uczepił się sznurów siatki tuż obok swego pana.

— Top coś zobaczył! — krzyknął jeden z podróżnych.

Zaraz potem donośny głos zawołał:

— Ziemia! Ziemia!

Balon, pędzony ustawicznie wichrem w kierunku południowo-wschodnim, przeleciał od świtu znaczną przestrzeń, liczącą setki mil, i w tym kierunku ukazał się dość wysoki kawałek ziemi.

Lecz ziemia ta była oddalona jeszcze o trzydzieści mil. Potrzeba było co najmniej dobrej godziny, aby do niej dolecieć, i to pod warunkiem, że nie nastąpiłaby żadna zmiana kursu. Całej godziny! Ale czy wcześniej nie uleci reszta gazu, która jeszcze pozostała w balonie?

Oto było straszne pytanie! Podróżni wyraźnie widzieli przed sobą ten stały punkt, do którego za wszelką ceną musieli dotrzeć. Nie wiedzieli, co to było, ląd stały czy też wyspa, bo nie wiedzieli, w jaką stronę świata zagnał ich huragan. Lecz czy to ziemia zamieszkała, czy nie, czy gościnnie ich przyjmie, czy nie — musieli do niej dotrzeć!...

O godzinie czwartej stało się oczywiste, że balon nie jest już w stanie dłużej utrzymać się w powietrzu. W przelocie muskał powierzchnię morza. Już grzbiety olbrzymich fal zmoczyły kilkakrotnie spód siatki, przez co stała się jeszcze cięższa i balon podnosił się już tylko w połowie, jak ptak z przestrzelonym skrzydłem.

W pół godziny potem ziemia była już tylko o milę, lecz balon, wyczerpany, zwiotczały, zmięty i pofałdowany, utrzymał jeszcze tylko odrobinę gazu w górnej części. Uczepieni siatki podróżni ciążyli mu już zanadto i wkrótce, na wpół zanurzeni w morzu, wystawieni byli na wściekłość morskich bałwanów. Powłoka balonu wydeła się jak olbrzymia półkuliasta kieszeń, a wiatr, dmąc w nią z tyłu, pędził balon niczym okręt po morzu. Może w ten sposób dotrze do brzegu!

Brakowało już tylko dwóch kabli<sup>8</sup>, gdy nagle równocześnie z czterech piersi wyrwały się straszliwe okrzyki. Balon, który jak się zdawało, nie mógł się już więcej podnieść, popchnięty naraz gwałtownie przez morskie bałwany, poderwał się niespodziewanie w górę. Jak gdyby w tej chwili pozbył się nowej części swojego ładunku, wzniósł się na wysokość pięciuset stóp i tutaj napotkał rodzaj powietrznego wiru, który zamiast popędzić go ku brzegowi, popchnął go w kierunku prawie równoległym. Wreszcie dwie minuty później zbliżył się ukośnie do lądu i upadł na piasek wybrzeża w miejscu, gdzie już nie sięgały fale morskie.

Podróżni, pomagając sobie nawzajem, wyplątali się z siatki. Balon, pozbywszy się reszty ciężaru, popędził dalej z wiatrem jak zraniony ptak, który na chwilę odzyskał życie, i zniknął w przestworzach.

W koszu było pięciu podróżnych i pies, a balon wyrzucił na brzeg tylko czterech.

Jeden z podróżnych musiał widocznie zostać porwany przez falę, która uderzyła w siatkę, i to zapewne sprawiło, że balon, pozbywszy się części swego ciężaru, wzniósł się raz jeszcze, a kilka minut później dotarł do brzegu.

Zaledwie czterej rozbitkowie — można ich tak nazwać — dotknęli stopą lądu, gdy wtem, spostrzegłszy stratę towarzysza, wszyscy zawołali:

— Może usiłuje dostać się wpław! Ratujmy go! Ratujmy!

## ROZDZIAŁ II

*Epizod z wojny secesyjnej. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Marynarz Pencroff. — Młody Harbert. — Niespodziewana propozycja. — Spotkanie o godzinie dziesiątej wieczorem. — Odlot podczas burzy.*

Ludzie, których huragan wyrzucił na to wybrzeże, nie byli ani zawodowymi aeronautami<sup>9</sup>, ani miłośnikami wypraw powietrznych. Byli to jeńcy wojenni, których odwaga popchnęła do ucieczki z niewoli w tak niezwykłych okolicznościach. Sto razy wystawieni byli na niechybną śmierć! Sto razy rozdarty balon powinien był pogrążyć ich w otchłani morskiej! Ale niebiosa przeznaczyły im dziwny los i po ucieczce w dniu 20 marca z miasta Richmond<sup>10</sup>, oblężonego przez wojska generała Ulyssesa Granta<sup>11</sup>, znaleźli się

<sup>8</sup>kabel — jednostka odległości stosowana w nawigacji; tu: kabel amerykański równy ok. 220 m. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>aeronauta (daw.) — pilot statku powietrznego; tu: baloniarz. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Richmond — miasto w USA, stolica stanu Wirginia, podczas wojny secesyjnej stolica Konfederacji Południa, państwa 11 stanów południowych, które odłączyły się od Unii. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Grant, Ulysses (1822–1885) — amerykański generał, główny dowódca wojsk Unii podczas wojny secesyjnej (od 1863); prezydent USA (1869–1877). [przypis edytorski]

nagle o siedem tysięcy mil od stolicy Wirginii, głównej twierdzy separatystów w czasie straszliwej wojny secesyjnej<sup>12</sup>. Ich napowietrzna żegluga trwała pięć dni.

Oto, w jakich niezwykłych okolicznościach nastąpiła ucieczka tych jeńców, ucieczka, która miała się zakończyć opisaną wyżej katastrofą.

W lutym 1865 roku, podczas jednej z tych bezowocnych wypraw przeprowadzanych przez generała Granta w celu opanowania Richmond, kilku jego oficerów dostało się do niewoli i zostało internowanych w tym mieście. Jednym z najwybitniejszych jeńców był oficer sztabu wojsk federacyjnych, Cyrus Smith.

Cyrus Smith, rodem z Massachusetts, był inżynierem, wybitnym uczonym; rząd Unii powierzył mu podczas wojny nadzór i kierownictwo nad kolejami żelaznymi, które odgrywały ważną rolę strategiczną. Był to typowy Amerykanin z Północy, chudy, kościsty, liczył około czterdziestu pięciu lat, miał szpakowate, krótko podstrzyżone włosy oraz siwiejący zarost, który golił, pozostawiając tylko pełne, gęste wąsy. Miał piękną i pełną wyrazu „numizmatyczną” głowę, jakby stworzoną do tego, aby ją umieszczać na medalach, płomienne oczy, usta surowe i poważne, twarz taką, jaką mają zazwyczaj uczeni wojskowi. Był to jeden z tych inżynierów, którzy chcieli rozpocząć swój zawód od młotka i kilofa, podobni do tych bohaterów, którzy rozpoczynali swoją karierę wojskową od prostego żołnierza. Genialność umysłu łączył z niepospolitą zręcznością manualną. Jego ramiona odznaczały się rzadką tężyzną mięśni. Był zarówno prawdziwym człowiekiem czynu, jak i myślicielem, łatwo przechodził do działania, party żywą przedsiębiorczością swego ducha i wytrwałością pokonującą wszelkie przeciwności. Wysoce wykształcony, bardzo praktyczny, był to, jak powiadają, człowiek, który wszędzie i zawsze da sobie radę. Miał godne pozazdrosczenia usposobienie. Panował nad sobą w każdych okolicznościach i spełniał w najwyższym stopniu owe trzy warunki, których połączenie decyduje o powodzeniu człowieka: rzutkość umysłu i ciała, gwałtowność pragnień i siłę woli. Mógł przyjąć za swoją dewizę słowa Wilhelma Orańskiego<sup>13</sup> z siedemnastego wieku<sup>14</sup>: „Nie potrzeba mi nadziei, żeby coś przedsięwziąć, ani powodzenia, by wytrwać”.

Cyrus Smith był zarazem wcielonym męstwem. Brał udział we wszystkich bitwach wojny secesyjnej. Wstąpiwszy najpierw w szeregi ochotników z Illinois pod wodzą generała Granta, walczył pod Paducah, Belmont, Pittsburg-Landing, przy oblężeniu Corinthu, pod Port Gibson, nad Czarną Rzeką, pod Chattanooga, Wilderness, nad Potomakiem, zawsze mężnie jak żołnierz godny swojego generała, który zwykł mawiać: „Nie liczę nigdy swoich poległych!”. I sto razy powinien był Cyrus Smith znaleźć się w liczbie tych, których nie liczył groźny Grant, ale we wszystkich tych walkach, pomimo że wcale się nie oszczędzał, sprzyjało mu szczęście, aż do chwili, kiedy ranny dostał się do niewoli w bitwie pod Richmond.

Przy tej samej okazji i tego samego dnia, co Cyrus Smith, wpadł w niewolę południowców także inny znakomity człowiek. Był nim nikt inny, jak szanowny Gedeon Spilett, reporter dziennika „New York Herald”<sup>15</sup>, wysłany do wojsk armii północnej w celu obserwowania przebiegu wojny.

Gedeon Spilett należał do typu tych godnych podziwu reporterów pism angielskich i amerykańskich, w rodzaju Stanleya<sup>16</sup> i jemu podobnych, którzy nie cofną się przed niczym, gdy chodzi o uzyskanie dokładnych informacji i jak najszybsze przekazanie ich swemu dziennikowi. Gazety Stanów, takie jak „New York Herald”, to prawdziwe po-

<sup>12</sup>wojna secesyjna (1861–1865) — wojna domowa w USA pomiędzy stanami południowymi (tzw. Konfederacja) a stanami północnymi (tzw. Unia); nazwa pochodzi od secesji (odłączenia się) od Unii stanów południowych, spowodowanej sporem o niewolnictwo. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Wilhelm I Orański, zwany Milczącym (1553–1584) — książę Oranii od 1544, namiestnik Niderlandów (obecnej Holandii) od 1572. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>słowa Wilhelma Orańskiego z siedemnastego wieku... — omyłka autora, słowa Wilhelma I Orańskiego przypisał jednemu z jego następców, Wilhelmowi III Orańskiemu (1650–1702). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>New York Herald — wysokonakładowa gazeta codzienna wydawana w Nowym Jorku w latach 1835–1924; dzięki publikowaniu sensacyjnych i skandalizujących tekstów po 10 latach istnienia stała się najbardziej popularną i dochodową gazetą w Stanach Zjednoczonych, w roku 1861 osiągając ogromny jak na ówczesne czasy nakład 84.000 egzemplarzy. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Stanley, Henry właśc. John Rowlands (1841–1904) — amerykański dziennikarz i korespondent pochodzenia walijskiego, badacz Afryki; jako reporter gazety „New York Herald” w 1871 wslawił się wyprawą na poszukiwanie zaginionego misjonarza i badacza Afryki, doktora Davida Livingstone’a. [przypis edytorski]

tęgi, a ich wysłannicy są osobistościami, z którymi każdy musi się liczyć. Wśród tych wysłanników Gedeon Spilett zajmował jedno z pierwszych miejsc.

Był to człowiek wielkich zasług, energiczny, zręczny, gotów na wszystko, pełen pomysłów, podróżnik, który przemierzył cały świat, żołnierz i artysta zarazem; skory do rady, zdecydowany w czynie, niezważający na kłopoty, na trudy ani na niebezpieczeństwa, gdy chodziło o to, aby się o wszystkim dowiedzieć, najpierw dla siebie, a potem dla swego dziennika; prawdziwy bohater tropiący ciekawe informacje, wszystko, co nieopublikowane, nieznanne, niemożliwe, jeden z tych nieustraszonych obserwatorów, którzy piszą spokojnie wśród gradu kul, spisują notatki wśród pocisków i dla których każde niebezpieczeństwo jest szczęśliwą okazją.

On także brał udział we wszystkich bitwach, zawsze na przedzie, z rewolwerem w jednej ręce, z notatnikiem w drugiej, a wśród huku armat nie zadrżał mu ołówek w ręku. Nigdy nie zajmował na próżno drutów telegraficznych, jak to czynią ci, którzy mówią wtedy, gdy nic nie mają do powiedzenia, ale każda jego wiadomość, krótka, treściwa i jasna, rzucała nowe światło na jakąś ważną sprawę. Zresztą nie brakowało mu nigdy ani dobrego humoru, ani pomysłowości. To właśnie on podczas bitwy nad Czarną Rzeką<sup>17</sup>, aby nie stracić pierwszego miejsca przy okienku biura telegraficznego i donieść swojemu dziennikowi o wyniku bitwy, przez dwie godziny nadawał telegraficznie pierwsze rozdziały Biblii. Pomysł ten kosztował „New York Herald” dwa tysiące dolarów, ale „New York Herald” otrzymał wiadomość jako pierwszy.

Gedeon Spilett był wysokiego wzrostu. Miał najwyżej czterdzieści lat. Jego twarz okalały blond bokobrody wpadające w kolor rudawy. Wzrok miał spokojny, bystry, szybko przenoszący się z jednego przedmiotu na drugi. Było to spojrzenie człowieka jednym rzutem oka ogarniającego wszystkie szczegóły dookoła. Mocno zbudowany, zahartowany się w różnych klimatach jak stalowa sztaba w zimnej wodzie.

Gedeon Spilett od dziesięciu lat był stałym reporterem „New York Herald”, wzbogacając to pismo swoimi doniesieniami i rysunkami, gdyż równie zręcznie władał ołówkiem, jak piórem. W chwili gdy został wzięty do niewoli, pracował właśnie nad opisem i szkicem planu bitwy. Ostatnie słowa nakreślone w jego notatniku brzmiały: „Jeden z południowców bierze mnie na cel i...”. I chybił Gedeona Spilleta, który jak zwykle wyszedł z tych oparów bez jednego draśnięcia.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, którzy znali się tylko ze słyszenia, zostali obaj odwiezieni do Richmond. Inżynierowi szybko zagoiła się rana i właśnie w czasie swej rekonwalescencji zawarł znajomość z reporterem. Ci dwaj ludzie polubili się i nabrali do siebie nawzajem szacunku. Wkrótce ożywiła ich obu tylko jedna myśl, jeden cel: uciec z niewoli, przyłączyć się do armii Granta i znowu walczyć w jej szeregach o jedność federacji.

Obaj Amerykanie postanowili zatem skorzystać z każdej sposobności do ucieczki; lecz chociaż w mieście pozostawiono im zupełną swobodę, to jednak Richmond było tak dokładnie strzeżone dokoła, że ucieczka wydawała się niemożliwa.

W tym stanie rzeczy do Cyrusa przedostał się nowy sprzymierzeniec w osobie jego sługi, oddanego mu na śmierć i życie. Tym śmiałkiem był pewien Murzyn, urodzony w posiadłościach inżyniera jako syn niewolników, którego jednak Cyrus Smith dawno temu wyzwolił, rozumem i sercem będąc za zniesieniem niewolnictwa. Niewolnik, choć uzyskał wolność, nie chciał mimo to porzucić swego pana. Kochał go tak, że z radością oddałby za niego życie. Był to chłopak trzydziestoletni, dziarski, obrotny, zręczny, inteligentny, łagodny i spokojny, czasem naiwny, zawsze uśmiechnięty, usłużny i poczciwy. Miał na imię Nabuchodonozor<sup>18</sup>, wołał jednak, żeby zwracano się do niego krótko i poufale: „Nab”.

Otóż Nab, dowiedziawszy się, że jego pan dostał się do niewoli, bez wahania opuścił Massachusetts, przybył pod Richmond i tu postępem i zręcznością, naraziwszy swe życie najmniej dwadzieścia razy, zdołał przeniknąć do oblężonego miasta. Trudno opisać słowami radość Cyrusa, gdy ujrzał wiernego służącego, i Naba, gdy odnalazł swego pana.

<sup>17</sup>*bitwa nad Czarną Rzeką* (17 maja 1863) — stoczona podczas amerykańskiej wojny secesyjnej, stanowiąca część kampanii wojsk Unii mającej na celu opanowanie Vicksburga; nad Czarną Rzeką siły Unii pod dowództwem Ulissesa Granta zwyciężyły wycofujące się oddziały Konfederacji dowodzone przez Johna Pemberton. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Nabuchodonozor* — biblijny król Babilonii. [przypis edytorski]



Lecz chociaż Nabowi udało się dostać do Richmond, to jednak o wiele trudniej było wydostać się stamtąd, gdyż jeńców federalnych pilnie strzeżono. Tylko jakiś nadzwyczajny przypadek mógł stworzyć okazję do ucieczki mającą choć niewielkie szanse powodzenia, a taka okazja nie tylko nie nadarzała się sama, ale i niełatwo ją było stworzyć.

Tymczasem Grant nie zaprzestawał energicznych działań wojennych. Zwycięstwo pod Petersburgiem<sup>19</sup> drogo go kosztowało. Jego siły, połączone z siłami Butlera<sup>20</sup>, nie osiągnęły dotychczas pod Richmond żadnego rezultatu i nic nie zapowiadało naszym jeńcom bliskiego oswobodzenia. Reporter, któremu nudna niewola nie zapewniała żadnych ciekawych tematów do notatek, nie mógł już dłużej wytrzymać. Jedna myśl opanowała go całego: za wszelką cenę wydostać się z Richmond. Kilkakrotnie już próbował szczęścia, lecz każdym razem powstrzymywały go przeszkody nie do przezwyciężenia.

Tymczasem oblężenie trwało dalej i jeśli jeńcy pragnęli uciec i przyłączyć się do armii Granta, to i między oblężonymi byli tacy, którzy nie mniej chętnie wydostaliby się z miasta, żeby przyłączyć się do armii secesjonistów. Wśród nich był niejaki Jonathan Forster, zagorzały południowiec. Rzeczywiście tak samo jeńcy, jak i południowcy nie mogli opuścić miasta otoczonego przez armię północną. Gubernator Richmond od dawna już nie mógł skontaktować się z generałem Lee<sup>21</sup>, a rzeczą najwyższej wagi było zawiadomienie go o położeniu, w jakim znajdowało się miasto i przyspieszenie odsieczy. Otóż Jonathan Forster wpadł na pomysł, by wzbic się w powietrze balonem, przelecieć nad liniami oblegających wojsk i dotrzeć do obozu separatystów.

Gubernator zezwolił na ten projekt. Sporządzono balon i oddano go do dyspozycji Jonathana Forstera, któremu w powietrznej wyprawie miało towarzyszyć pięciu innych śmialków. Balon zaopatrzono w broń, na wypadek gdyby lądując, byli zmuszeni się bronić, oraz w żywność, na wypadek gdyby ich lot miał się przedłużyć.

Czas odlotu balonu wyznaczono na 18 marca. Miało nastąpić w nocy, przy umiarkowanym wietrze północno-zachodnim, zaś aeronauci spodziewali się w ciągu kilku godzin dotrzeć do kwatery generała Lee.

Ten północno-zachodni wiatr nie był jednak zwyczajnym wiatrem. Już od 18 marca zauważono, że zmienia się w huragan. Wkrótce burza wzmogła się do tego stopnia, że wyjazd Forstera musiano odłożyć, gdyż nie można było narażać balonu i jego załogi na wściekłość rozszalałego żywiołu.

Balon, napełniony gazem, czekał na głównym placu miejskim, gotów odlecieć w każdej chwili, gdyby tylko wicher nieco przycichł, a całe miasto niecierpliwilo się, widząc, że warunki atmosferyczne wcale się nie zmieniają.

Upłynął 18 i 19 marca, a burza nie uspokajała się ani na chwilę. Z trudem zdołano uchronić od zniszczenia uwiązany do gruntu balon, którym podmuchy wiatru rzucały o ziemię.

Minęła noc z 19 na 20 marca, ale nad ranem huragan wybuchnął z jeszcze większą wściekłością. Odlot był niemożliwy.

Tego dnia na jednej z ulic Richmond zaczął Cyrusa Smitha jakiś zupełnie mu nieznaną osobę. Był to marynarz nazwiskiem Pencroff, w wieku około trzydziestu pięciu lub czterdziestu lat, silnie zbudowany, mocno ogorzały, z żywymi, ustawicznie mrugającymi oczyma, ale z pocziwym wyrazem twarzy. Pencroff był z urodzenia Amerykaninem z Północy, przepłynął wszystkie morza na całej kuli ziemskiej i doznał najniezwykleszych przygód, jakie mogą się przydarzyć istocie dwunożnej bez pierza<sup>22</sup>. Nie trzeba dodawać, że był to człowiek przedsiębiorczy, gotowy na wszystko, którego nigdy nic nie zdołało wprawić w zdziwienie. Na początku roku Pencroff udał się w interesach do Richmond

<sup>19</sup>*Petersburg* — tu: miasto w USA, w stanie Wirginia, ok. 45 km od Richmond. W pobliżu Petersburga podczas amerykańskiej wojny secesyjnej toczyły się trwające dziewięć miesięcy walki pozycyjne (czerwiec 1864 – marzec 1865), nazywane bitwą pod Petersburgiem lub kampanią Richmond-Petersburg; w pierwszym natarciu unioniści ponieśli ciężkie straty. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Butler, Benjamin Franklin* (1818–1893) — amerykański generał major w armii Unii podczas wojny secesyjnej, polityk. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Lee, Robert Edward* (1807–1870) — amerykański generał, dowódca wojsk Konfederacji Południa w czasie wojny secesyjnej. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*istota dwunożna bez pierza* — definicja człowieka podawana przez Platona; kiedy w odpowiedzi Diogenes z Synopy przyniósł oskubanego koguta, Platon dodał do niej: „oraz o płaskich paznokciach” (Diogenes Laertios, *Żywoty sławnych filozofów*, VI 40). [przypis edytorski]

w towarzystwie piętnastoletniego chłopca, Harberta Browna z New Jersey. Harbert był sierotą, synem zmarłego kapitana statku i marynarz kochał go własne dziecko. Nie mogąc wyjechać z miasta przed rozpoczęciem oblężenia, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu Pencroff znalazł się w pułapce. W tym położeniu jego także opanowała jedna myśl: uciec stąd jakimkolwiek sposobem. Inżyniera Cyrusa Smitha znał ze słyszenia. Wiedział, jak niecierpliwie ten śmiały człowiek pragnął wydostać się z niewoli. Otóż tego dnia postanowił porozumieć się z nim i spotkawszy go, zagadnął bez wstępu:

— Panie Smith, nie ma pan już dość Richmond?

Inżynier spojrzał uważnie na pytającego, a ten, zniżając głos, dodał:

— Panie Smith, chce pan uciekać?

— A kiedy?... — zapytał żywo inżynier i można słusznie twierdzić, że odpowiedź ta wymknęła mu się mimo woli, gdyż nie wybadał jeszcze nieznanego, który się do niego zwrócił.

Lecz zmierzwszy przenikliwym wzrokiem szczerą twarz marynarza, nie wątpił już, że ma do czynienia z uczciwym człowiekiem.

— Kim pan jest? — zapytał krótko.

Pencroff przedstawił się.

— No dobrze — odparł Cyrus Smith. — A w jaki sposób zamierza pan uciec?

— Tym balonem, który wisi tu beczynn timer i wydaje mi się, jakby umyślnie na nas czekał!...

Marynarz nie potrzebował kończyć zdania. Inżynier zrozumiał wszystko od razu. Chwycił Pencroffa pod ramię i zabrał go ze sobą do swego mieszkania.

Tam marynarz rozwinął cały swój projekt, istotnie bardzo prosty. Rzykowało się tylko własnym życiem. Prawda, że huragan szalał z największą gwałtownością, ale taki zręczny i śmiały inżynier, jak Cyrus Smith, potrafiłby przecież kierować balonem. Gdyby znał tę sztukę on sam, Pencroff, ani chwili by się nie wahał polecieć, oczywiście z Harbertem. Nie takie burze widział i nic sobie z żadnej nie robił!

Cyrus Smith słuchał marynarza w milczeniu, ale oczy mu płonęły. Nadarzała się więc okazja, a nie należał do osób, które by ją przepuściły. Projekt był wprawdzie bardzo niebezpieczny, ale właśnie dlatego był wykonalny. Pomimo czujnej straży można było podkraść się w nocy pod balon, wślizgnąć do kosza, a potem odciąć liny, którymi był przywiązany do ziemi. Prawda, można zginąć, ale z drugiej strony może się udać i gdyby nie ta burza... Lecz gdyby nie ta burza, balon już by odleciał, a tak wyczekiwanej sposobności do ucieczki w tej chwili wcale by nie było!

— Nie jestem sam — powiedział na koniec Cyrus Smith.

— Ile osób chce pan zabrać ze sobą? — zapytał marynarz.

— Dwie: mego przyjaciela Spilletta i służącego Naba.

— Razem trzy — odparł Pencroff — a ze mną i z Harbertem — pięć. Balon miał zabrać sześć!...

— Więc lećmy! — powiedział Cyrus Smith.

To „lećmy” dotyczyło także reportera, ale ten nie należał do ludzi, którzy cofają się przed podobnymi przedsięwzięciami i ledwie przedstawiono mu projekt, zgodził się od razu. Dziwiło go tylko, że sam wcześniej nie wpadł na tak prosty pomysł. Co do Naba, to ten poszedłby za swoim panem wszędzie.

— A zatem do zobaczenia wieczorem — powiedział Pencroff. — Będziemy się tam wszyscy przechadzać, udając ciekawskich.

— Dziś wieczorem, o dziesiątej — odparł Cyrus Smith — i dałby Bóg, aby ta burza nie uspokoiła się przed naszym odlotem!

Pencroff pożegnał inżyniera i powrócił do swego mieszkania, gdzie zostawił młodego Harberta Browna. Ten odważny chłopiec znał plan marynarza i pełen niepokoju oczekiwał rezultatu rozmowy z inżynierem. Jak więc widzimy, była to piątka ludzi śmiałych i gotowych na wszystko, którzy postanowili zdać się na losy burzy, rozszalałego z pełną mocą huraganu.

Nie, huragan wcale się nie uspokajał i ani Jonathanowi Forsterowi, ani jego towarzyszom nie przyszło nawet do głowy, by narażać się na jego wściekłość w tym kruchym koszu. Pogoda była straszna. Inżynier obawiał się tylko jednego: żeby balon, przymocowany do ziemi i targany wichrem, nie pękł na tysiąc kawałków. Przez kilka godzin

wałesał się po prawie pustym placu, nie spuszczać balonu z oka. To samo robił Pencroff z przeciwnej strony, z rękami w kieszeniach, ziewając od czasu do czasu jak człowiek, który nie wie, czym zabić czas. Lecz on także obawiał się, czy balon nie pęknie lub czy nie zerwie się z więzów i nie uleci w powietrze.

Nadszedł wieczór. Noc była bardzo ciemna. Gęste wyziewy unosiły się ponad ziemią niczym chmury. Padał deszcz ze śniegiem, było przenikliwie zimno. Nad Richmond zawisła ciężka mgła. Wydawało się, że burza przyniosła chwilowy rozjem między obłożonymi a oblegającymi i że nawet armaty zamilkły wobec groźnych ryków huraganu. Ulice miasta opustoszały. Podczas tak okropnej pogody nie widziano nawet potrzeby pilnować placu miejskiego, pośrodku którego rozpaczliwie szamotał się uwiązany do ziemi balon. Wszystko zdawało się sprzyjać ucieczce jeńców. Ale ten lot wśród rozhlukanych wichrów!....

— Przebrzydła chlapawica! — powiedział Pencroff, uderzając z góry pięścią w kapelus, który wicher zrywał mu z głowy. — Ale cóż, jakoś damy sobie z tym wszystkim radę!

O wpół do dziesiątej Cyrus Smith i jego towarzysze podkradli się chyłkiem z różnych stron na plac pogrążony w zupełnej ciemności, ponieważ wiatr zdmuchnął wszystkie latarnie gazowe. Nie widać było nawet olbrzymiego balonu, który wicher przygnoił do samej ziemi. Do sznurów siatki były przywiązane worki z balastem, prócz tego koszyk uwiązany był za pomocą grubej liny, przewleczonej przez osadzony w bruku pierścien i umocowanej do burt.

Pięciu jeńców spotkało się przy koszu. Nikt ich nie spostrzegł, było tak ciemno, że nie widzieli nawet jeden drugiego.

W głębokim milczeniu Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab i Harbert wsiedli do kosza, podczas gdy Pencroff na polecenie inżyniera odwiązywał po kolei worki z balastem. Trwało to zaledwie kilka chwil, po czym marynarz zajął miejsce w koszu obok swoich towarzyszy.

Balon przytrzymała jeszcze tylko podwójnie złożona lina, a Cyrus Smith miał już wydać rozkaz odlotu.

Wtem jakiś pies jednym susem wskoczył do środka. Był to Top, pies inżyniera, który urwawszy się z łańcucha, pobiegł za swoim panem. Cyrus Smith, obawiając się nadmiernego ciężaru, chciał odpędzić biedne zwierzę.

— Cóż, jeden więcej! — powiedział Pencroff i wyrzucił z kosza dwa worki z balastem.

Następnie puścił linę, a balon wzniósł się ukośnie w górę i znikł w obłokach, potraciwszy najpierw koszem o dwa kominy, które rozwalił w szalonym pędzie.

Huragan rozszalał się z wściekłą gwałtownością. Dopóki trwała noc, inżynier nie mógł nawet myśleć o lądowaniu, a gdy zaświtał dzień, gęste mgły zasłoniły ziemię. Pięć dni później, gdy się rozjaśniło, pod balonem, pędzonym przez wicher z przerażającą szybkością, ujrzeli bezkresne morze.

Widzieliśmy już, w jaki sposób spośród tych pięciu ludzi, którzy 20 marca opuścili Richmond, czterech zostało wyrzuconych 24 marca na bezludne wybrzeże, oddalone o sześć tysięcy mil od ich kraju<sup>23</sup>.

A tym, którego stracili i na ratunek którego pospieszyli natychmiast czterej ocaleni rozbitkowie, był ich przywódca, inżynier Cyrus Smith!...

### ROZDZIAŁ III

*Piąta po południu. — Stracony towarzysz. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania na północy. — Wysepka. — Noc pełna udręczeń. — Poranna mgła. — Nab rzuca się w pław. — Widok lądu. — Przez cieśninę w bród.*

Siatka rozerwała się pod Cyrusem Smithem i uderzająca fala porwała go ze sobą. Z nim razem zniknął także jego pies. Wierne zwierzę dobrowolnie rzuciło się w morze na pomoc swojemu panu.

— Dalej, naprzód! — zawołał reporter.

<sup>23</sup> 20 marca opuścili Richmond, czterech zostało wyrzuconych 24 marca na bezludne wybrzeże... — 3 kwietnia miasto Richmond wpadło w ręce generała Granta, bunt separatystów został stłumiony, generał Lee cofnął się na zachód, a sprawa jedności amerykańskiej zatriumfowała. [przypis autorski]

I wszyscy czterej: Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab, nie zważając na własne wyczerpanie, rozpoczęli poszukiwania.

Biedny Nab płakał z wściekłości i z rozpacz na myśl, że utracił wszystko, co kochał na świecie.

Między chwilą, kiedy Cyrus Smith zniknął, a chwilą, w której jego towarzysze zostali wyrzuceni na ląd, nie upłynęło więcej niż dwie minuty. Mogli mieć nadzieję, że zdążą na czas, żeby go uratować.

— Szukajmy go, szukajmy go! — krzyczał Nab.

— Dobrze, Nabie — odparł Gedeon Spilett. — Znajdziemy go!

— Żywego?

— Żywego!

— A umie pływać? — zapytał Pencroff.

— Umie! — odparł Nab. — Zresztą Top jest przy nim!

Marynarz, słysząc wściekły ryk morza, pokiwał tylko głową.

Inżynier wpadł do morza na północ od brzegu, mniej więcej o pół mili od miejsca, gdzie wylądowali rozbitkowie. Najbliższy zatem punkt wybrzeża, do którego mógłby dopłynąć, był odległy o co najwyżej pół mili.

Była prawie szósta po południu. Podniosła się mgła i noc stała się ciemniejsza. Rozbitkowie powędrowali na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża lądu, na który wyrzucił ich los, lądu zupełnie nieznanego, którego położenia geograficznego nie mogli się nawet domyślać. Pod nogami mieli piaszczysty grunt zmieszany z kamykami, pozbawiony, jak się zdawało, wszelkiej roślinności. Teren, nierówny i wyboisty, poprzecinany był tu i ówdzie małymi rozpadlinami, które niezmiernie utrudniały posuwanie się naprzód. Z tych dołów zrywały się co chwilę jakieś duże ptaki o ciężkim locie, niemożliwe do rozpoznania w ciemności. Inne, szybsze i mniejsze, wlatywały stadami jak chmury. Marynarzowi sądził, że rozpoznaje w nich mewy i drobniejsze ptactwo morskie, którego przeraźliwe ostre krzyki zagłuszały nawet szum oceanu.

Od czasu do czasu rozbitkowie zatrzymywali się i wołali z całych sił, wyęzając słuch, czy nie odezwie się jakiś głos od strony oceanu. Przypuszczali słusznie, że gdyby zbliżyli się do miejsca, gdzie wylądował Cyrus Smith, to nawet w przypadku, gdyby on sam nie był w stanie dać znaku życia, dobiegłoby ich szczekanie Topa. Lecz wśród ponurego grzmotu łamiących się o brzegi fal morskich nie słychać było żadnego głosu. Rozbitkowie poszli więc znowu naprzód, przeszukując po drodze najmniejsze załomy wybrzeża.

Po dwudziestu minutach marszu czterem rozbitkom nagle stanęły na drodze spienione fale morskie. Nie było dalej lądu. Znalezli się na samym krańcu cypla, o który z wściekłością rozbijały się fale morskie.

— To cypel — powiedział marynarz. — Musimy zawrócić, trzymając się prawej strony, i w ten sposób dojdziemy do stałego lądu.

— Ale jeśli on tu jest? — odparł Nab, wskazując na ocean, którego olbrzymie fale białały w mroku.

— Więc zawołajmy go!

I wszyscy czterej razem wydali donośny okrzyk — żadnej odpowiedzi. Wyczekali chwili, w której morze, jakby nabierając tchu, przycichło i ponowili okrzyk, ale na próżno.

Wówczas zawrócili, idąc drugim brzegiem cypla, po gruncie tak samo piaszczystym i kamienistym. Pencroff zauważył jednak, że brzeg jest coraz bardziej stromy, a teren się wznosi, i przypuszczał, że to wydłużone wzniesienie łączy się z wysokim wybrzeżem, którego masyw niewyraźnie rysował się w cieniach zmroku. W tej części wybrzeża było mniej ptactwa. Morze zdawało się mniej wzburzone, mniej hałaśliwe i nawet prąd fal znacznie się zmniejszył. Ledwie słychać było jak łamały się o brzegi. Ta strona cypla tworzyła widocznie półkolistą zatokę, którą ostry koniec cypla zasłaniał przed falami pełnego morza.

Lecz idąc w tym kierunku, szli na południe, a więc oddalali się coraz bardziej od tej części wybrzeża, gdzie mógł wylądować Cyrus Smith. Po półtożej mili drogi nie napotkali jeszcze takiego zakrętu, który by im pozwolił skierować się znowu na północ. A przecież cypel, którego najbardziej wysunięty punkt już obesli, musiał gdzieś łączyć się ze stałym

łędem. Rozbitkowie pomimo wyczerpania dążyli mężnie naprzód, mając nadzieję lada chwila znaleźć jakiś ostry skręt wybrzeża, który zawróci ich na pierwotny kierunek.

Jakież było ich rozczarowanie, gdy po przejściu dwóch mil znaleźli się na dość wysokim szczycie z oślizłych skał, a przed sobą ujrzeli morze.

— Jesteśmy na wysepce! — powiedział Pencroff — i przeszliśmy ją od jednego końca na drugi!

Marynarz miał słuszność. Rozbitkowie nie zostali wyrzuceni na ląd stały ani nawet na wyspę, lecz na małą wysepką mającą zaledwie dwie mile długości, zapewne także niezbyt szeroką.

Czy ta mała, kamienista wysepka, pozbawiona wszelkiej roślinności, opustoszałe schronienie ptaków morskich, stykała się z jakimś większym archipelągiem? Trudno to było stwierdzić. Pasażerowie balonu, ujrawszy z kosza wynurzającą się z mgły ziemię, nie mogli dostatecznie ocenić jej wielkości. Lecz Pencroff, mający wprawne oczy marynarza nawykłe do przeszywania ciemności, był niemal pewien, że dostrzega na zachodzie niewyraźne zarysy jakiegoś wysokiego brzegu.

Ciemność nie pozwalała ustalić, czy to samotna wysepka, czy też należąca do jakiejś grupy wysp. Nie można jej było opuścić, gdyż otaczało ją morze. Trzeba więc było odłożyć do następnego dnia poszukiwania inżyniera, który niestety ani jednym okrzykiem nie dał znaku swojej obecności.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi — powiedział reporter. — Może zemdlął, może jest ranny i chwilowo niezdolny odpowiedzieć, ale nie traćmy nadziei.

Reporter wpadł zatem na myśl, żeby gdzieś na wysepce rozpaścić ognisko, które służyłoby jako sygnał dla inżyniera. Na próżno jednak szukali drewna lub suchych gałązek. Wszędzie tylko piasek i kamienie.

Łatwo wyobrazić sobie żal Naba i jego towarzyszy, którzy szczerze przywiązali się do nieustraszonego Cyrusa. Było aż nadto oczywiste, że nie mogą mu teraz w niczym pomóc. Musieli czekać do rana. Albo inżynier zdołał się sam uratować i znalazł już schronienie gdzieś na wybrzeżu, albo też był stracony na zawsze!

Mijały długie i ciężkie godziny. Przejmujące zimno dokuczalo rozbitkom, lecz ledwie je czuli. Nie przyszło im nawet do głowy, żeby wypocząć. Myśl o ich przywódcy nie pozwoliła im pamiętać o sobie i nie chcąc tracić nadziei, chodzili tam i z powrotem po jałowej wysepce, ciągle powracając do jej północnego krańca, aby być bliżej miejsca katastrofy. Na przemian to przysłuchując się, to znów wołając, spodziewali się usłyszeć wołanie o pomoc, a ich głosy musiały sięgać daleko, gdyż w powietrzu zapanowała cisza, fale się uspokoiły, a ich huk przycichł.

Raz nawet wydawało im się, że na krzyk Naba odpowiedziało echo. Harbert zwrócił na to uwagę Pencroffa, dodając:

— To dowodzi, że gdzieś niedaleko na zachodzie jest brzeg.

Marynarz skinął na to potakująco. Zresztą czy nie mogli go omylić. Jeśli dostrzegł w tamtym kierunku ląd, choćby niezbyt niewyraźnie, to z pewnością był tam ląd.

Lecz to dalekie echo było jedyną odpowiedzią na krzyk Naba, a całą wschodnią część wysepki zaległa ponura cisza.

Tymczasem niebo powoli się wypogadzało. Koło północy zamigotało kilka gwiazdek i gdyby inżynier był z nimi, dostrzegłby, że nie były to gwiazdy półkuli północnej. Na tym nowym firmamencie<sup>24</sup> nie było Gwiazdy Polarnej, konstelacje w zenicie były różne od tych, jakie można dostrzec na północy Nowego Świata<sup>25</sup>, a nad południowym biegunem kuli ziemskiej jaśniał Krzyż Południa<sup>26</sup>.

<sup>24</sup>*firmament* — sklepienie niebieskie, niebo. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Nowy Świat* — określenie kontynentów półkuli zachodniej: Ameryki Płn. i Płd., powstałe w epoce wielkich odkryć geograficznych dla odróżnienia od znanych Europejczykom od starożytności lądów Europy, Azji i Afryki. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Krzyż Południa* (astr.) — najbardziej charakterystyczny, łatwo rozpoznawalny gwiazdozbiór nieba południowego. Jego gwiazdy tworzą figurę krzyża, którego dłuższe ramię wskazuje w przybliżeniu południowy biegun niebieski, podobnie jak na niebie północnym Gwiazda Polarna w Małej Niedźwiedzicy wskazuje biegun północny. Na półkuli północnej Krzyż Południa jest widoczny wyłącznie w okolicach tropikalnych, położonych nie dalej niż ok. 20° od równika, przez kilka godzin nocnych zimą i wiosną, nisko nad horyzontem. [przypis edytorski]

Minęła noc. Około piątej nad ranem dnia 25 marca niebo zaczęło jaśnieć. Horyzont pogrążony był jeszcze w ciemności, lecz z pierwszym brzaskiem dnia podniosła się z morza mgła tak gęsta, że nie sięgało się wzrokiem dalej niż na dwadzieścia kroków przed sobą. Mgła rozwinęła w ciężkie kłęby, powoli sunące nad ziemią.

Była to nowa niesprzyjająca okoliczność. Rozbitkowie nie mogli nic rozróżnić dokoła siebie. Podczas gdy oczy Naba i reportera błądziły po oceanie, marynarz z Harbertem wypatrywali wybrzeża na zachodzie. Nie było jednak widać ani skrawka lądu.

— Mniejsza o to — powiedział Pencroff — chociaż nie widzę ziemi, to ją czuję... jest tam... tam... To tak pewne, jak to, że nie jesteśmy już w Richmond!

Niebawem mgła zaczęła się rozwiewać. Była tylko zapowiedzią dobrej pogody. Ciepłe promienie słoneczne ogrzały najpierw górne warstwy powietrza, a następnie przedarły się do samej powierzchni wysepki.

Około godziny wpół do siódmej, w trzy kwadransy po wschodzie słońca, mgła stała się bardziej przejrzysta. Zgęstniała u góry, lecz za to przeredziła się u dołu. Niebawem oczom rozbitków ukazała się cała wysepka, jak gdyby wynurzyła się z chmur, następnie dokoła zaczęło odsłaniać się morze, bezkresne na wschodzie, ale za to na zachodzie ograniczone wysokim, urwistym wybrzeżem.

Tak! Tam był ląd! Tam był ich ratunek, przynajmniej na jakiś czas. Wysepkę od tego lądu oddzielała szeroka na pół mili cieśnina, przez którą z szumem toczył się gwałtowny nurt. Tymczasem jeden z rozbitków, słuchając tylko głosu swego serca, rzucił się nagle w prąd morski, nie zasięgając rady towarzyszy, a nawet nie mówiąc im ani słowa. Był to Nab. Pilno mu było dostać się do tego wybrzeża i pójść nim na północ. Nikt nie był w stanie go powstrzymać. Pencroff wołał za nim, ale na próżno. Reporter szykował się, aby płynąć za Nabem.

Pencroff, przystąpiwszy do niego, zapytał:

— Chce pan przepłynąć tę cieśninę?

— Tak — odparł Gedeon Spilett.

— Więc proszę mi uwierzyć i zaczekać trochę — powiedział marynarz. — Sam Nab wystarczy, żeby przyjść z pomocą swojemu panu. Jeśli rzucimy się do cieśniny, narazimy się tylko na to, że prąd porwie nas ze sobą. Teraz, jeżeli się nie mylę, jest to prąd spowodowany odpływem morza. Niech pan spojrzy, woda na piasku wyraźnie opada. Miejmy więc cierpliwość, a gdy odpływ się skończy, może uda nam się przejść w bród.

— Ma pan słuszość — odparł reporter. — Nie rozdzielajmy się, dopóki się da...

Tymczasem Nab walczył mężnie z prądem wody. Płynął przez cieśninę na ukos. Za każdym wymachem nad powierzchnię wody wynurzały się jego czarne ramiona. Prąd unosił go wprawdzie z wielką szybkością, lecz pomimo to zbliżał się wciąż do brzegu. Połowę mili, dzielącą wysepkę od lądu, przepłynął w ciągu przeszło pół godziny i dotarł do brzegu w odległości zaledwie kilku tysięcy stóp w bok od miejsca leżącego naprzeciw punktu, z którego wypłynął.

Nab wyszedł na brzeg u podnóża wysokiej granitowej ściany, energicznie się otrząsnął, następnie pobiegł pędem i wkrótce zniknął za wierzchołkami skał, wysuniętych w morze mniej więcej do wysokości północnego krańca wysepki.

Towarzysze Naba ze ściśniętym sercem przyglądali się jego śmiałym poczynaniom, a gdy zniknął im z oczu, ponownie przenieśli wzrok na ziemię, na której chcieli szukać schronienia. Zjedli trochę małży, którymi usiany był piasek. Był to skromny posiłek, ale zawsze posiłek.

Przeciwległy brzeg tworzył obszerną zatokę, zakończoną na południu ostrym cyplem, pozbawionym wszelkiej roślinności, wyglądającym ponuro i dziko. Cypel ten łączył się z wybrzeżem poszarpaną, kapryśną linią i opierał się na olbrzymich skałach granitowych. Natomiast na północy zatoka rozszerzała się, tworząc wybrzeże bardziej zaokrąglone, biegnące od południowego zachodu na północny wschód i kończące się ostrym cyplem. Odległość pomiędzy tymi dwoma krańcami, o które opierał się łuk zatoki, mogła wynosić około ośmiu mil. O pół mili od brzegu wąski pas morza zajmowała wysepka przypominająca cielsko olbrzymiego wieloryba. W najszerszym miejscu nie miała więcej niż ćwierć mili.

Na wprost wysepki na pierwszym planie wybrzeża widać było piaszczystą plażę gęsto pokrytą ciemnymi skałami, które w tej chwili powoli wynurzały się z wody, cofającej

się wskutek odpływu. Na drugim planie wznosił się jakby mur kurtynowy<sup>27</sup> z granitu, zwieńczony na wysokości co najmniej trzystu stóp kapryśnie postrzępionym grzbietem. Ściana ta ciągnęła się na długości trzech mil i kończyła się z prawej strony raptownie ściętym urwiskiem, jak gdyby wyciosaną ręką ludzką. Po lewej natomiast, powyżej cypla, to nieregularne, postrzępione wybrzeże, powstałe ze spiętrzonych brył skalnych i osypisk, obniżało się stopniowo w podłużny grzbiet, który stopniowo łączył się ze skałami południowego krańca.

Na górnym płaskowyżu nie było ani jednego drzewa. Była to płaszczyna gładka jak stół, podobna do tej, która wznosi się nad Capetown<sup>28</sup>, na Przylądku Dobrej Nadziei, tylko nieco mniejszych rozmiarów. Przynajmniej tak to wyglądało z wysepki. Nie brakowało za to zieleni po prawej stronie, w głębi za urwiskiem. Łatwo było dostrzec ogromne masy wielkich drzew, ciągnące się jak daleko wzrok sięgał. Widok tej roślinności rozweselał nieco oko, znużone surowymi liniami granitowych ram, które go otaczały.

Na ostatnim wreszcie planie, ponad płaskowyżem, w kierunku północno-zachodnim, w odległości co najmniej siedmiu mil, błyszczał okryty śniegiem szczyt, ozłocony promieniami słońca. Była to czapa śnieżna zdobiąca jakąś oddaloną górę.

Nie można więc było rozstrzygnąć kwestii, czy ziemia, którą widzieli przed sobą, była wyspą, czy też częścią lądu stałego. Jednak na widok skał piętrzących się po lewej stronie, dziwacznie poszarpanych i urwistych, geolog bez wahania stwierdziłby, że mają pochodzenie wulkaniczne, bez wątplenia bowiem były wytworem podziemnych sił.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert uważnie przypatrywali się tej ziemi, gdzie być może mieli żyć przez wiele lat, a może nawet i umrzeć, jeśli nie leżała blisko szlaku statków.

— No i co ty na to, Pencroffie? — zapytał Harbert.

— Cóż, widzę w tym dobre i złe strony, jak we wszystkim — odparł marynarz. — Zresztą, zobaczymy. Ale właśnie zaczyna się odpływ. Za trzy godziny spróbujemy przedostać na drugą stronę, a gdy już tam będziemy, postaramy się dać sobie radę i znaleźć pana Smitha.

Pencroff nie omylił się w swoich przewidywaniach. Trzy godziny później, gdy woda opadła, został odsłonięty niemal cały piasek na dnie cieśniny. Wysepkę od przeciwnego wybrzeża oddzielał już tylko wąski pas wody, zapewne łatwy do przebycia.

Około godziny dziesiątej Gedeon Spilett i jego dwaj towarzysze, rozebrawszy się i przymocowawszy na głowie zawiniątka z ubraniami, weszli do wody, której głębokość nie przekraczała pięciu stóp. Harbert, dla którego było zbyt głęboko, płynął jak ryba i doskonale sobie poradził. Wszyscy trzej dostali się bez trudności na drugą stronę. Tam, osuszony się szybko na słońcu i włożywszy znowu ubrania, które udało im się ochronić od zmoczenia, urządzili naradę.

## ROZDZIAŁ IV

*Litodomy. — Przy ujściu rzeki. — „Kominy”. — Dalsze poszukiwania. — Las zielonych drzew. — Zapas opału. — Czekając na odpływ. — Ze szczytu uniesienia. — Splot drzewa. — Powrót na wybrzeże.*

Reporter umówił się z marynarzem, aby czekał na niego w tym samym miejscu, po czym nie tracąc ani chwili, poszedł w tę samą stronę, dokąd kilka godzin wcześniej udał się Nab. Szybko znikł za zakrętem wybrzeża, tak pilno mu było zasięgnąć wieści o inżynierze.

Harbert chciał mu towarzyszyć, ale marynarz powiedział:

— Zostań tutaj, mój chłopcze. Musimy przygotować jakieś obozowisko i sprawdzić, czy nie dałoby się poszukać dla naszych żołądków czegoś pożywniejszego od małży. Nasi przyjaciele będą po powrocie potrzebowali posiłku. Niech każdy robi to, co do niego należy.

— Jestem gotowy — odparł Harbert.

— Dobrze! — powiedział marynarz. — Jakoś to będzie. Trzeba tylko postępować planowo. Czujemy znużenie, zimno i głód, powinniśmy więc poszukać sobie schronienia,

<sup>27</sup>mur kurtynowy (archit.) — odcinek muru obronnego pomiędzy dwiema basztami. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Capetown — Kapsztad, miasto w Afryce Płd., dawna stolica bryt. Kolonii Przylądkowej. [przypis edytorski]

ognia i pożywienia. W lesie znajdziemy drewno, w ptasich gniazdach jaja, pozostaje tylko znalezienie domu.

— A więc poszukam jakiejś jaskini w tych skałach — odparł Harbert — i pewnie uda mi się znaleźć dziurę, w której się wszyscy pomieścimy.

— Otóż to! — powiedział Pencroff. — W drogę, mój chłopcze!

I obaj ruszyli wzdłuż podnóża wysokiej ściany skalnej, po piaszczystej plaży, którą odkryła opadająca woda. Lecz zamiast iść na północ, udali się na południe. Pencroff zauważył, że o kilkaset kroków od miejsca, gdzie wylądowali, brzeg wyginał się w wąski lej, który jego zdaniem był ujściem jakiejś rzeki lub potoku. Z jednej więc strony ważne było osiedlenie się w pobliżu źródła słodkiej wody, z drugiej zaś strony było całkiem możliwe, że prąd morski poniosł Cyrusa w tę stronę.

Jak już powiedzieliśmy, ściana skalna wznosiła się do wysokości trzystu stóp, ale od góry do dołu była jak wyciosana z jednego kamienia i nawet u jej podnóża, ledwie omywanego przez morze, nie było żadnej szczeliny mogącej służyć za tymczasowe schronienie. Był to solidny mur z twardego granitu, którego fale nigdy nie nadgryzły. Ponad jego szczytem unosiły się chmary wodnego ptactwa, w szczególności rozmaite gatunki pletwonogich o długich, spłaszczonych, spiczastych dziobach — krzykliwe i wcale nie zaniepokojone widokiem ludzi, którzy pewnie po raz pierwszy naruszali ich samotność. Wśród tego pletwonogiego ptactwa Pencroff rozpoznał kilka wydrzyków oraz małe żarłoczne mewki, gnieźdzące się w szczelinach granitowej ściany. Jednym strzałem w środek tego ptasiego roju można by ubić mnóstwo z nich, lecz do strzału potrzebna była strzelba, której ani Pencroff, ani Harbert nie mieli. Zresztą te mewki i wydrzyki ledwie dają się zjeść i nawet ich jaja mają obrzydliwy smak.

Tymczasem Harbert, zboczywszy nieco na lewo, natrafił wkrótce na kilka brył skalnych pokrytych wodorostami, które za kilka godzin przybierające morze miało znowu skryć pod wodę. Na tych skałach, wśród oślizłych porostów, roilo się od mięczaków w dwuczęściowych muszlach, pokarmu nie do pogardzenia dla zgłodniałych ludzi. Harbert przywołał zatem Pencroffa, który przybiegł z pośpiechem.

— O, to jadalne małże! — zawołał marynarz. — Zastąpią nam jaja.

— To nie są zwykłe małże — odparł Harbert, który uważnie przypatrywał się tym uczeptionym do skał mięczakom. — To litodomy<sup>29</sup>.

— A dadzą się jeść? — zapytał Pencroff.

— Oczywiście.

— Więc bierzmy się do nich.

Marynarz mógł co do tego polegać na zdaniu Harberta. Chłopak był bardzo mocny w naukach przyrodniczych i pasjonował się nimi od najmłodszych lat. Ojciec pchnął go więc w tym kierunku, posyłając na wykłady najlepszych profesorów w Bostonie, którzy polubili tego inteligentnego i pracowitego chłopca. Później jeszcze nieraz przydały się jego wiadomości przyrodnicze, a i teraz się nie pomylił.

Owe litodomy były to podłużne małże, skupione w grona i mocno przyczepione do skał. Należały do gatunku mięczaków-skałotoczy, drążących najtwardszy kamień; ich muszla zaokrąglą się na obu końcach, inaczej niż u zwykłych małży.

Pencroff z Harbertem mieli niezły posiłek z litodomów, których muszle pootwierały się na słońcu. Jedli je jak ostrzygi i przekonali się, że są tak ostre w smaku, że nie trzeba było do nich ani pieprzu, ani innej przyprawy.

Tym sposobem zaspokoiли chwilowo głód, ale po takiej potrawie jeszcze bardziej zaczęło im dokuczać pragnienie. Trzeba więc było poszukać słodkiej wody, a nie ulegało wątpliwości, że nie może jej brakować w okolicy tak bardzo urozmaiconej. Pencroff i Harbert, zaopatrzwszy się najpierw w obfity zapas litodomów, którymi napełnili kieszenie i chustki, wrócili do podnóża skały.

Po dwustu krokach doszli do wygięcia wybrzeża, które według przypuszczenia Pencroffa miało być ujściem rzeczki. W tym miejscu granitowa ściana urywała się, jakby rozerwana gwałtownymi podziemnymi siłami. U jej podnóża znajdowała się mała zatoczka, tworząca w głębi dosyć ostry kąt. Nurt wody miał około stu stóp szerokości, zaś

<sup>29</sup>litodomy — dziś popr.: *wkamienniki* (*Lithophaga*), rodzaj średniej wielkości małży o wydłużonej muszli przypominającej daktyl; w org.: *lithodomes*, od *Lithodomus* w klasyfikacji Cuviera z 1816. [przypis edytorski]



jego strome brzegi po obu stronach nie były szersze niż dwadzieścia stóp. Rzeka ta przeciskała się pomiędzy dwiema granitowymi ścianami, które nieco obniżały się przy ujściu. Trochę dalej rzeka nagle zakręcała i ginęła w zaroślach małego lasu odległego o pół mili od brzegu.

— Tu woda! Tam las! — zawołał Pencroff. — Cóż, Harbercie, brakuje nam tylko domu.

Woda w rzece była przejrzysta. Marynarz przekonał się, że podczas odpływu, kiedy fale morskie do niej nie docierają, jest słodka. Po ustaleniu tego ważnego faktu Harbert zaczął poszukiwania jakiejś grotty, która mogłaby posłużyć im za schronienie, ale daremnie. Skąła była wszędzie pionowa, gładka i równa.

Przy samym jednak ujściu rzeki, poza zasięgiem fal morskich podczas przyprływu, rumowiska skał utworzyły wprawdzie nie pieczarę, lecz spiętrzenie olbrzymich głazów, zwane kominami, jakie często napotyka się w okolicach obfitujących w pokłady granitowe.

Pencroff i Harbert zapuścili się dość daleko pomiędzy skały, w piaszczyste korytarze, gdzie światło wdzierало się przez szczeliny pomiędzy bryłami granitu, niekiedy utrzymującymi równowagę w sposób niepojęty dla oka. Lecz razem ze światłem wdzierал się także wiatr, prawdziwy przeciąg, a z wiatrem wlatywał z zewnątrz ostry, przenikliwy chłód. Marynarz jednak sądził, że zablokowanie pewnych odcinków tych korytarzy i zatkanie niektórych otworów mieszaniną kamieni i piasku, mogłoby te kominy uczynić zdarnymi do zamieszkania. Ich układ geometryczny przypominał znak &, oznaczający skrócone *et caetera*<sup>30</sup>. Po odcięciu górnej pętli znaku, którą wciśnięto do środka południowej i zachodniej wiatry, można by było wykorzystać dolną część na mieszkanie.

— Oto czego nam było potrzeba! — zawołał Pencroff. — Jeśli kiedyś znów będziemy mieli przy sobie pana Smitha, na pewno będzie umiał coś zrobić z tego labiryntu!

— Ujrzymy go jeszcze, ujrzymy — zawołał Harbert. — A kiedy powróci, trzeba, żeby zastał tutaj mieszkanie przynajmniej znośne. Doprowadzimy do tego, jeżeli nam się uda w lewym korytarzu urządzić ognisko i pozostawić otwór, przez który będzie wylatywał dym.

— Uda się nam, uda, mój chłopcze — odparł marynarz — a te Kominy (Pencroff pozostawił tę nazwę temu prowizorycznemu schronieniu) będą dla nas odpowiednie. Ale najpierw trzeba przygotować zapas opału. Sądzę, że drewno przyda się też do zatkania tych dziur, przez które diabeł teraz dmie jak w trąbkę.

Harbert i Pencroff opuścili Kominy i powróciwszy nad zatokę, poszli lewym brzegiem rzeki. Prąd był w tym miejscu dość wartki i unosił ze sobą kłody uschniętych drzew. Przyprływ morza, który już dawał się zauważyć, powinien wepchnąć je z powrotem na sporą odległość. Marynarz wpadł więc na myśl, że można by wykorzystać przyprływ i odpływ morza do transportowania ciężarów.

Po kwadransie marynarz z Harbert dotarli do ostrego łuku, jaki tworzyła rzeka, skręcając w lewo. Od tego miejsca płynęła przez las, gdzie rosły wspaniałe drzewa. Drzewa te, pomimo późnej pory roku, zachowały zielen, należąc rodziny drzew iglastych, rosnących we wszystkich częściach świata, zarówno w klimacie północnym, jak i w regionach podzwrotnikowych. Młody przyrodnik rozpoznał wśród nich pospolite w strefie himalajskiej cedry<sup>31</sup>, roztaczające bardzo przyjemną, żywiczną woń. Spomiędzy tych pięknych drzew strzelały w niebo kępy sosen, szeroko rozpościerających gęste, nieprzepuszczające światła korony. Idąc przez wysoką trawę, Pencroff poczuł, jak pod jego stopami łamią się suche gałęzie, trzaskając jak fajerwerki.

— No dobrze, mój chłopcze — powiedział do Harberta — może i nie znam nazw tych drzew, ale tyle przynajmniej wiem, że należą do kategorii „drzewo opałowe”, a w tej chwili tylko ten rodzaj nas obchodzi.

— Róbmy zapasy! — odparł Harbert i natychmiast wziął się do dzieła.

Zbieranie szło z łatwością. Nie trzeba było nawet odłamywać gałęzi, gdyż mnóstwo suchych leżało pod nogami. Lecz chociaż nie brakło opału, środki transportu pozostawiały

<sup>30</sup>*et caetera* (łac.) — i tak dalej; znak &, oznaczający skrócone „et caetera”: w rzeczywistości „&” jest połączeniem liter łac. spójnika *et*, wyrażenie *et caetera* zapisuje się skrótnie jako „etc.” lub jako „&c.”. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*cedr himalajski, Cedrus deodara* (bot.) — drzewo z rodziny sosnowatych, gatunek cedru występujący w Himalajach, osiągający do 50 m wysokości. [przypis edytorski]

wiele do życzenia. Drewno było bardzo suche i na pewno szybko się spalało. Dlatego należało sprowadzić je do Kominów w większej ilości, a we dwóch nie mogli zbyt wiele udźwignąć. Harbert zwrócił na to uwagę.

— Ech, mój chłopcze — odparł marynarz — musi się znaleźć jakiś sposób przetransportowania tego drewna. Na wszystko znajdzie się sposób! Gdybyśmy mieli wózek lub łódkę, to byłoby zbyt łatwe.

— Ale mamy rzekę! — zawołał Harbert.

— Słusznie — odparł Pencroff. — Rzeka będzie dla nas drogą, która sama jedzie, a nie na darmo wynaleziono tratwy i spławy.

— Tylko że nasza droga — zauważył Harbert — porusza się w tej chwili w przeciwną stronę, niż potrzebujemy, bo zaczyna się przypływ.

— Zaczekajmy na odpływ — odparł marynarz — a wtedy morze samo powiezie nasz opał do Kominów. Tymczasem przygotujmy tratwę!

Marynarz z Harbertem skierowali się ku miejscu, gdzie las zbliżał się do rzeki. Każdy z nich niósł tyle powiązanego w wiązki drewna, ile mógł udźwignąć. Na brzegu, w trawie, na której zapewne nigdy nie powstała ludzka stopa, również leżało mnóstwo suchych gałęzi. Pencroff natychmiast zabrał się do sporządzenia tratwy.

W malutkiej zatoczce, utworzonej przez występ brzegu, o który załamywał się nurt rzeki, marynarz z Harbertem spuszczała na wodę duże kawały drzewa powiązane suchymi lianami. W ten sposób sporządzili rodzaj tratwy, na której położyli całe zebrane drewno: mniej więcej tyle, że do dźwigania potrzeba by było dwudziestu ludzi. W ciągu godziny skończyli pracę i przywiązana do brzegu tratwa miała już tylko czekać na odpływ.

Mając zatem jeszcze kilka godzin wolnych, Pencroff i Harbert postanowili wspiąć się na górny płaskowyż i stamtąd rozejrzeć się dokładniej po okolicy.

W odległości dwustu kroków za załamaniem tworzonym przez rzekę skalista ściana wybrzeża, zakończona bezładnie natłoczonymi skałami, lekko nachylonym zboczem opadała do skraju lasu, tworząc jak gdyby naturalne schody. Marynarz i Harbert zaczęli wspinać się po nich. Dzięki swym silnym nogom w kilka minut dotarli na szczyt i stanęli na krawędzi urwiska ponad ujściem rzeki.

Pierwsze spojrzenie rzucili na ocean, który przebyli w tak okropnych okolicznościach. Ze wzruszeniem patrzyli na północną część wybrzeża, gdzie nastąpiła katastrofa. To tam zniknął Cyrus Smith. Szukali wzrokiem jakichś szczątków balonu, których mógłby uczyć się człowiek. Nic! Wokół tylko bezkresne wodne pustkowie. Brzeg również był pusty. Nigdzie nie było widać ani reportera, ani Naba. Możliwe jednak, że w tej chwili byli tak daleko, że nie można było ich dostrzec.

— Coś mi powiada — odezwał się Harbert — że taki dzielny człowiek, jak pan Cyrus, nie mógł pójść na dno jak pierwszy lepszy. Musiał gdzieś przypłynąć do brzegu. Prawda, Pencroffie?

Marynarz ze smutkiem potrząsnął głową. Nie spodziewał się już kiedykolwiek zobaczyć Cyrusa Smitha, lecz nie chcąc odbierać Harbertowi resztek nadziei, odparł:

— Niewątpliwie, niewątpliwie. Nasz inżynier da sobie radę nawet tam, gdzie każdy inny przepadłby z kretesem!...

Jednocześnie z wielką uwagą obserwował wybrzeże. Na dole rozciągała się piaszczysta plaża, zakończona na prawo od ujścia rzeki szeregiem sterczących z morza raf. Te wynurające się z wody skały wyglądały jak stada dużych płazów wylegujących się w kąpielni morskiej. Za pasem raf morze połyskiwało w promieniach słonecznych. Na południu widnokład zamykał ostry cypel, tak że nie można było rozpoznać, czy ląd ciągnie się dalej w tym kierunku, czy też wygina się na południowy wschód albo na południowy zachód, co oznaczałoby, że ta część wybrzeża tworzy rodzaj wydłużonego półwyspu. Na północnym krańcu zatoki linia brzegowa biegła daleko, mając bardziej zaokrąglony kształt. Tam wybrzeże było płytkie, płaskie, bez urwistych brzegów, z wielkimi ławicami piasku odkrywanymi przez odpływ morza.

Pencroff i Harbert spojrzeli teraz na zachód. Ich wzrok spoczął najpierw na górze ośnieżonym szczycie, piętrzącej się w odległości sześciu lub siedmiu mil. Począwszy od najbliższych stoków aż do miejsca odległego mniej więcej o dwie mile od brzegu ciągnęły się wielkie obszary lasów, ogołocone z liści, gdzieniegdzie tylko przerywane dużymi zielonymi plamami drzew iglastych. Dalej, od skraju tego lasu aż do samego brzegu morza,

zeleniła się szeroka równina porośnięta nieregularnie porozrzucanymi kępami drzew. Po lewej stronie tu i ówdzie przez zielen przeblyskiwała rzeka; wydawało się, że jej kręty bieg prowadzi pomiędzy zbocza górskie, gdzie zapewne miała źródło. W miejscu, gdzie marynarz zostawił tratwę, rzeka zaczynała płynąć pomiędzy dwiema wysokimi ścianami z granitu; po lewej jej brzegi były gładkie i strome, po prawej natomiast stopniowo się obniżały, lita skała zmieniała się w pojedyncze głazy, głazy w kamienie, kamienie w kamyki, pokrywające brzeg aż do końca cypla.

— Czyżbyśmy byli na wyspie?... — mruknął marynarz.

— W każdym razie wydaje się dość rozległa — odparł chłopak.

— Nawet największa wyspa jest tylko wyspą — powiedział Pencroff.

Jednak tej ważnej kwestii nie dało się na razie rozstrzygnąć. Trzeba to było odłożyć na później. W każdym razie ten ład, czy był wyspą, czy też kontynentem, wydawał się żyzny, malowniczy i obfitujący w różne zasoby.

— To szczęście w nieszczęściu — powiedział Pencroff — i powinniśmy za to podziękować Opatrzności.

— Niech więc Bogu będzie chwała! — odparł Harbert, którego pobożna dusza była przepełniona wdzięcznością dla Stwórcy wszechrzeczy.

Pencroff i Harbert długo przyglądali się krainie, na którą rzucił ich los, lecz po takich powierzchownych obserwacjach trudno było przewidzieć, co przyniesie im przyszłość.

Następnie powrócili, podążając południowym grzbietem granitowego płaskowyżu, na którym rysowały się długie festony<sup>32</sup> skał o najdziwniejszych kształtach. Tutaj w szczelinach skał gnieździły się setki ptaków. Skacząc ze skały na skałę, Harbert spłoszył całą skrzydlatą gromadę.

— Ach, to nie są mewy! — wykrzyknął.

— A cóż to za ptaki? — zapytał Pencroff. — Na honor, wyglądają na gołębie!

— Owszem — odparł Harbert — to są gołębie, ale dzikie, zwane skalnymi. Poznają je po podwójnym czarnym pasku na skrzydłach, po białym ogonie i niebieskopopielatym upierzeniu. A ponieważ gołąb skalny jest bardzo smaczny, więc i jego jaja muszą być wyśmienite. Zaraz zobaczymy, czy zostawiły jakieś jaja w gniazdach.

— Nie pozwolimy im się wyklucć, chyba że pod postacią jajecznicy! — odparł wesoło Pencroff.

— A w czym zrobisz jajecznicę? — zapytał Harbert. — W kapeluszu?

— Prawda — odparł marynarz — nie jestem sztukmistrzem. W takim razie uruczmy się jajami na twardo, mój chłopcze, a ja podejmuję się sprzątnąć najtwardsze!

Pencroff i Harbert przeszukali rozpadliny skalne i rzeczywiście w niektórych zagłębieniach znaleźli jaja. Zebrali kilka tuzinów, zawinęli w chustkę marynarza i ponieważ zbliżał się szczyt przypływu, zaczęli schodzić w kierunku rzeki.

Kiedy doszli do zakrętu, była pierwsza po południu. Prąd zaczął już zmieniać kierunek. Trzeba więc było korzystać z odpływu, aby tratwę z drewnem doprowadzić do ujścia rzeki. Pencroff nie zamierzał zostawić ładunku na łasce nurtu, ale nie miał też ochoty wsiąść na tratwę, żeby nią kierować. Marynarz jednak nigdy nie jest w kłopotcie, gdy chodzi o linę lub sznur. Pencroff skręcił naprędce z suchych lian linę długości kilku sążni<sup>33</sup> i przywiązał do tylnej części tratwy. Chwycił za drugi koniec liny, podczas gdy Harbert długą żerdzią odpychał tratwę od brzegu, nakierowując ją na prąd wody.

Pomysł powiódł się doskonale. Wielki ładunek drzewa wstrzymywany ręką idącego brzegiem marynarza płynął prosto z prądem rzeki. Brzegi były bardzo strome, więc nie było obaw, że tratwa osiadzie na piasku. Zanim minęły dwie godziny, ładunek dotarł do ujścia rzeki, o kilka kroków od Kominów.

## ROZDZIAŁ V

<sup>32</sup>feston — dekoracja z podwieszanej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>sążeń — daw. jednostka długości, równa szerokości rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny; tu: sążeń amerykański wynoszący ok. 1,8 m. [przypis edytorski]

*Urządzanie Kominów. — Ważna kwestia ognia. — Pudełko z zapalkami. — Poszukiwania na wybrzeżu. — Powrót reportera i Naba. — Tylko jedna zapalka! — Ognisko. — Pierwsza kolacja. — Pierwsza noc na lądzie.*

Kiedy tylko tratwa z drewnem została wyladowana, pierwszą troską Pencroffa było przystosować Kominę do zamieszkania, zatykając otwory i dziury, którymi wpadał wiatr. Za pomocą piasku, kamyków, splecionych gałęzi i mokrej ziemi pozapychali szczelnie górną pętlę znaku & oraz wszystkie boczne krużganki wystawione na południowy wiatr. Zostawili tylko jedną poboczną odnogę, wąską i krętą, aby dym miał którędy uchodzić, a ognisko miało potrzebny ciąg. Tym sposobem podzielili Kominę na kilka pokojów, jeśli można tak nazwać ciemne jamy, z których dzikie zwierzę niezbyt byłoby zadowolone. Tyle przynajmniej było z nich korzyści, że były suche i że można było w nich prosto stanąć, zwłaszcza w głównym pokoju, zajmującym środkową część Kominów. Podłogę stanowił drobny piasek i wzięwszy wszystko razem w rachubę, można tam było jako tako wytrzymać, dopóki by się nie trafiło coś lepszego.

Podczas pracy Harbert i Pencroff rozmawiali ze sobą.

— A może nasi towarzysze — powiedział Harbert — znajdą gdzieś schronienie lepsze od naszego.

— Możliwe — odparł marynarz — ale w razie wątpliwości potrzeba przezorności! Lepiej mieć dwie cięciwy do jednego łuku, niż nie mieć żadnej.

— Ach — powiedział Harbert — żeby tylko przyprowadzili ze sobą pana Smitha, żeby go odszukali. O, to byśmy Bogu za to podziękowali!...

— Prawda! Prawda! — mruknął Pencroff. — Był to człowiek jakich mało!

— Jak to „był”...? Więc nie masz nadziei znów go zobaczyć?

— Broń Boże! — zaprzeczył marynarz.

Robota była tymczasem gotowa i Pencroff oświadczył, że jest z niej bardzo zadowolony.

— Teraz — powiedział — nasi przyjaciele mogą powrócić. Znajdą całkiem znośne schronienie.

Pozostało tylko urządzić palenisko i przygotować posiłek. Było to zadanie doprawdy proste i łatwe. Na dnie pierwszego korytarza po lewej stronie, przy wylocie specjalnie pozostawionego wąskiego otworu, położyli duże płaskie kamienie. Ciepło unoszące się z paleniska, które nie uleci na zewnątrz z dymem, wystarczy do utrzymania wewnątrz przyzwoitej temperatury. Jedną z komór przeznaczyli na skład drzewa. Pencroff położył na płytach paleniska kilka polan i nieco drobniejszych gałązek.

Marynarz był zajęty tą pracą, gdy Harbert zapytał go, czy ma zapalki.

— Rozumie się — odparł Pencroff — i muszę dodać: na szczęście, bo bez zapalek lub hubki<sup>34</sup> bylibyśmy w nie lada kłopotcie!

— Moglibyśmy poradzić sobie tak jak dzicy — powiedział Harbert — pocierając o siebie dwa kawałki suchego drzewa.

— Spróbuj, mój chłopcze — odparł marynarz — a zobaczymy, czy oprócz tego, że nadwyrężysz ręce, dojdiesz do jakiegoś rezultatu.

— Przecież to sposób zupełnie prosty i bardzo rozpowszechniony na wyspach Pacyfiku.

— Nie przeczę — powiedział Pencroff. — Sądzę jednak, że dzicy muszą wiedzieć lepiej, jak się do tego zabrać, lub używają jakiegoś szczególnego gatunku drzewa. Nieraz już próbowałem rozniecić w ten sposób ogień, ale nigdy mi się nie udało. Przyznaję się więc, że wolę zapalki. Gdzie są moje zapalki?

Pencroff sięgnął do kamizelki po pudełko z zapalkami, które jako namiętny palacz zawsze nosił przy sobie. W kamizelce go nie było. Przetrzęsął kieszenie u spodni, lecz ku swemu największemu zdziwieniu tam też go nie znalazł.

<sup>34</sup>hubka — wysuszony miąższ huby lub inny materiał łatwo się tłący, stosowany przy rozpalaniu ognia za pomocą krzesiwa. [przypis edytorski]

— Głupia sprawa, a nawet gorzej niż głupia! — zawołał, patrząc na Harberta. — Pudełko musiało mi wylecieć z kieszeni i je zgubiłem. A ty, Harbercie, nie masz przy sobie nic, ani krzesiwa<sup>35</sup>, ani nic takiego, czym by można rozniecić ogień?

— Nie mam nic!

Drapiąc się w głowę, marynarz wyszedł, a za nim Harbert.

Obaj szukali uważnie w piasku pomiędzy skałami i nad brzegiem rzeki, ale na próżno. Pudełko było mosiężne i powinno od razu wpaść w oko.

— Słuchaj, Pencroffie — powiedział Harbert — nie wyrzucisz przypadkiem tego pudełka z kosza do morza?

— Nie jestem aż tak nierozsądny — odparł marynarz. — Ale kiedy człowiekiem tak rzuca na wszystkie strony, jak nami rzucano, to taka mała rzecz może łatwo się wytrząść. Nawet fajka gdzieś przepadła! Przekłete pudełko! Gdzie ono może być?

— Zaczyna się odpływ — powiedział Harbert — biegnijmy na miejsce, gdzieśmy wylądowali.

Istniało małe prawdopodobieństwo, żeby udało im się odnaleźć pudełko, które fale w czasie przyływu musiały toczyć pomiędzy kamieniami, mimo to jednak należało sprawdzić tę możliwość. Harbert i Pencroff pospieszyli więc co tchu na miejsce, w którym dzień przedtem wylądowali, oddalone mniej więcej o dwieście kroków od Kominów.

Skrupulatnie szukali pomiędzy kamykami i w rozpadlinach skał, ale bez skutku. Jeżeli pudełko wypadło w tym miejscu, fale musiały je porwać i unieść ze sobą. W miarę jak morze ustępowało, marynarz przeszukiwał najdrobniejsze szczeliny między skałami, wszystko daremnie. W tych okolicznościach była to ciężka strata i jak na teraz niepowetowana.

Pencroff nie ukrywał bolesnego rozczarowania. Zmarszczył czoło, lecz nie odezwał się ani słowem. Harbert, chcąc go pocieszyć, zauważył, że zapalki prawdopodobnie i tak byłyby zamoczone wodą morską i nie nadawałyby się do użytku.

— Ależ nie, mój chłopcze — odparł marynarz. — Były w mosiężnym pudełku, szczelnie zamkniętym! I co teraz zrobimy?

— Z pewnością znajdziemy jakiś sposób zdobycia ognia. Pan Smith lub pan Spiletta dadzą sobie z tym radę.

— Być może — odparł Pencroff — ale tymczasem nie mamy ognia, a nasi towarzysze po powrocie zastaną marny posiłek.

— Ale to niemożliwe — zawołał żywo Harbert — żeby nie mieli przy sobie ani hubki, ani zapalek!

— Wątpię — odparł marynarz, potrząsając głową. — Przede wszystkim ani Nab, ani pan Smith nie palą, a co do pana Spilletta, obawiam się, że prędzej zachował swój notatnik niż pudełko zapalek.

Harbert nie odpowiedział na to ani słowa. Strata pudełka była oczywiście bardzo przykra. Chłopiec miał jednak nadzieję, że w taki czy inny sposób uda im się uzyskać ogień. Pencroff, bardziej doświadczony, chociaż nie należał do ludzi, których trudności wprawiają w zakłopotanie, był innego zdania. W każdym razie nie pozostawało im nic innego, jak oczekiwać powrotu Naba i reportera. Ale trzeba było zrezygnować z jaj na twardo, które chciał dla nich przygotować, a dieta z surowego mięsa nie wydawała mu się przyjemną perspektywą ani dla nich, ani dla pozostałych.

Przed powrotem do Kominów marynarz i Harbert zebrali świeży zapas litodomów, na wypadek gdyby nie udało się rozpalić ognia, i w milczeniu zawrócili do schroniska.

Z oczyma wlepionymi w ziemię Pencroff wciąż szukał utraconego pudełka. Przeszedł nawet cały lewy brzeg rzeki, od ujścia aż do tego zakrętu, gdzie był uwiązany splaw z drzewem. Wrócił na górny płaskowyż i przemierzył go od końca do końca, przeszukał wysoką trawę na skraju lasu — wszystko bezskutecznie.

Gdy Harbert z marynarzem powrócili do Kominów, była piąta po południu. Nie trzeba dodawać, że przeszukali wszystkie najciemniejsze zakątki korytarzy, zanim pożegnali się zupełnie z nadzieją.

<sup>35</sup>krzesiwo — narzędzie służące do uzyskiwania iskry przez uderzenie nim w krzemień, zwykle wykonane ze stali. [przypis edytorski]

Okolo godziny szóstej, gdy słońce znikalo za pasmem wzgórz na zachodzie, Harbert, który kręcił się tam i z powrotem po plaży, dał znać, że Nab i Spilett wracają.

Niestety, powracali sami!... Serce Harberta ścisnęło się w niewymownym żalu. Marynarza nie omyliły przecucia. Inżynier Cyrus Smith zginął bez wieści!

Reporter, nie mówiąc ani słowa, usiadł na jednej ze skał. Omdlewając ze zmęczenia, umierając prawie z głodu, nie miał siły wymówić ani słowa.

Zaczerwione od płaczu oczy Naba i świeże łzy, których nie mógł powstrzymać, świadczyły aż nazbyt wyraźnie, że stracił wszelką nadzieję!

Reporter opowiedział, jak poszukiwali Cyrusa Smitha. Razem z Nabem przemierzili wybrzeże na przestrzeni ponad ośmiu mil, więc znacznie dalej, niż znajdowało się miejsce, gdzie nastąpił przedostatni upadek balonu, któremu towarzyszyło zniknięcie Cyrusa z jego psem Topem. Brzeg był bezludny. Nigdzie ani śladu, ani znaku żywej duszy. Na całej tej polaci wybrzeża nie znaleźli ani świeżo poruszonego kamyka, ani śladu stopy ludzkiej na piasku. Było oczywiste, że nigdy noga żadnego z mieszkańców wyspy nie powstała w tej części wybrzeża. Morze było równie puste jak brzegi, i właśnie tam, o kilkaset stóp od brzegu, inżynier musiał znaleźć swój grób.

W tej chwili Nab zerwał się na nogi i głosem, który zdradzał, że w jego piersi wciąż walczy nadzieja, zawołał:

— Nie, nie! On nie zginął! Nie, to niemożliwe! On! Przenigdy! Ja! Ktokolwiek inny, co innego! Ale on! Nigdy! To człowiek, co zawsze da sobie radę!...

Po tych słowach opuściły go siły i slaniając się, wyszeptał:

— Ach, już nie mam sił!

Harbert podbiegł do niego.

— Nabie — zawołał — odszukamy go jeszcze! Bóg go nam zwróci! Ale teraz jesteś głodny! Zjedz, zjedz trochę, proszę cię!

I mówiąc to, podał biednemu Murzynowi parę garści mały; nędzne i niedostateczne to było pożywienie.

Nab od dawna nic nie miał w ustach, mimo to nie przyjął posiłku. Osierocony przez swojego pana nie mógł i nie chciał już żyć.

Natomiast Gedeon Spilett chciwie połykał mięczaki; potem położył się na piasku u podnóża skały. Był wycieńczony, ale spokojny.

Wtedy Harbert zbliżył się do niego, wziął go za rękę i powiedział:

— Drogi panie, znaleźliśmy schronienie, gdzie będzie panu wygodniej niż tu. Nadchodzi noc. Niech pan sobie odpocznie, a jutro zobaczymy...

Reporter wstał i podążył za chłopakiem w stronę Kominów.

W tej chwili podszedł do niego Pencroff i tonem najnaturalniejszym w świecie zapytał go, czy przypadkiem nie ma przy sobie zapalek.

Reporter zatrzymał się, poszukał w kieszeniach i nie znalazłszy, odparł:

— Miałem je przy sobie, lecz musiałem razem z innymi rzeczami wyrzucić w morze...

Marynarz zadał wówczas to samo pytanie Nabowi i otrzymał tę samą odpowiedź.

— Do kroćset diabłów! — zawołał, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

Usłyszawszy to, reporter podszedł do Pencroffa i zapytał:

— Nie ma ani jednej zapalki?

— Ani jednej, więc nie ma ognia!

— Ach, gdyby pan mój był tutaj — zawołał Nab — on by na to poradził!

Czterej rozbitkowie znieruchomieli i popatrzyli po sobie z niepokojem. Harbert pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Spilett — powiedział — pan przecież pali i zawsze ma pan przy sobie zapalki. Może pan źle szukał? Niech pan poszuka jeszcze raz! Wystarczyłaby nam jedna, jedyna zapalka!

Reporter przetrząsnął na nowo wszystkie kieszenie spodni, kamizelki, palta, i wreszcie, ku wielkiej radości Pencroffa i własnemu zdumieniu, namacał mały kawałeczek drewna pod podszewką kamizelki. Palce jego dotknęły tego kawałeczka przez materiał, ale nie mogły go wyciągnąć. Ponieważ była to zapewne zapalka, i to jedyna, jaką posiadali, musieli więc być ostrożni, żeby nie zdrapać z niej fosforu.

— Może pan pozwoli, że ja ją wyjmę? — powiedział chłopiec.

I bardzo zręcznie wyciągnął w całości zapalkę, to nędzne, a tak cenne źdźbło drewna, które dla tych nieszczęsnych ludzi miało wielką wartość. Zapalka była nienaruszona.

— Zapalka! — zawołał Pencroff. — To tak, jakbyśmy mieli cały magazyn!

Wziął zapalkę do ręki i wszyscy poszli do Kominów.

Ten kawałek drewna, który w krajach zamieszkałych marnuje się tak obojętnie i który nie ma tam żadnej wartości, tutaj należało traktować z największą ostrożnością. Marynarz przekonał się, że zapalka jest sucha, po czym powiedział:

— Potrzeba kawałka papieru.

— Proszę — odparł Gedeon Spilett, wydarłszy po chwili wahania jedną kartkę ze swojego notatnika.

Pencroff wziął papier do ręki i przykucnął koło ogniska. Wsunął pod chrust kilka garści suchych liści, trawy i mchu w ten sposób, aby powietrze miało swobodny dostęp i aby drewno mogło się szybko zająć płomieniem.

Potem Pencroff zwinął papier w rożek, jak to robią palacze fajki podczas silnego wiatru, i wsunął go pomiędzy mech. Wybrał następnie nieco chropowaty kamyk, starannie go oczyścił i z bijącym sercem leciutko potarł o niego zapalkę, wstrzymując oddech w piersi.

Pierwsze potarcie było bez skutku. Pencroff nie dość silnie przycisnął lebek zapalki, obawiając się zetrzeć fosfor.

— Nie, nie mogę — powiedział po chwili. — Ręka mi drży... Zapalka mi zgaśnie... Nie mogę... Nie chcę... — I podnosząc się, powiedział do Harberta, aby go zastąpił.

Chłopak pewnie w całym swym życiu nigdy tak nie był wzruszony, jak teraz. Serce biło mu gwałtownie. Prometeusz<sup>36</sup>, kiedy kradł ogień z nieba, nie mógł być bardziej przejęty! Jednak nie wahając się długo, szybko potarł zapalkę o kamień. Rozległ się cichy trzask, po czym zamigotał mały niebieskawy płomyczek, wydając ze siebie gryzący dym. Harbert delikatnie odwrócił zapalkę, aby podsyćć płomień i wsunął ją w papierowy rożek. Papier zajął się w ciągu kilku sekund, a zaraz potem od niego zapalił się mech.

W kilka chwil później słychać było trzask suchego drzewa i wesoły płomień, podsycany gorliwym dmuchaniem przez marynarza, oświetlił ponurą ciemność.

— Nareszcie! — zawołał Pencroff, wstając ze ziemi. — Nigdy w życiu nie byłem tak przejęty!

Bez wątpienia palenisko z kamiennych płyt było dobrze urządzone. Dym z łatwością ulatywał przez wąski otwór, ciąg był dostateczny i wkrótce rozeszło się przyjemne ciepło.

Teraz należało czuwać, by ognisko nigdy nie zgasio i zawsze przechowywać pod popiołem trochę żaru. Zresztą była to tylko kwestia pilności i uwagi. Drewna bowiem nie brakowało, a zapas zawsze można było uzupełnić w odpowiednim czasie.

Pencroff zamierzał przede wszystkim skorzystać z ognia do ugotowania kolacji pożywniejszej od dania z litodomów. Harbert przyniósł dwa tuziny jaj. Reporter, siedząc w kącie, przypatrywał się w milczenia tym przygotowaniom. Jego myśli zaprzętały trzy pytania: Czy Cyrus nadal żyje? Jeżeli żyje, to gdzie może się znajdować? Jeśli ocalał, to jak wytłumaczyć, że nie znalazł sposobu, żeby dać im znak życia? Natomiast Nab błąkał się po wybrzeżu. Był tylko ciałem bez duszy.

Pencroff znał pięćdziesiąt dwa sposoby przyrządzania jaj, lecz w tej chwili nie miał pomiędzy nimi żadnego wyboru. Włożył więc jaja w gorący popiół i czekał, aż upieką się na wolnym ogniu.

Po kilku minutach jaja były gotowe i marynarz zaprosił reportera na kolację. Był to pierwszy posiłek rozbitków na tym nieznanym wybrzeżu. Pieczone jaja były bardzo smaczne, a ponieważ jajo zawiera wszystkie potrzebne składniki odżywcze, więc biedni rozbitkowie poczuli się wzmocnieni na siłach.

Ach, gdyby nie to, że jednego z nich brakowało przy tym posiłku! Gdyby pięciu więźniów, którzy uciekli Richmond, znalazło się tutaj razem, pod tym sklepieniem ze skał, przy tym jasnym, wesołym ognisku, na suchym piasku, wówczas mogliby tylko gorąco dziękować Bogu! Ale niestety, nie było wśród nich najbardziej pomysłowego,

<sup>36</sup>Prometeusz (mit. gr.) — bohater, który wykradł ogień z nieba i przyniósł go ludziom. Za karę został przykuty do skał Kaukazu, gdzie sęp wyjadał mu codziennie odrastającą wątrobę. [przypis edytorski]

najlepiej wykształconego z nich, ich niekwestionowanego przywódcy, Cyrusa Smitha, i nawet jego ciało zostało bez pogrzebu.

Tak minął dzień 25 marca. Nadeszła noc. Na zewnątrz świszczał wiatr i słychać było monotony plusk morza o brzeg. Miotane falami kamienie toczyły się tam i z powrotem z ogłuszającym hałasem.

Reporter spisał pokrótce zdarzenia tego dnia: pierwsze pojawienie się nowego łądu, zniknięcie inżyniera, zbadanie wybrzeża, zajście z zapalkami i tak dalej. Po czym oddalił się w ciemny kąt jednego z korytarzy i znużenie spowodowało ożywczy sen na jego powieki.

Harbert także niebawem usnął. Marynarz, śpiąc jednym okiem, a drugim czuwając, spędził całą noc przy ognisku, dokładając ustawicznie świeżego drewna. Tylko jeden z rozbitków nie położył się spać w Kominach. Był nim zrozpaczony, niepocieszony Nab, który głuchy na namowy towarzyszy doradzających mu kilka godzin spoczynku, całą noc błąkał się po wybrzeżu, wołając swojego pana.

## ROZDZIAŁ VI

*Inwentarz rozbitków. — Zupełnie nic. — Kawatek spalonego płótna. — Wycieczka do lasu. — Roślinność w lesie. — Uciekający złotopiór. — Ślady dzikich zwierząt. — Kuruku. — Prerokury. — Niezwykły polów na wędkę.*

Podamy teraz dokładny spis przedmiotów, jakie posiadali nasi rozbitkowie, wyrzuceni na ziemię, jak się zdawało, bezludną.

Oto nie posiadali zupełnie nic, oprócz ubrań, które mieli na sobie w chwili ostatecznej katastrofy. Musimy jednak wspomnieć także o notatniku i o zegarku, które Gedeon Spilett zachował zapewne przez zapomnienie. Nie mieli ani broni, ani narzędzi, ani nawet scyzoryka. Wszystko wyrzucili z kosza, aby ulżyć balonowi.

Fantastyczni bohaterowie Daniela Defoe<sup>37</sup> lub Wyssa<sup>38</sup>, Selkirk<sup>39</sup> czy Raynalowie, których statki rozbiły się na Juan Fernandez lub na archipelagu Auckland, nie byli nigdy pozbawieni zupełnie wszystkiego. Czerpali z obfitych zapasów swego rozbitego statku, zabierali z niego zboże, bydło, narzędzia czy amunicję, albo też morze wyrzucało im na brzeg szczątki jakiegoś wraku, dzięki czemu mogli zaspokoić najważniejsze potrzeby życiowe. Nigdy nie stawali od pierwszej chwili całkiem bezbronni wobec dzikiej przyrody. Nasi rozbitkowie nie mieli ani narzędzi, ani sprzętu. Od niczego musieli dojść do wszystkiego!

Gdyby choć jeszcze był z nimi Cyrus Smith, gdyby mógł przywołać na pomoc swoją wiedzę praktyczną i pomysłowość, może sytuacja nie byłaby tak beznadziejna! Niestety, nie mogli się już spodziewać, że znów go zobaczą. Rozbitkowie mogli liczyć tylko na siebie i na Opatrzność, która nie opuszcza nigdy tych, co jej szczerze ufają.

Przed wszystkim należało zdecydować: czy mieli osiedlić się w tej części wybrzeża, nie próbując nawet dowiedzieć się, czy należy ono do jakiegoś kontynentu, czy jest zamieszkane, czy też może jest tylko częścią samotnej, bezludnej wyspy?

Była to ważna kwestia, którą trzeba było rozstrzygnąć w jak najkrótszym czasie. Od odpowiedzi bowiem zależały dalsze decyzje. Pencroff radził jednak, żeby poczekać jeszcze kilka dni przed podjęciem wyprawy badawczej. Trzeba było przygotować zapasy żywności i postarać się o pożywienie bardziej posilne niż jaja i mięczaki. Wybierając się na dłuższą wyprawę, w której czekały ich długotrwałe trudy, bez schronienia, gdzie mogliby odpocząć, musieli najpierw przede wszystkim wzmocnić nadwątlone siły.

<sup>37</sup>Defoe, Daniel, właśc. Daniel Foe (1660–1731) — pisarz ang., autor słynnej powieści przygodowej *Przypadki Robinsona Cruzo* (1719), opowiadającej dzieje rozbitka, który spędził wiele lat na bezludnej, tropikalnej wyspie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Wyss, Johann David (1743–1818) — autor szwajcarski, znany z popularnej niegdyś powieści przygodowo-pedagogicznej *Robinson szwajcarski* (1812), inspirowanej książką Daniela Defoe, opisującej losy szwajcarskiej rodziny Raynal, ocalałej z katastrofy statku płynącego do Australii i zmuszonej wieść życie na bezludnej wyspie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Selkirk, Aleksander, właśc. Alexander Selcraig (1676–1721) — szkocki żeglarz i korsarz, który spędził samotnie cztery lata na bezludnej wyspie niewielkiego archipelagu Juan Fernández na Oceanie Spokojnym; jego losy były inspiracją dla Daniela Defoe do napisania książki o Robinsonie Cruzo. [przypis edytorski]



Na razie Kominy stanowiły dostateczne schronienie. Ogień był rozpalony i nietrudno było utrzymać żar. Wśród skał i na plaży nie brakowało małży i jaj. Może znaleźli się sposób, żeby zabić kilka gołębi, które setkami unosiły się nad płaskowyżem, choćby kijami lub kamieniami. A może drzewa pobliskiego lasu rodziły jakieś jadalne owoce? Prócz tego mieli niedaleko słodką wodę. Postanowiono zatem pozostać jeszcze kilka dni w Kominach, żeby przygotować się na dłuższą wyprawę wzdłuż wybrzeża lub w głąb łądu.

Projekt ten szczególnie odpowiadał Nabowi. Uparty w swoich myślach i przecuciach, nie palił się do porzucenia tej części wybrzeża, gdzie wydarzyła się katastrofa. Nie wierzył i nie chciał wierzyć w śmierć Cyrusa. Wydawało mu się niemożliwe, aby taki człowiek zginął w tak pospolity sposób, porwany przez falę, utonął o kilkaset kroków od brzegu. Dopóki fale nie wyrzuciły na brzeg ciała inżyniera, dopóki on, Nab, własnymi oczyma nie zobaczy, własnymi rękami nie dotknie zwłok swojego pana, dopóty nigdy nie uwierzy w jego śmierć. Ta myśl zagnieździła się w sercu Naba uporczywiej niż kiedykolwiek. Była to może mrzonka, ale mrzonka godna szacunku, której marynarz nie chciał go pozbawiać. Sam nie miał już żadnej nadziei, dla niego Cyrus zginął bezpowrotnie w toni morskiej, ale z Nabem nie warto było się sprzeczać. Był jak pies, który nie chce porzucić miejsca, gdzie zginął jego pan, a jego boleść była tak wielka, że najpewniej nie przeżyłby jego śmierci.

Tego ranka, 26 marca, o świcie Nab poszedł wzdłuż brzegu na północ i zaszedł aż do miejsca, gdzie morze prawdopodobnie pochłonęło nieszczęsnego Cyrusa. Śniadanie składało się tego dnia z jaj gołębic i litodomów. Harbert znalazł sól, która osadziła się w zagłębieniach skał wskutek parowania wody morskiej; w sam raz przydała się rozbitkom.

Po jedzeniu zapytał Pencroff reportera, czy nie zechciałby towarzyszyć jemu i Harbertowi do lasu, gdzie się wybierali, aby spróbować szczęścia w polowaniu. Po głębszym zastanowieniu uznali jednak, że ktoś musi zostać, by podtrzymywać ogień oraz na wypadek, zresztą mało prawdopodobny, gdyby Nab potrzebował pomocy. Reporter zatem pozostał w Kominach.

— A nam, Harbercie, czas na łowy — powiedział marynarz. — Amunicję znajdziemy po drodze, a strzelby wytniemy sobie w lesie.

Już mieli odejść, gdy Harbert zauważył, skoro nie mają hubki, roztropnie byłoby zastąpić ją czymś innym.

— A czym? — zapytał Pencroff.

— Spalonym płótnem — odparł chłopak. — W razie potrzeby może zastąpić hubkę.

Marynarz pochwalił ten pomysł. Cała niedogodność polegała tylko w tym, że trzeba było poświęcić kawałek chustki. Sprawa była jednak tego warta i wkrótce część kracastej chustki Pencroffa przemieniła się w na wpół spaloną szmatę. Otrzymaną w ten sposób łatwopalną substancję schowano w środkowym pokoju, w małym wydrążeniu skalnym, chronionym przed wiatrem i wilgocią.

Była dziewiąta rano. Niebo było pochmurne, wiatr wiał z południowego wschodu. Harbert i Pencroff skręcili za Kominami, rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na smugę dymu wijącą się nad szczytem skały, po czym podążyli dalej lewym brzegiem rzeki.

Gdy przybyli do lasu, Pencroff zaraz wylał z drzewa duże, grube gałęzie, z których zrobił mocne pałki, a Harbert zaostrzył ich końce, przycierając o skałę. Ach, co by oddał za dobry nóż! Następnie obaj myśliwi poszli dalej przez wysoką trawę wzdłuż stromej skarpy. Począwszy od zakrętu rzeki, który kierował jej bieg na południowy zachód, jej koryto stopniowo się zwężało, a wysokie brzegi tworzyły wąskie łożysko, obramowane podwójną arkadą<sup>40</sup> drzew. Ażeby nie zablądzić, Pencroff postanowił trzymać się skraju rzeki, który w razie potrzeby zaprowadziłby ich z powrotem do punktu wyjścia. Jednak droga wzdłuż brzegu była pełna przeszkód: tu drzewa, których giętkie gałęzie zwisały do samej wody, tam znów liany albo ciernie, przez które trzeba się było przedzierać, torując sobie drogę kijem. Miejscami Harbert zwinnie jak młody kot przemykał wśród połamanych gałęzi i zwalonych pni i znikał w gęstwinie. Pencroff przywoływał go natychmiast, prosząc, by zbytnio się nie oddalał.

Tymczasem marynarz uważnie obserwował ukształtowanie i charakter okolicy. Na lewym brzegu, którym szli, teren był płaski i stopniowo wznosił się w miarę oddalania się

<sup>40</sup>arkada — element architektoniczny składający się z dwóch podpór (filarów, kolumn) połączonych od góry łukiem. [przypis edytorski]

od rzeki. Miejscami mokry, robił wrażenie bagnistego. Pod powierzchnią była zapewne cała sieć wód podskórnych, sączących się podziemnymi kanałami i wpadających do rzeki. Tu i ówdzie przez gęstwinę płynął strumyk, który z łatwością można było przeskoczyć. Przeciwny brzeg wydawał się bardziej pagórkowaty, a dolina, w której rzeka wyłobyla sobie koryto, rysowała się tam wyraźnie. Dalszy widok zasłaniało wzgórze pokryte drzewami, których korony układały się w tarasy. Prawym brzegiem byłoby trudniej iść, grunt był bowiem bardziej nierówny i spadzisty, a przechylone do samej wody drzewa utrzymywały się tylko siłą swych korzeni.

Nie trzeba dodawać, że las ten, podobnie jak część wybrzeża, którą już przeszli, nie zdradzał śladu ludzkiej stopy ani ręki. Pencroff zauważył tylko świeże ślady jakichś czworonożnych zwierząt, których gatunku nie potrafił rozpoznać. Sądził jednak, a jego zdanie podzielał także Harbert, że niektóre z tych śladów należały do straszliwych drapieżników, z którymi lepiej się nie spotkać. Nigdzie jednak nie znaleźli ani śladów siekiery na pniu drzewa, ani resztek wygasłego ogniska, ani odcisków stopy ludzkiej. Zresztą być może powinni się z tego cieszyć, gdyż obecność ludzi na tym kawałku ziemi pośrodku Pacyfiku mogła wzbudzać raczej obawę niż radość.

Harbert i Pencroff, którym ciągle przeszkody nie pozwalały na swobodniejszą rozmowę, posuwali się naprzód bardzo powoli, tak że po godzinie uszli zaledwie milę. Dotychczas nic nie upolowali. W gałęziach jednak świergotało i trzepotało się trochę bardzo płochliwych ptaków, w których widok ludzi zdawał się wzbudzać instynktowny lęk. W bagnistej części lasu Harbert spostrzegł ptaka z ostrym i długim dziobem, podobnego z wyglądu do zimorodka, od którego różnił się jednak upierzeniem o metalicznym połysku.

— To musi być złotopiór<sup>41</sup> — powiedział Harbert, próbując zbliżyć się nieco do ptaka.

— To dobra okazja skosztować mięsa złotopióra — odparł marynarz — gdyby miał ochotę dać się upiec.

W tej chwili kamień zręcznie i silnie rzucony ręką Harberta trafił ptaka pod samo skrzydło, ale uderzenie nie było dość mocne, bo złotopiór zerwał się i pełnym pędem swych nóg umknął w mgnieniu oka w gęstwinę.

— Ależ ze mnie niezłota! — zawołał Harbert.

— Wcale nie, mój chłopcze! — odparł marynarz. — Rzut był dobry, a niejednego chybiłby ptaka. Nie przejmuj się. Następnym razem nam się nie wywinie!

I podążyli dalej w las. Im dalej szli, tym drzewa były rzadsze i bardziej okazałe, ale żadne nie rodziło jadalnych owoców. Nadaremnie Pencroff szukał tych cennych palm, mających tyle zastosowań w życiu codziennym, spotykanych aż do czterdziestego równoleżnika półkuli północnej i do trzydziestego piątego półkuli południowej. Ale w tym lesie rosły tylko drzewa iglaste: cedry himalajskie, które wcześniej rozpoznał Harbert, daglezie<sup>42</sup>, podobne do tych, które rosną na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki, i wspinałe jodły, mające sto pięćdziesiąt stóp wysokości.

W tej chwili chmura małych ptaszek o pięknym upierzeniu i długich, mieniącym się ogonach rozpierzchna się wśród gałęzi, gubiąc słabo przytwierdzone pióra, które pokryły ziemię delikatnym puchem. Harbert podniósł kilka tych piórek i przyjrawszy im się dokładnie, powiedział:

— To są kuruku<sup>43</sup>.

— Wołałbym perliczkę lub głuszca — odparł Pencroff — no, ale jeśli nadają się do jedzenia?...

— Nadają się — powiedział Harbert — a nawet ich mięso jest bardzo delikatne. Zresztą, jeśli się nie mylę, łatwo się do nich zbliżyć i zabić kijem.

Czołgając się w trawie, marynarz i chłopiec podkradli się aż pod drzewo, którego dolne gałęzie pokryte były tymi ptaszkami. Kuruku czatowały tutaj na przelatujące owady, którymi się żywią. Opierzonymi łapkami uczepiły się mocno gałązek, na których siedziały.

<sup>41</sup>złotopiór a. złotka (biol.) — ptak z rzędu dzięciołowych zamieszkujący polany w tropikalnych lasach deszczowych Ameryki Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>daglezia (bot.) — jedlica, rodzaj drzew szpilkowych z rodziny sosnowatych; tu: daglezia zielona z zach. części Ameryki Płn., osiągająca do 120 m wysokości. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>kuruku (biol.) — właśc.: trogon niebieskogłowy (*Trogon curucui*), średniej wielkości ptak o połyskliwych piórach, zamieszkujący lasy dorzecza Amazonki. [przypis edytorski]

Myśliwi szybko wstali i wywijając kijami zmiotali całe rzędy kuruku, które nie myśląc nawet o ucieczce, pozwalały się zabijać. Dopiero gdy prawie setka ptaków leżała już na ziemi, pozostałe zdecydowały się uciekać.

— Brawo! — zawołał Pencroff. — Oto zwierzyna jakby stworzona dla takich myśliwych jak my! Można by je gołą ręką chwycić!

Marynarz ponawlekał kuruku na giętką witkę, po czym ruszyli dalej. Widać było, że brzeg rzeki zaczął się lekko wyginać w kierunku południowym, tworząc łuk, ale zakręt prawdopodobnie nie sięgał daleko, gdyż rzeka zapewne miała swoje źródło w górach i była zasilana wodami z topniejącego śniegu pokrywającego stoki środkowego szczytu.

Głównym celem tej wyprawy było, jak wiemy, dostarczenie mieszkańcom Kominów jak największej ilości zwierzyny. Nie można było powiedzieć, żeby ten cel został osiągnięty, toteż marynarz nadal gorliwie prowadził poszukiwania i zaklął niemiłosiernie, gdy nagle jakieś zwierzę, którego nawet nie zdążył rozpoznać, przemknęło wśród bujnych traw. Gdyby choć miał przy sobie Topa! Ale Top zniknął równocześnie z swoim panem i zapewne razem z nim utonął w morzu.

Okolo trzeciej po południu poprzez drzewa zobaczyli nowe chmary ptaków, które dziobały różne aromatyczne jagody, między innymi z jałowców. Nagle rozległ się w lesie głos podobny zupełnie do dźwięku trąbki. Te dziwne, donośne tony wydawały z siebie kuraki, które w Stanach Zjednoczonych nazywane są preriokurami<sup>44</sup>. Wkrótce ujrzeli kilka par tych ptaków, o płowobrunatnym upierzeniu i z brunatnymi ogonami. Harbert rozpoznał samce po wystających nad głowę dwóch spiczastych skrzydełkach, utworzonych z najeżonych na szyi piórek. Pencroff uznał, że trzeba koniecznie schwytać choć jednego takiego preriokura, wielkości naszej kury, którego mięso jest równie smaczne jak mięso jarząbka<sup>45</sup>; było to jednak trudne, gdyż nie dawały się podejść. Po kilku bezowocnych próbach, którymi tylko ploszyli ptaki, marynarz powiedział do Harberta:

— Ha, skoro nie można zabić ich w locie, spróbujemy chwycić je na wędkę.

— Jak to, tak jak karpia?! — zawołał Harbert, zdumiony tą propozycją.

— Tak samo — odparł marynarz zupełnie poważnie.

Pencroff znalazł w zaroślach pół tuzina gniazd preriokurów, a w każdym po dwa do trzech jaj. Bardzo uważał, żeby nie dotknąć gniazd, do których właściciele musieli kiedyś powrócić. Właśnie w pobliżu gniazd postanowił zarzucić swe sidła, i to nie takie z pętlami, jak na przepiórki lub zające, ale prawdziwe wędki, z haczykami. Oddalił się więc z Harbertem na pewną odległość i tam zaczął sporządzać swój przedziwny sprzęt z taką troskliwą starannością, jaka przyniosłaby zaszczyt każdemu uczniowi Izaaka Waltona<sup>46</sup>. Harbert przyglądał się tej pracy z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem, powątpiewając jednak w pomyślne wyniki. Wędki zostały splecione z cienkich, powiązanych ze sobą lian i miały piętnaście do dwudziestu stóp długości. Jako haczyki marynarz przymocował na końcach lian duże, mocne ciernie z zakrzywionymi końcami, zerwane z krzaka karłowatej akacji. Za przynętę posłużyły duże, czerwone robaki pelzające po ziemi.

Po tych przygotowaniach Pencroff, podkradłszy się zęcinnie przez zarośla, umieścił uzbrojone w haczyki końce wędek przy gniazdach, po czym chwyciwszy drugie końce w ręce, schował się wraz z Harbertem za grubym drzewem. Obaj czekali cierpliwie. Chociaż Harbert, jak powiedzieliśmy, nie bardzo ufał wynalazkowi Pencroffa.

Upłynęło dobre pół godziny i kilka par preriokurów, jak przewidział Pencroff, powróciło do swoich gniazd. Skacząc i dziobiąc po ziemi, zupełnie nie domyślały się obecności myśliwych, którzy zresztą przezornie ulokowali się pod wiatr.

Harbert czuł się w tej chwili bardzo podekscytowany. Wstrzymał oddech, a Pencroff z wytrzeszczonymi oczami, z otwartymi ustami, z wargami wysuniętymi, jak gdyby już miał skosztować kawałka preriokura, też ledwie oddychał.

Polowanie

<sup>44</sup>preriokur (biol.) — ptak z grupy głuszcowatych zamieszkujący Amerykę Płn., tu zapewne: preriokur dwuczuby (*Tympanuchus cupido*, daw. *Tetrao cupido*), czyli cietrzew preriowy, dawniej pospolity, obecnie rzadki. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>jarząbek — średniej wielkości ptak żyjący w lasach iglastych, najmniejszy europejski kurak leśny. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Izaak Walton [(1593–1683)] — autor słynnej rozprawy o wędkarstwie. [przypis autorski]

Preriokury tymczasem przechadzały się pomiędzy haczykami, nie zwracając na nie uwagi. Wtedy Pencroff kilka razy lekko szarpnął wędkami i przynęta zaczęła się poruszać, jakby robaki wciąż były żywe.

Marynarz w tej chwili odczuwał na pewno silniejsze emocje niż wędkarz, który nie widzi, jak w wodzie zbliża się zdobycz.

Poruszenia wkrótce zwróciły uwagę preriokurów, które rzuciły się z otwartymi dziobami na przynętę. Trzy preriokury, najżarłoczniejsze zapewne, połknęły przynętę razem z haczykami. Wówczas Pencroff ściągnął nagle wędkę, a trzepotanie skrzydeł dowodziło, że ptaki zostały schwytane.

— Hurra! — zawołał marynarz, rzucając się na zdobycz i opanowując ją w jednej chwili.

Harbert klaskał w ręce. Pierwszy raz w życiu widział łapanie ptaków na wędkę. Ale skromny marynarz powiedział, że nie robił tego pierwszy raz, a poza tym wynalezienie tego sposobu nie jest jego zasługą.

— A zresztą — dodał — w naszej sytuacji trzeba być gotowym na wszelkiego rodzaju wynalazki.

Powiązali zdobycz za łapki, a Pencroff uszczęśliwiony, że nie wracają z próżnymi rękami, i widząc, że dzień zaczyna się już chylić ku końcowi, oświadczył, że czas wracać do domu.

Bieg rzeki wskazywał im drogę powrotu i około godziny szóstej Harbert i Pencroff, zmęczeni nieco wyprawą, powrócili do Kominów.

## ROZDZIAŁ VII

*Nab jeszcze nie wrócił. — Domysły reportera. — Kolacja. — Zapowiada się zła noc. — Straszliwa burza. — Nocna wyprawa. — Walka z deszczem i wiatrem. — O osiem mil od pierwszego obozowiska.*

Gedeon Spilett ze skrzyżowanymi na piersiach rękami stał nieruchomo na brzegu i patrzył na ocean, z którego na widnokręgu wynurzała się wielka, czarna chmura, podnosząca się szybko w górę. Wiatr był już dość gwałtowny, a z upływem dnia stawał się coraz zimniejszy. Niebo źle wróżyło, a pierwsze objawy wichury dawały się już wyraźnie odczuć.

Harbert wszedł do Kominów, a Pencroff podszedł do reportera. Spilett, zatopiony w myślach, nawet go nie zauważył.

— Będziemy mieli fatalną noc, panie Spilett! — odezwał się marynarz. — Wicher i deszcz, że petrele<sup>47</sup> będą miały uciechę.

Reporter odwrócił się i zobaczywszy Pencroffa, zapytał go:

— W jakiej odległości od brzegu, pańskim zdaniem, uderzyła w kosz ta fala, która porwała naszego towarzysza?

Marynarz nie spodziewał się tego pytania. Pomyślawszy chwilkę, odparł:

— Najdalej o dwa kable.

— A co to jest ten kabel? — zapytał Gideon Spilett.

— Sto dwadzieścia sążni lub sześćset stóp<sup>48</sup>.

— A zatem Cyrus Smith wpadł do morza najwyżej o tysiąc dwieście stóp od brzegu?

— Mniej więcej — odparł Pencroff.

— I jego pies też?

— Też.

— Przyjmując, że nasz towarzysz poniósł śmierć, dziwi mnie i zastanawia — mówił dalej reporter — że Top także zginął i że morze nie wyrzuciło dotychczas zwłok ani psa, ani pana!

— Nie ma w tym nic dziwnego przy tak wzburzonym morzu — odparł marynarz. — Zresztą prądy mogły je unieść i wyrzucić gdzieś dalej.

— Więc sądzi pan, że nasz towarzysz zginął w falach? — spytał raz jeszcze reporter.

<sup>47</sup>petrele — ptaki morskie, które najchętniej latają podczas największej burzy. [przypis autorski]

<sup>48</sup>Sto dwadzieścia sążni lub sześćset stóp — w rzeczywistości sążeń amerykański (*fathom*) liczy 6 stóp, stąd kabel morski to 120 sążni lub 720 stóp. [przypis edytorski]

— Takie jest moje zdanie.

— A moim zdaniem — powiedział Gedeon Spilett — przy całym szacunku, jaki mam dla pańskiego doświadczenia, panie Pencroff, to równoczesne kompletne zniknięcie Cyrusa i Topa, żywych czy martwych, ma w sobie coś niewytłumaczalnego i nieprawdopodobnego.

— Chciałbym być pańskiego zdania, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Niestety, jestem przekonany, że jest inaczej.

Po tych słowach marynarz powrócił do Kominów. Na palenisku płonął wesoły ogień. Harbert dorzucił wiązkę suchego drzewa i jasny płomień roztoczył blask po ciemnych zakątkach korytarzy.

Pencroff wziął się natychmiast do przygotowania kolacji. Uznał, że powinno to być pożywniejsze danie, gdyż wszyscy potrzebowali wzmocnić nadwątłone siły. Wianki z kuruku pozostawił na następny dzień, a tymczasem oskubał z pierza dwa preriokury i nadziawszy na patyk, piekł je wolno na ogniu.

Była już siódma wieczorem, a Naba jeszcze nie było. Pencroff zaczął się niepokoić. Obawiał się, że albo spotkał go jakiś wypadek na nieznanym lądzie, albo że nieszczęśnik dopuścił się jakiegoś rozpaczliwego kroku. Harbert jednak z nieobecności Naba wyciągał zupełnie inne wnioski. Jego zdaniem, jeżeli Nab dotychczas nie wrócił, to dlatego, że musiały zajść jakieś nowe okoliczności, które skłoniły go do dłuższych i dalszych poszukiwań. A każda nowa okoliczność mogła być tylko na korzyść Cyrusa Smitha. Dlaczegoż Nab miałby nie wrócić, jeżeli nie dlatego, że powstrzymała go jakaś nowa nadzieja? Może trafił na jakąś wskazówkę, jakiś odcisk stopy ludzkiej lub resztki przedmiotów wyrzuconych przez morze, które mu wskazały dalszą drogę? Może w tej chwili jest już na pewnym tropie? A może, może nawet przy swoim panu?...

Tak rozumował chłopak i tak mówił. Wysłuchali go bez przerywania, ale tylko reporter się z nim zgadzał. Pencroff był przekonany, że Nab zapuścił się w swoich poszukiwaniach dalej niż poprzedniego dnia i dlatego nie zdążył jeszcze wrócić.

Harbert, rozgorączkowany jakimś wewnętrznym przecuciem, kilka razy podrywał się, żeby wyjść na spotkanie Naba. Pencroff jednak przekonał go, że byłaby to wycieczka całkiem daremna, że w tej ciemności i ulewie nie znajdzie śladów Naba i że lepiej czekać do jutra. Jeśli Nab nie wróci do rana, wówczas on sam nie zawaha się ani chwili i razem z Harbertem pójdzie go odszukać.

Gedeon Spilett podzielał zdanie marynarza, że nie należy się rozłączać, i Harbert musiał odstąpić od swojego zamiaru, ale dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach.

Reporter nie mógł się powstrzymać, żeby nie uściskać szlachetnego chłopca.

Tymczasem burza wszczęła się na dobre. Nad wybrzeżem z wściekłością dał południowo-wschodni wicher. Słychać było, jak opadające morze z szalonym rykiem rozbijało się na przybrzeżnych skałach. Krople deszczu, rozpylone przez huragan, unosiły się jak wilgotna mgła; strzępy tej mgły wlokły się po ziemi, a otoczaki grzechotały, jakby ktoś wywracał wózki z kamieniami. Miotany wichrem piasek mieszał się z ulewą i siekł jakby różgą po twarzy; w powietrzu było tyle samo pyłu mineralnego, co rozpylonej wody. Pomiędzy ujściem rzeki a ścianą skalną wściekły wir powietrza rozpoczął szalony taniec, a wiatry odrywające się z tego malstromu, nie znajdując innego ujścia poza wąwozem, w głębi którego płynęła rzeka, wdzierały się do niego z całą gwałtownością. Dym ulatujący z ogniska przez wąski wylot, wtłoczony wichrem z powrotem, opadał ku ziemi i napełniał korytarze, tak że nie dało się w nich przebywać. Dlatego też Pencroff, gdy preriokury zostały upieczone, przygasił ogień, zostawiając tylko trochę żarzących się węgli pod popiołem.

Była już ósma, a Nab jeszcze się nie pojawił. Teraz jednak można było przypuszczać, że to burza powstrzymywała go od powrotu, że schroniwszy się w jakiejś jaskini, czekał, aż nawałnica przeminie lub przynajmniej zaświta dzień. W tych warunkach nie sposób było wyjść mu naprzeciw lub próbować go odszukać.

Całą kolację rozbitków stanowiły preriokury. Mięso było wyborne, a Pencroff i Harbert, których apetyt zaostrzyła dłuższa wycieczka, pochłaniali je łapczywie.

Potem każdy wcisnął się w kąt, w którym spędził poprzednią noc. Harbert usnął koło marynarza, który rozciągnął się jak długi przy ognisku.

Na zewnątrz im noc stawała się ciemniejsza, tym straszliwsze rozmiary przybierała burza. Był to huragan podobny do tego, który z Richmond zapędził więźniów na ten skrawek łądy na Pacyfiku. Takie burze często zdarzają się podczas zrównania dnia z nocą i powodują wiele klęsk. Z jeszcze straszliwszą siłą szaleją na ogromnych przestrzeniach oceanu nie stawiających im żadnej zapory. Łatwo zatem zrozumieć, lecz nie sposób opisać, z jaką wściekłością, z jakim szalonym impetem uderzał rozkielzany huragan w wybrzeże nieosłonięte niczym od wschodu, a zatem wystawione wprost na jego działanie.

Na szczęście formacja skał tworzących Kominy była dość mocna. Tworzyły ją olbrzymie bloki granitowe, choć niektóre z nich, widocznie niezbyt pewnie usadowione, zdawały się chwiać w podstawach. Pencroff, oparty ręką o skałę, wyczuwał to nagłe drżenie. Lecz powtarzał sam sobie, i słusznie, że nie ma się czego obawiać, że ich improwizowane schronienie nie zawali się nad nimi. Od czasu do czasu słyszał jednak, jak ze szczytu płaskowyżu odrywały się kamienie porwane przez wicher i jak z łoskotem spadały na brzeg morski. Niektóre z nich staczały się nawet po górnej części Kominów lub spadając pionowo roztrzaskiwały się na kawałki. Dwa razy marynarz wstawał i czołgał się do wyjścia z Kominów, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Przekonawszy się jednak, że osuwiska były nieznaczne i nie ma żadnego niebezpieczeństwa, powracał na swoje miejsce przy ognisku, w którym trzaskały tłące pod popiołem węgielki.

Harbert spał twardo pomimo wycia huraganu i grzmotów nawałnicy. W końcu sen ogarnął i Pencroffa, który jako marynarz przyzwyczajony był do tego rodzaju niebezpieczeństw. Tylko Gedeon Spilett sam jeden czuwał. Jakiś wewnętrzny niepokój płoszył mu sen z powiek. Wyrzucał sobie, że nie poszedł razem z Nabem. Widocznie nie stracił jeszcze wszelkiej nadziei. Przeczucia, które poruszyły Harberta, jemu także nie dawały spokoju. Wszystkie jego myśli koncentrowały się na Nabie. Dlaczego nie powrócił? Tysiąc razy zadawał sobie to pytanie. Przewracał się niespokojnie na swym posłaniu z piasku, prawie nie zwracając uwagi na walkę żywiołów. Od czasu do czasu jego powieki, ociężałe ze zmęczenia, przymykały się na chwilę, lecz natychmiast otwierał je ponownie pod wpływem jakiejś nagłej myśli.

Tak mijała noc. Było około drugiej, kiedy pogrążony w głębokim śnie Pencroff poczuł, że ktoś gwałtownie szarpie go za ramię.

— Co się stało? — zawołał, budząc się i przytomniąc z szybkością właściwą marynarzom.

Ujrzał pochylonego nad sobą reportera, który powiedział:

— Proszę posłuchać, Pencroffie, proszę posłuchać!

Marynarz wyteżył słuch, lecz nie słyszał nic prócz wycia wichru.

— To wiatr — powiedział.

— Ależ nie — odparł Gedeon Spilett, wsłuchując się znowu — wydawało mi się, że słyszałem...

— Co takiego?

— Szczekanie psa!

— Psa! — zawołał Pencroff, zrywając się na równe nogi.

— Tak jest... szczekanie...

— To niemożliwe — odparł marynarz. — A zresztą, w jaki sposób w ryku nawałnicy...

— Teraz... niech pan słucha.... — powiedział reporter.

Pencroff wsłuchał się uważniej i rzeczywiście, gdy burza nieco przycichła, zdawało mu się, że usłyszał dalekie szczekanie.

— I cóż? — powiedział reporter, ściskając nerwowo rękę marynarza.

— Tak... Tak... — odparł Pencroff.

— To Top! To Top!... — zawołał Harbert, który tymczasem się przebudził, i wszyscy trzej rzucili się ku wyjściu.

Z wielkim trudem udało im się wydostać się na zewnątrz, gdyż wiatr odpychał ich z powrotem, a gdy wyszli, musieli opierać się o skały, aby utrzymać się na nogach. Patrzyli dokoła, ale wiało tak, że nie mogli rozmawiać.

Dookoła panowały nieprzeniknione ciemności. Morze, niebo i ziemia zlewały się w jedno w głębokim mroku. Zdawało się, że w całej atmosferze nie ma ani cząstki rozproszonego światła.

Przez kilka minut reporter i jego towarzysze stali w miejscu targani wichrem, przemoczeni deszczem, oślepieni piaskiem. Potem, gdy burza uciszyła się na chwilę, usłyszeli znowu szczekanie, dobiegające, jak się zdawało, z dość daleka.

To mógł być tylko Top. Ale czy był sam, czy też jeszcze z kimś? Prawdopodobnie sam, bo gdyby był z nim Nab, przybiegłby do Kominów.

Nie mogli się słyszeć, więc marynarz ścisnął reportera za rękę, jakby chciał powiedzieć: „Proszę zaczekać!”, i wrócił do korytarza.

Po chwili wyszedł z wiązką płonącego chrustu, rzucił ją w ciemności i przenikliwie zagwizdał.

Na ten jakby oczekiwany znak szczekanie przybliżyło się i po chwili do korytarza wpadł pędem pies. Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett weszli za nim.

Dorzucono do ognia naręcze suchego drewna. Jasny płomień oświetlił korytarz.

— To Top! — zawołał Harbert.

Rzeczywiście, to był Top, wspaniały pies rasy anglonormandzkiej, który po swoich przodkach odziedziczył nadzwyczajną szybkość nóg i czuły węch, nieodzowne cechy psów gończych.

Był to pies inżyniera Cyrusa Smitha.

Ale był sam! Nie było przy nim ani jego pana, ani Naba.

W jaki sposób instynkt mógł go zaprowadzić do Kominów, których nie znał i w których nigdy nie był? Wydawało się to niepojęte, szczególnie w tak ciemną noc i podczas tak strasznej burzy. Ale co jeszcze dziwniejsze, Top nie był wcale zmęczony, ani nawet powalany mułem czy piaskiem!...

Harbert przyciągnął go do siebie i ujął w dłonie jego łeb. Pies pozwalał się pieścić i ocierał się karkiem o dłoń chłopca.

— Skoro pies się znalazł, znajdzie się teraz i pan! — powiedział reporter.

— Daj Boże! — odparł Harbert. — Chodźmy! Top nas poprowadzi.

Pencroff nie sprzeciwiał się temu. Czuł, że przybycie Topa może obalić jego przypuszczenia.

— W drogę zatem! — zawołał.

Pencroff starannie przykrył popiołem węgle w ognisku. Pod popiół wsunął parę kawałków drewna, aby podtrzymać ogień do czasu, aż wrócą. Po czym zabrawszy ze sobą resztki kolacji, wyruszył w drogę wraz z reporterem i Harbertem. Przed nimi biegł Top, który krótko poszczekując, zdawał się ich zachęcać, żeby szli za nim.

Burza szalała z wściekłością i chyba właśnie osiągnęła szczyt gwałtowności. Księżyc był w nowiu, więc przez chmury nie docierał ani jeden promyk światła. Trudno było trzymać się kierunku na wprost, najlepiej zatem było zdać się na instynkt Topa. I tak też zrobili. Reporter z Harbertem szli tuż za psem, marynarz zamykał pochód. Nie mogli zamienić ze sobą ani słowa. Wprawdzie deszcz nie był rześysty, gdyż wiatr rozpylał go na drobne cząsteczki, ale huragan szalał straszliwie.

Szczęśliwie jedna okoliczność sprzyjała marynarzowi i jego towarzyszom. Mianowicie wiatr wiał z południowego wschodu, a więc popychał ich od tyłu. Miotany wichrem piasek, który inaczej byłby nie do zniesienia, uderzał ich w plecy i byle się nie odwracali, nie przeszkadzał w marszu. W rezultacie niekiedy szli nawet szybciej, niż sami chcieli, musieli przyspieszać kroku, żeby nie dać się przewrócić, jednak nadzieja, potężna nadzieja podwajała ich siły i tym razem już nie ślepy traf kierował ich krokami. Nie wątpili, że Nab znalazł swojego pana i że to on przysłał do nich wiernego psa. Ale czy inżynier żył, czy może Nab przysłał po towarzyszy tylko po to, żeby wspólnie oddali ostatnią przysługę zwłokom nieszczęsnego Smitha?

Minąwszy szczyt skalnej ściany, od której przezornie trzymali się z daleka, Harbert, reporter i Pencroff zatrzymali się, aby zaczerpnąć tchu. Załom ściany zasłaniał ich przed wichrem i ciężko oddychali po kwadransie tego marszu, a właściwie biegu.

Teraz mogli się nawzajem słyszeć i rozmawiać ze sobą, a gdy Harbert wymówił imię Cyrusa Smitha, Top kilka razy szczeknął, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego pan żyje.

— Żyje, Top? — powtarzał Harbert. — Prawda, Top, że żyje?

A pies szczekał, jakby odpowiadał.

Ruszyli w dalszą drogę. Było około w pół do trzeciej nad ranem. Morze zaczęło przybierać, a przypływ podczas nowiu i przy takim wicherze zapowiadał groźnie. Olbrzymie bałwany, grzmiąc, rozbiły się o szereg raf przed wysepką z taką gwałtownością i siłą, że prawdopodobnie przewalały się przez całą wysepkę, której w tej chwili zupełnie nie było widać. Ta długa grobla nie zasłaniała już wybrzeża, wystawionego teraz wprost na impet rozhukanego morza.

Gdy tylko marynarz z towarzyszami oddalili się od szczytu w ścianie skalnej, wicher uderzył na nich z podwójną wściekłością. Zgięci w pół, zwracając się tyłem do wiatru, szli szybko za Topem, który bez wahania wybierał kierunek drogi. Szli na północ, mając po prawej ręce rozhukane morze, a po lewej pogrążoną w nocnym mroku nieznaną okolicę, w której nic nie widzieli. Domyślali się jednak, że musiała być raczej płaska, huragan bowiem przelatywał teraz ponad nimi i nie zawracał, jak tego doświadczyli wcześniej, kiedy spotykał na drodze granitową ścianę.

Do czwartej nad ranem przebyli około pięciu mil. Chmury uniosły się nieco w górę i nie wlokły się już po ziemi jak przedtem. W powietrzu było mniej wilgoci, a wiatr stał się ostry, suchy i zimny. W swoich niezbyt ciepłych ubraniach Pencroft, Harbert i Spilett cierpieli z powodu zimna, ale z ust żadnego z nich nie wymknęła się skarga. Byli zdecydowani iść za Topem wszędzie, dokąd to mądre zwierzę ich poprowadzi.

Okolo piątej zaczęło świtać. Najpierw w górze, gdzie mgły nie były tak gęste, szarymi smugami zarysowały się krawędzie chmur, a wkrótce na czarnym tle nieba jaśniejszą linią zarysowało się na widnokręgu morze. Grzbiety fal zamigotały płowymi światełkami i zabielały pianą. Równocześnie po lewej stronie zaczęły się powoli wynurzać z mroku strome części wybrzeża, wciąż jeszcze niewyraźne, szare na czarnym tle.

O szóstej rozwidniło się całkiem. Chmury pędziły z niezwykłą szybkością na dość znacznej wysokości. Wędrowcy byli wówczas o sześć mil od Kominów. Szli zupełnie płaskim brzegiem, wzdłuż którego wynurzał się z morza szereg skał; teraz, podczas przypływu, sterczały z wody tylko ich wierzchołki. Po lewej rozciągało się smętne piaszczyste pustkowie, urozmaicone tylko kilkoma wydmami porośniętymi ostami. Brzeg był dość niski i nie miał od strony morza innej osłony prócz łańcucha nieregularnie porozrzucanych pagórków. Tu i ówdzie kilka drzew pochylało się na zachód i wyciągało w tamtym kierunku konary. Daleko w tyle, na południowym zachodzie, widniał skraj lasu.

W tej chwili Top zaczął okazywać żywe podniecenie. Biegł naprzód, to znów powracał do marynarza, jak gdyby zachęcając go do pośpiechu. Zbiegł z brzegu i wiedziony swym dziwnym instynktem, nie wahając się ani chwili, popędził między wydmy.

Wszyscy pospieszyli za nim. Okolica zdawała się zupełnie bezludna, wokół nie było widać żadnej żywej istoty.

Nieregularnie porozrzucane wydmy tworzyły mniejsze i większe pagórki. Była to jakby mała Szwajcaria z piasku i trzeba było prawdziwie cudownego instynktu, aby się w niej zorientować.

Pięć minut później marynarz i jego towarzysze stanęli przed jamą wydrążoną w zboczu wysokiej wydmy. Top zatrzymał się i zaczął głośno szczeleć. Spilett, Harbert i Pencroft weszli do środka.

Tam ujrzeli Naba klęczącego przy ciele leżącym na posłaniu z trawy...

Było to ciało inżyniera Cyrusa Smitha.

## ROZDZIAŁ VIII

*Czy Cyrus Smith żyje? — Opowiadanie Naba. — Ślady stóp. — Nierozstrzygnięta kwestia. — Pierwsze słowa Cyrusa Smitha. — Sprawdzenie śladów. — Powrót do Kominów. — Nowy cios.*

Nab nie poruszył się. Marynarz rzucił mu tylko jedno słowo:

— Żyje?

Nab milczał. Gedeon Spilett i Pencroft pobledli. Harbert załamał ręce i stanął jak wryty. Było jednak oczywiste, że biedny Murzyn, pogrążony w boleści, nie widział swoich towarzyszy ani nie słyszał pytania marynarza.



Reporter ukląkł przy tym nieruchomym ciele, rozchylił ubranie na piersi inżyniera i przyłożył do niej.

Upłynęła chwila — wiek cały! — kiedy wyteżał słuch i usiłował uchwycić bodaj najslabsze bicie serca.

Nab wyprostował się i patrzył przed siebie szklanym, niewidzącym wzrokiem. Rozpacz zupełnie zmieniła jego twarz. Wycieńczony trudami, złamany boleścią, Nab był nie do poznania. Myślał, że jego pan nie żyje.

Po długim nasłuchiowaniu Gedeon Spilett powstał.

— Żyje! — powiedział.

Teraz z kolei Pencroff ukląkł przy Cyrusie. On także pochwyił uchem słabe bicie serca, a na wargach zbliżonych do ust inżyniera poczuł słaby oddech.

Harbert na skinienie reportera wybiegł na zewnątrz po wodę. W odległości stu kroków natrafił na przesączający się przez piasek czysty strumyk, zasilony widać wczorajszym deszczem. Ale w co nabrać wody? Wśród wydm nie było nawet muszelki. Harbert poprzestał na tym, że zmoczył swoją chustkę w wodzie i pędem powrócił do grotu.

Na szczęście mokra chustka wystarczyła Spilettowi, który chciał tylko zwilżyć usta inżyniera. Kilka kropeł świeżej wody sprawiło bezzwłoczny skutek. Z piersi Cyrusa wyrwało się westchnienie i zdawało się nawet, że próbował wymówić parę słów.

— Uratujemy go! — powiedział reporter.

Usłyszawszy to, Nab nabrał nowej otuchy. Rozebrał swojego pana do naga, aby się przekonać, czy nie ma na ciele jakiejś rany. Ani na głowie, ani na tułowiu, ani na kończynach nie znalazł ran, stłuczeń, ani nawet lekkiego draśnięcia, co było tym dziwniejsze, że ciało Cyrusa musiało się obijać o skały. Nawet dłonie miał nietknięte i trudno było sobie wytłumaczyć, w jaki sposób na ciele inżyniera nie było śladu wysiłków, jakie musiał podjąć, żeby się przedrzeć przez pas raf sterczących w morzu.

Wyjaśnienie tej sprawy trzeba było odłożyć na później. Gdy Cyrus będzie już mógł mówić, wówczas sam opowie im, co i jak się wydarzyło. Teraz należało przywrócić go do życia i wydawało się, że rozcieranie powinno przynieść odpowiedni skutek. Zabrali się do tego, używając bluzy marynarza. Inżynier, rozgrzany solidnym masażem, poruszył z lekka rękami, a jego oddech stał się bardziej równomierny. Umierał z wyczerpania i gdyby nie przybycie reportera i jego towarzyszy, byłoby już po nim.

— Więc myślałeś, że twój pan nie żyje? — zapytał marynarz Naba.

— Tak, myślałem, że umarł — odpowiedział Nab — i gdyby was Top nie odszukał i nie przyprowadził tutaj, byłbym pochował mego pana i sam umarł na jego grobie.

Na takim oto włosku wisiało życie Cyrusa Smitha.

Potem Nab opowiedział, co się z nim działo. Poprzedniego dnia, ruszywszy w drogę o świcie, udał się na północ i doszedł do tej części wybrzeża, gdzie już był poprzednio.

Tam bez żadnej nadziei — jak sam przyznawał — szukał na brzegu, między skałami, na piasku, najlżejszych śladów, które by go mogły naprowadzić na jakiś trop. Szczególnie uważnie zbadał tę część wybrzeża, do której nie sięgał przypływ, gdyż na samym brzegu przypływ i odpływ morza musiały zmyć wszelkie ślady. Nab nie miał już nadziei znaleźć swojego pana przy życiu. Szukał tylko jego zwłok, aby je pogrzebać własnymi rękami.

Szukał długo i bezowocnie. Zdawało się, że na tym opuszczonym brzegu nigdy nie powstała ludzka stopa. Muszle, których morze nie dosięgło — a były ich poza zasięgiem przypływu miliony — leżały zupełnie nietknięte. Ani jedna muszla nie była zgnieciona. Na przestrzeni dwustu czy trzystu jardów<sup>49</sup> nie było żadnego śladu, aby ktoś wylądował, ani dawnego, ani świeżego.

Nab postanowił przejść jeszcze kilka mil. Prądy morskie mogły ponieść ciało gdzieś dalej. Kiedy zwłoki unoszą się w pobliżu niskiego brzegu, rzadko się zdarza, aby prędzej czy później nie zostały wyrzucone przez fale na ląd. Nab wiedział o tym i chciał po raz ostatni ujrzeć swego pana.

— Szedłem wzdłuż brzegu jeszcze ze dwie mile, szukałem między podwodnymi skałami, które wynurzają się podczas odpływu, i po brzegu zalewanym przez przypływ, i straciłem już wszelką nadzieję, gdy wczoraj, około piątej po południu, dostrzegłem na piasku odciski stóp.

<sup>49</sup>jard — amerykańska miara długości wynosząca 0,9144 m. [przypis autorski]

— Odciski stóp?! — zawołał Pencroff.  
— Tak jest! — odparł Nab.  
— I te ślady zaczynały się przy samych rafach? — zapytał reporter.  
— Nie — odparł Nab — dopiero od miejsca, dokąd sięga przypyływ, między nim a rafami musiało je zmyć morze.

— Mów dalej, Nabie — powiedział Gedeon Spilett.  
— Na widok tych śladów mało nie oszalałem. Były bardzo wyraźne i zmierzały wprost ku tym wydmom. Biegłem za nimi ćwierć mili, uważając, żeby ich nie zatrzeć. Po pięciu minutach, gdy zaczął zapadać zmrok, usłyszałem szczekanie psa. To był Top i to on przyprowadził mnie tutaj, do mojego pana.

Nab opowiedział na koniec o rozpaczy, jakiej doznał na widok nieruchomego ciała. Szukał w nim resztek życia. Teraz, gdy znalazł martwego pana, chciał, żeby żył. Lecz wszystkie jego usiłowania były daremne. Pozostało mu tylko oddać ostatnią przysługę człowiekowi, którego tak kochał.

Wtedy przyszli mu na myśl towarzysze, którzy na pewno pragnęliby ujrzeć raz jeszcze nieszczęsnego Cyrusa. Top był przy nim. Czy nie mógłby zaufać sprytnemu wiernemu zwierzęciu? Wymówił kilka razy nazwisko reportera, gdyż jego spośród towarzyszy inżyniera Top znał najlepiej. Potem wskazał ręką na południe i pies popędził jak strzała w wskazanym kierunku.

Wiemy już, jak Top, wiedziony jakby nadprzyrodzonym instynktem, przybył do Kominów, gdzie nigdy wcześniej nie był.

Towarzysze Naba z wielką uwagą słuchali jego opowiadania. Było dla nich niepojęte, że Cyrus Smith po wyczynach, jakich musiał dokonać, żeby wydostać się z morza, przeprawiając się przez nadbrzeżne rafy, nie miał na ciele ani jednego draśnięcia. Podobnie nie mogli sobie wytłumaczyć, w jaki sposób inżynier mógł dotrzeć do tej grotty, położonej między wydrami o przeszło milę od brzegu morskiego.

— Więc to nie ty, Nabie, przyniosłeś tutaj swojego pana? — zapytał reporter.

— Nie, to nie ja — odparł Nab.

— Widać zatem, że pan Smith przyszedł tu sam — powiedział Pencroff.

— Widać tak, to prawda — odparł Gedeon Spilett — ale trudno w to uwierzyć.

Tylko sam inżynier mógł wyjaśnić tę sprawę. Należało więc czekać, aż będzie mógł mówić. Na szczęście z każdą chwilą powracało mu życie. Nacieranie przywróciło obieg krwi w ciele, Cyrus Smith poruszył znowu rękami, potem głową, a z jego ust znowu wydobyło się kilka niezrozumiałych słów.

Pochylny nad nim Nab nieustannie wołał go po imieniu, lecz inżynier zdawał się tego nie słyszeć i nie otwierał oczu. Jedyłą oznaką życia były ruchy, nadal bez udziału zmysłów.

Pencroff bardzo żałował, że nie mają ognia ani możliwości rozniecienia go, na nieszczęście bowiem zapomniał zabrać spalonego płótna, które łatwo można by zapalić od iskry skrzeseanej uderzeniami dwóch kamieni. W kieszeniach inżyniera nie znaleźli nic, prócz zegarka w kieszonce kamizelki. Należało zatem koniecznie przenieść Cyrusa Smitha do Kominów i to jak najszybciej. Wszyscy byli tego zdania.

Tymczasem pieczołowita troskliwość, jaką otaczali inżyniera, przywróciła mu przytomność prędzej niż się spodziewali. Woda, którą zwilżali mu usta, ożywiła go pomału. Pencroff wpadł na pomysł, aby do wody dodać trochę soku wyciśniętego z mięsa preriokurów, które przyniósł ze sobą. Harbert pobiegł na brzeg morza i wrócił z dwiema dużymi muszlami. Marynarz sporządził coś w rodzaju mikstury i wlewał ją w usta inżynierowi, który zdawał się chciwie połykać tę mieszaninę.

Po czym otworzył oczy. Nab i reporter stali nad nim pochyleni.

— Mój panie! Drogi panie! — zawołał Nab.

Inżynier usłyszał go. Poznał Naba i Spiletta, potem dwóch pozostałych towarzyszy, Harberta i marynarza, i jego dłoń lekko ścisnęła ich dłonie.

Jego usta znów wyszeptaly kilka słów, niewątpliwie tych samych, które próbował wypowiedzieć wcześniej. Świadczyły o tym, jakie myśli nawet wtedy nie dawały mu spokoju. Tym razem je zrozumieli:

— Wyspa czy kontynent? — szepnął.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff, nie mogąc się powstrzymać od tego wykrzyknika. — Co nas to teraz obchodzi, oby pan tylko żył, panie Cyrusie! Wyspa czy kontynent? Zobaczymy później.

Inżynier skinął potakująco głową i jakby zapadł w drzemkę.

Zachowywali się więc cicho, a reporter natychmiast rozpoczął przygotowania do przeniesienia inżyniera w najwygodniejszy dla niego sposób. Nab, Harbert i Pencroff wyszli z grotu i skierowali się w stronę wysokiej wydmy, na której szczycie rosło kilka karłowatych drzew. Po drodze marynarz, nie mogąc wytrzymać, powtarzał raz po raz:

— Wyspa czy kontynent! No proszę, komu by to przyszło na myśl, kiedy ledwie dyszy! Co za człowiek!

Przybywszy na wierzchołek wydmy, Pencroff i jego dwaj towarzysze, nie mając innych narzędzi prócz własnych rąk, oblamali grubsze gałęzie z chuderławego drzewka. Był to rodzaj karłowatej sosny nadmorskiej, wyniszczonej przez wichry. Z gałęzi zrobili nosze, na których, po wyścieleniu ich liśćmi i trawą, można było wygodnie przenieść inżyniera.

Cała praca trwała jakieś czterdzieści minut. Dochodziła dziesiąta rano, gdy marynarz, Nab i Harbert powrócili do Cyrusa Smitha, przy którym czuwał Gedeon Spilett.

Inżynier przebudził się właśnie z tego snu, czy raczej z letargu, w którym go znaleźli. Na jego policzki, dotąd pokryte śmiertelną bladością, powróciły rumieńce. Uniósł się nieco, popatrzył wokół, jak gdyby pytając wzrokiem, gdzie się znajduje.

— Czy może mnie pan słuchać, nie będzie to pana męczyć, panie Cyrusie? — zapytał reporter.

— Mogę — odparł inżynier.

— A ja sądzę — powiedział marynarz — że pan Smith jeszcze lepiej będzie mógł pana słuchać, gdy najpierw skosztuje tego sosu z preriokurów, bo to są preriokury, panie Cyrusie — objaśniał, podając mu odrobinę sosu, do którego tym razem dodał kilka kawałeczków mięsa.

Cyrus Smith zjadł swoją porcję, a resztę mięsa podzielili pomiędzy siebie jego trzej zgłodniaли towarzysze, którzy uskarżali się na zbyt skąpe śniadanie.

— To nic — powiedział marynarz. — W Kominach czeka na nas lepszy posiłek. Bo musi pan wiedzieć, panie Cyrusie, że tam na południu mamy dom z pokojami, posłaniami i paleniskiem, a w spiżarni kilka tuzinów ptaków, które nasz Harbert nazywa kuruku. Nosze są gotowe i kiedy się pan tylko poczuje na siłach, poniesiemy pana do domu.

— Dziękuję ci, przyjacielu — odparł inżynier. — Za godzinę lub dwie będziemy mogli wyruszyć... A teraz proszę mówić, panie Spilett.

Wtedy reporter zaczął opowiadać wszystko, co zaszło. Opowiadał o wydarzeniach, których Cyrus nie mógł znać, o ostatnim upadku balonu, o wylądowaniu na nieznannej ziemi, która wydawała się bezludna, bez względu na to, czy była wyspą, czy kontynentem, o odkryciu Kominów, o poszukiwaniach inżyniera, o poświęceniu Naba, o tym, co zawdzięczali zmyślności wiernego Topa i tak dalej.

— Więc nie znaleźliście mnie na brzegu? — zapytał Cyrus słabym jeszcze głosem.

— Nie — odparł marynarz.

— I to nie wy przynieśliście mnie do tej grotu?

— Nie.

— Jak daleko jest ta grota od raf?

— Około pół mili — odparł Pencroff. — Nie tylko pana to dziwi, panie Cyrusie, ale i nas samych nie mniej zdumiewa, że znaleźliśmy pana w tym miejscu.

— Istotnie — powiedział, ożywiając się coraz bardziej inżynier, którego te szczegóły mocno zainteresowały — istotnie, to bardzo dziwne!

— Czy mógłby nam pan opowiedzieć — zagadnął znowu marynarz — co się z panem działo po tym, gdy porwała pana fala?

Cyrus Smith wyteżył pamięć, ale niewiele mógł sobie przypomnieć. Uderzenie fali oderwało go od siatki balonu. Początkowo zanurzył się na kilka sążni. Gdy wypłynął znowu na powierzchnię morza, wyczuł w półmroku, że jakaś żywa istota porusza się tuż obok niego. Był to Top, który skoczył za nim na ratunek. Kiedy inżynier spojrzał do góry, nie zobaczył już balonu, który, uwolniony od ciężaru jego i psa, poleciał jak strzała. Smith znajdował się wśród wzburzonych fal, w odległości pół mili od brzegu. Usiłował walczyć z falami i płynął, ile mu sił starczyło. Top podtrzymywał go za ubranie; lecz gwałtowny

prąd porwał go, uniósł na północ i po półgodzinnym szamotaniu się inżynier poszedł na dno, pociągając Topa za sobą. Od tego momentu aż do chwili, gdy znalazł się w objęciach przyjaciół, nie pamiętał, co się z nim działo.

— A jednak morze musiało pana wyrzucić na brzeg — zagadnął znowu Pencroff — i musiał pan mieć dość sił, żeby dojść aż tutaj, skoro Nab znalazł odciski pańskich stóp!

— Zapewne... musiałem... — odparł inżynier, zamysławcając się. — A nie spotkaliście śladów ludzkich istot na tym wybrzeżu?

— Nie — odparł reporter. — A zresztą, gdyby się nawet przypadkiem znalazł w tym czasie jakiś wybawca, to dlaczego wydarzyło się panu falam, miałby potem pana opuścić?

— Ma pan słuszność, drogi Spilett. Słuchaj, Nabie — dodał inżynier zwracając się do swego sługi — więc także i ty nie... a może w jakimś chwilowym zamroczeniu... ale nie, to nie ma sensu... Czy pozostał jeszcze któryś z tych śladów? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak jest, panie — odparł Nab, — o tam, zaraz przy wejściu, po drugiej stronie wydmy, w miejscu osłoniętym od wiatru i deszczu. Resztę śladów zatarła burza.

— Panie Pencroff — powiedział Cyrus Smith — czy będzie łaskaw wziąć moje buty i przymierzyć, czy dobrze pasują do śladów?

Marynarz wykonał prośbę inżyniera. Razem z Harbertem poszedł za Nabem w miejsce, gdzie były ślady, a tymczasem Cyrus powiedział reporterowi:

— Tu stało się coś niepojętego!

— Rzeczywiście, coś niepojętego! — odparł Gedeon Spilett.

— Ale teraz dajmy temu spokój, drogi Spilett, później o tym pomówimy.

Po chwili wrócił marynarz z Nabem i Harbertem.

Nie było żadnej wątpliwości. Buty inżyniera dokładnie pasowały do zachowanych śladów. Zatem to Cyrus Smith odcisnął je na piasku.

— No cóż — powiedział — więc to ja musiałem ulec halucynacji, temu zamroczeniu, o które przed chwilą posądzałem Naba! Szedłem jak lunatyk, nie wiedząc, dokąd idę, a Top, wiedziony instynktem, przyprowadził mnie tutaj, wyciągnąwszy mnie wcześniej z toni morskiej... Chodź tu do mnie, Top, chodź tu, mój psie!

Wspaniałe zwierzę jednym susem skoczyło do swojego pana, głośno szczekając, a ten nie szczędził mu pieszczot i pochwiał.

Trzeba przyznać, że nie można było w inny sposób wytłumaczyć okoliczności ocalenia Cyrusa Smitha i że Topowi należała się cała zasługa.

Koło południa Pencroff zapytał Cyrusa, czy jest gotowy do podróży. Zamiast odpowiedzi inżynier z wysiłkiem, który świadczył o nieugiętej sile woli, podniósł się na nogi. Musiał jednak oprzeć się na ramieniu marynarza, aby nie upaść.

— Brawo, brawo! — powiedział Pencroff. — Proszę przynieść lektykę pana inżyniera.

Przyniesiono nosze. Poprzeczne gałęzie wyścielili mchem i trawą. Następnie ułożyli Cyrusa Smitha na tym posłaniu, za jeden koniec noszy chwycił Pencroff, a za drugi Nab i wszyscy ruszyli w stronę brzegu.

Mieli przed sobą osiem mil drogi, lecz ponieważ nie można było iść szybko, a prócz tego należało się spodziewać częstych postojów, więc przewidywali, że dojdzie do Kominów zajmie im co najmniej sześć godzin.

Wiatr był nadal silny, ale na szczęście deszcz nie padał. Leżąc na noszach, inżynier wspierał się na łokciu, bacznie przyglądając się wybrzeżu, zwłaszcza po stronie przeciwnej od morza. Nie mówił ani słowa, ale patrzył uważnie i bez wątplenia w jego pamięci utrwalano się ukształtowanie całej okolicy z wszystkimi nierównościami terenu, z lasami i bogactwami naturalnymi. W końcu jednak po dwóch godzinach drogi zmogło go zmęczenie i zasnął na noszach.

O wpół do szóstej mały orszak dotarł do urwiska, a w kilka minut później do Kominów.

Zatrzymano się, a nosze postawiono na piasku. Cyrus Smith spał twardo i nie przebudził się.

Dopiero wtedy Pencroff zauważył, ku swemu największemu zdumieniu, że wczorajsza nawałnica zmieniła wygląd okolicy. W wielu miejscach widać było świeże zwałiska skał. Olbrzymie bloki granitu leżały w przybrzeżnym piasku, a gęsty kobierzec wodorostów pokrywał cały brzeg. Widać było, że morze, przelewając się przez wysepkę, dotarło aż do stóp olbrzymiej granitowej ściany.

Przed wejściem do Kominów głęboko podmyty grunt świadczył o gwałtownym szturmie fal morskich.

Pencroffa ogarnęło wówczas jakieś złe przeczucie i jednym skokiem zniknął we wnętrzu korytarzy.

Wybiegł stamtąd niemal natychmiast, stanął milczący i nieruchomy i powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach...

Ogień zgasł. Zalany wodą popiół przemienił się w błoto. Kawałek spalonego płótna, który miał służyć za hubkę, przepadł bez śladu. Morze wtargnęło w głąb korytarzy i zniszczyło wszystko we wnętrzu Kominów.

## ROZDZIAŁ IX

*Cyrus jest przy nich. — Próby Pencroffa. — Tarcie drzewa. — Wyspa czy kontynent? — Plany inżyniera. — W jakim punkcie Pacyfiku? — W głębi lasu. — Pinia. — Polowanie na kapibarę. — Dym jako znak dobrej wróżby.*

Marynarz w kilku słowach opowiedział Gedeonowi Spilettowi, Harbertowi i Nabowi o sytuacji. Wydarzenie, które mogło mieć bardzo poważne następstwa — tak przynajmniej sądził Pencroff — wywarło na każdym z towarzyszy zacnego marynarza nieco odmienne wrażenie.

Nab, cały w radosnym uniesieniu z powodu odszukania swego pana, nie słuchał, a raczej nie chciał zwracać uwagi na to, co mówił Pencroff.

Harbert zdawał się do pewnego stopnia podzielać obawy marynarza. Co do reportera, ten na słowa marynarza odparł tylko:

— Słowo ci daję, Pencroff, że jest mi to zupełnie obojętne!

— Ależ powtarzam panu, że nie mamy ognia!

— Phi!

— Ani możliwości rozpalenia go ponownie.

— Ba!

— Ależ panie Spilett....

— Czyż Cyrus Smith nie jest z nami? — odparł reporter. — Czy nasz inżynier nie żyje? Już on znajdzie jakiś sposób, żeby rozpalic ogień!

— Ale czym?

— Niczym.

Co miał na to odpowiedzieć Pencroff? Nic nie odpowiedział, bo w głębi duszy sam podzielał zaufanie, jakim jego towarzysze darzyli Cyrusa. Inżynier był dla nich mikrokosmosem, skarbnicą wszelkiej ludzkiej wiedzy i mądrości. Znajdować się razem z Cyrusem na bezludnej wyspie znaczyło dla nich to samo, co bez niego w najbardziej uprzemysłowionym mieście Stanów Zjednoczonych. Gdzie był on, tam niczego nie mogło braknąć. Przy nim nie można było stracić nadziei. Gdyby ktoś powiedział tym dzielnym ludziom, że wybuch wulkanu zniszczy tę ziemię lub że pochłona ją otchłanie oceanu, odpowiedzieliby z największym spokojem: „Przecież Cyrus jest z nami. Zwróć się do Cyrusa”.

Tymczasem jednak inżynier znowu leżał nieprzytomny z wyczerpania, gdyż podróż bardzo go zmęczyła, i w tej chwili nie można było korzystać z jego pomysłowości. Trzeba było poprzestać na skąpej kolacji. Całe mięso preriokurów już zjedzono, a nie było sposobu upiec innej zwierzyny. Zresztą zapas kuruku gdzieś zniknął. Trzeba więc było pójść po rozum do głowy.

Przed wszystkim zanesiono Cyrusa do środkowego korytarza Kominów. Tam sporządzono mu posłanie z suchych porostów i wodorostów. Głęboki sen, w który zapadł, zapewne zdoła przywrócić mu siły prędkiej i lepiej niż najobfitsze pożywienie.

Tymczasem zapadła noc, a wraz z nią, wskutek zmiany kierunku wiatru na północno-wschodni, temperatura bardzo się obniżyła. Ponieważ morze zburzyło przegrody postawione przez Pencroffa w niektórych miejscach korytarzy, powstały więc na nowo przeciągi, przez które Kominy stały się niemal niezdatne do zamieszkiwania. Inżynier znalazłby się w bardzo złych warunkach, gdyby jego towarzysze nie zdjęli z siebie kamizelek i bluz i nie pookrywali go troskliwie.

Tego wieczoru kolacja składała się z niezastąpionych litodomów, których obfity zapas nabierali nad brzegiem morza Harbert i Nab. Do mięczaków Harbert dodał trochę jadalnych wodorostów, uzbieranych na wyższych skałach, do których morze sięgało tylko podczas wielkich przyptywów. Wodorosty te, należące do rzędu *Fucales*, są rodzajem gronostów<sup>50</sup> i po wysuszeniu dają galaretowatą substancję bogatą w składniki odżywcze. Reporter i jego towarzysze, pochłonawszy sporą liczbę litodomów, ssali następnie gronosty, które okazały się całkiem znośne w smaku. Należy wspomnieć, że na wybrzeżach azjatyckich wodorosty te stanowią ważną część pożywienia krajowców.

— Mimo wszystko — powiedział marynarz — najwyższy czas, żeby pan Cyrus nam pomógł.

Tymczasem zimno stało się coraz bardziej przenikliwe, a niestety nie było sposobu, żeby się przed nim ochronić.

Mocno rozdrażniony marynarz próbował na wszelkie sposoby rozniecić ogień. Pomagał mu w tym Nab. Znalazł trochę suchego mchu i uderzając o siebie dwa kamienie, krzesał z nich iskry: ale mech nie był wystarczająco łatwopalny i nie zajął się, a zresztą iskry te, które były tylko rozżarzonymi cząstkami krzemienia, nie miały tych własności, co iskry ulatujące ze stali w zwykłym krzesiwie<sup>51</sup>. Próba zatem nie udała się.

Następnie Pencroff, chociaż nie miał żadnego zaufania do tej metody, próbował pocierać o siebie dwa kawałki suchego drzewa, jak to robią dzicy. Gdyby ruch, jakiego wraz z Nabem użyli do tych czynności, zgodnie z nową teorią przemienił się w ciepło<sup>52</sup>, wystarczyłoby z pewnością na doprowadzenie do wrzenia kotła parowca. Lecz rezultatu nie było żadnego. Wprawdzie kawałki drewna rozgrzały się trochę, ale o wiele mniej niż ci, którzy się nad nimi wysilali.

Po godzinie daremnych usiłowań Pencroff spociał się jak mysz i z gniewem odrzucił kawałki drewna.

— Jeżeli mnie ktoś przekona — zawołał — że dzicy tym sposobem rozpalają ogień, to uwierzę nawet, że w zimie panują upały! Prędkiej bym swoje ręce zapalił, trąc jedną o drugą!

Marynarz jednak mylił się, zaprzeczając zupełnie skuteczności tej metody. Wiadomo bowiem, że dzicy zapalają kawałki drewna, pocierając je szybko o siebie. Ale nie każdy gatunek drzewa się do tego nadaje, a oprócz tego trzeba znać odpowiedni sposób, jak to się mówi: sztuczkę, której Pencroff najwyraźniej nie znał.

Zły humor marynarza nie trwał długo. Harbert podniósł odrzucone przez niego kawałki drewna i z całych sił zaczął pocierać jeden o drugi. Silny jak lew marynarz nie mógł się powstrzymać od śmiechu, widząc, jak młodzik próbuje dokonać tego, czego on nie dał rady.

— Trzyj, mój chłopcze, trzyj, ile masz sił! — zawołał.

— Trę — odparł Harbert, śmiejąc się — ale tylko po to, żeby się trochę rozgrzać, zamiast dzwonić zębami z zimna, i wkrótce będzie mi tak ciepło jak tobie, Pencroffie!

Tak też się stało. Tak czy inaczej, trzeba się było pożegnać z myślą o rozpaleniu ognia na tę noc. Gedeon Spilett ze dwadzieścia razy z rzędu powtórzył, że Cyrusowi taka drobnotka nie sprawiłaby kłopotu. A tymczasem położył się na piasku w jednym z korytarzy. Harbert, Nab i Pencroff poszli za jego przykładem. Top spał u nóg swojego pana.

Nazajutrz, 28 marca, inżynier, obudziwszy się około ósmej rano, ujrzał zgromadzonych wokół siebie towarzyszy, którzy z niecierpliwością wyczekiwali jego przebudzenia. Podobnie jak poprzedniego dnia pierwsze jego słowa brzmiały:

<sup>50</sup>gronosty a. *sargasy*, *Sargassum* (biol.) — rodzaj glonów z gromady brunatnic posiadających pęcherze pławne umożliwiające im unoszenie się w wodzie; porastają głównie podwodne skały u wybrzeży ciepłych mórz, szczególnie na półkuli południowej. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>krzesiwo — narzędzie służące do uzyskiwania iskry przez uderzanie nim w krzemień, zwykle wykonane ze stali. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Gdyby ruch (...) zgodnie z nową teorią przemienił się w ciepło — do połowy XIX w. w fizyce uznawano, że ciepło jest niezniszczalną substancją (tzw. ciepłikiem), mogącą przepływać od ciał gorących do zimnych. Pomimo pomiarów mechanicznej równoważności ciepła dokonanych przez Joule'a w latach 1843–50, teoria ciepłika występowała w części literatury naukowej do końca XIX w., kiedy została ostatecznie wyparta przez nową, współczesną teorię. Zgodnie z nią ciepło i praca to dwa sposoby przekazywania energii, której zmianę można w związku z tym przeliczać z ilości wykonanej pracy na ilość dostarczonego ciepła i odwrotnie. [przypis edytorski]

— Wyspa czy kontynent?  
 Jak widać, ta natrętna myśl nie opuszczała go.  
 — Cóż, tego jeszcze nie wiemy, panie Smith — odparł Pencroff.  
 — Jeszcze nie wiecie?  
 — Ale dowiemy się — wtrącił Pencroff — gdy zostanie pan naszym sternikiem w tym kraju.  
 — Ano spróbuję — powiedział inżynier, wstając bez wielkiego wysiłku na nogi.  
 — Brawo, to mi się podoba! — zawołał marynarz.  
 — Konałem przede wszystkim z wyczerpania — powiedział Cyrus Smith. — Trochę jedzenia, przyjaciele, a dojdę do siebie. Macie ogień, prawda?  
 Przez kilka chwil pytanie pozostało bez odpowiedzi. Wreszcie Pencroff powiedział:  
 — Niestety, nie mamy ognia, a właściwie, panie Cyrusie, już go nie mamy!  
 Po czym marynarz opowiedział, co się działo poprzedniego dnia. Rozbawił inżyniera historią o jedynej zapalce, a następnie o nieudanych próbach rozniecenia ognia metodą używaną przez dzikich.  
 — Pomyślimy, co się da zrobić — powiedział inżynier — a jeśli nie znajdziemy jakiejś substancji podobnej do hubki, to...  
 — To co wtedy? — zapytał marynarz.  
 — To zrobimy zapalki.  
 — Chemiczne?  
 — Chemiczne!  
 — Nic łatwiejszego! — zawołał reporter, klepiąc marynarza po ramieniu.  
 Marynarz nie podzielał tego zdania, lecz nie sprzeciwiał mu się. Po czym wszyscy wyszli na zewnątrz. Na niebie zapanowała znów pogoda. Jaskrawe słońce wynurzało się z fal oceanu i tysiącem złocistych cętek posypało chropowatą powierzchnię olbrzymiej ściany skalnej.  
 Rzuciwszy okiem dookoła, inżynier usiadł na bryle skalnej. Harbert podał mu kilka garści małży i gronostów, mówiąc:  
 — To wszystko, co w tej chwili posiadamy, panie Cyrusie.  
 — Dziękuję ci, mój chłopcze — odparł inżynier. — To wystarczy, przynajmniej na dziś rano.  
 Zjadał z apetytem ten skromny posiłek i popijał świeżą wodą, zacerpniętą z rzeki do dużej muszli.  
 Towarzysze spoglądali na niego w milczeniu. Zaspokoiwszy pierwszy głód, Cyrus Smith skrzyżował ramiona i powiedział:  
 — A zatem, przyjaciele, nie wiecie dotąd, czy los rzucił nas na kontynent, czy na wyspę?  
 — Nie wiemy, panie Cyrusie — odpowiedział chłopak.  
 — Więc dowiemy się jutro — powiedział inżynier. — Dopóki tego nie będziemy wiedzieli, nie ma co robić.  
 — I owszem — odparł Pencroff.  
 — Cóż takiego?  
 — Postarać się o ogień — powiedział marynarz, który także miał myśl nie dającą mu spokoju.  
 — Będziemy go mieli, Pencroffie — odparł inżynier. — Wczoraj po drodze spostrzegłem na zachodzie górę dominującą nad całą okolicą.  
 — Tak jest — powiedział Gedeon Spilett — ta góra wydaje się dość wysoka...  
 — Otóż jutro — ciągnął dalej inżynier — wdrapiemy się na sam szczyt i przekonamy się, czy ten ład jest wyspą, czy też kontynentem. Do jutra, powtarzam jeszcze raz, nie ma co robić.  
 — Ależ jest co robić, rozpalic ogień — powtórzył uparty marynarz.  
 — Będziemy go mieli, będziemy! — odparł Gedeon Spilett. — Trochę cierpliwości, Pencroffie!  
 Marynarz popatrzył na Gedeona Spiletta z miną, która zdawała się mówić: „No, jeżeli pan się tym zajmie, to pewnie nieprędko skosztujemy pieczeni”. Lecz nie powiedział ani słowa.

Cyrus Smith także milczał. Sprawa ognia zdawała się go mało interesować. Przez kilka chwil siedział zatopiony w myślach, po czym odezwał się znowu:

— Nasza sytuacja, przyjaciele, jest może oplakana, lecz w każdym razie bardzo prosta. Albo jesteśmy na kontynencie, a wtedy z większym lub mniejszym trudem dotrzemy wreszcie do jakiegoś miejsca, gdzie mieszkają ludzie, albo też jesteśmy na wyspie. W tym drugim przypadku czeka nas jedno z dwojga: jeśli ta wyspa jest zamieszkała, spróbujemy dać sobie radę przy pomocy jej mieszkańców, jeśli zaś jest bezludna, będziemy musieli radzić sobie sami.

— Rzeczywiście, nic prostszego — odparł Pencroff.

— Ale niezależnie od tego — zagadnął Gedeon Spilett — czy to kontynent czy wyspa, jak pan sądzi, Cyrusie, dokąd nas mógł zapędzić ten huragan?

— Prawdę mówiąc, nie wiem na pewno — odparł inżynier — ale wiele przemawia za tym, że na jakiś ląd na Pacyfiku. Gdy opuszczaliśmy Richmond, wicher dął z północnego wschodu i sama jego gwałtowność pozwala przypuszczać, że nie zmienił kierunku. Jeśli więc ten kierunek z północnego wschodu na południowy zachód się utrzymał, przelecieliśmy stany Karoliny Północnej, Karoliny Południowej, Georgii, Zatokę Meksykańską, Meksyk, a następnie część Pacyfiku. Oceniam odległość, jaką przebyliśmy balonem, na co najmniej sześć do siedmiu tysięcy mil, a jeśli wiatr w tym czasie zmienił kierunek o pół kwadranta<sup>53</sup>, to zapędził nas albo na Archipelag Mendany<sup>54</sup>, albo na wyspy Paumotu<sup>55</sup>, albo nawet, jeśli siła jego była większa, niż przypuszczam, na Nową Zelandię. Gdyby ta ostatnia hipoteza okazała się słuszna, nasz powrót do ojczyzny nie byłby trudny. Czy trafilibyśmy na Anglików, czy na Maorysów<sup>56</sup>, jakoś byśmy się dogadali. Jeśli zaś wybrzeże, na którym się znajdujemy, należy do jednej z bezludnych wysp jakiegoś malutkiego archipelagu, o czym być może zdołamy się przekonać z tego szczytu górującego nad okolicą, wówczas trzeba będzie pomyśleć nad urządzeniem się tutaj tak, jak gdybyśmy już nigdy nie mieli się stąd wydostać.

— Nigdy! — zawołał reporter. — Pan mówi „nigdy”, drogi Cyrusie?

— Lepiej od razu spodziewać się najgorszego — odparł inżynier — a wówczas lepsze będzie miłą niespodzianką.

— Dobrze powiedziane! — powiedział Pencroff. — A zresztą miejmy nadzieję, że ta wyspa, jeśli to jest wyspa, nie leży poza szlakami, którymi pływają statki. Inaczej to byłby prawdziwy pech.

— Będziemy wiedzieli, czego się trzymać — powiedział inżynier — dopiero wtedy, kiedy wdrapiemy się na tamtą górę i stamtąd się rozejrzemy.

— Ale czy jutro będzie pan miał dość sił, żeby znieść trudy takiej wyprawy? — zapytał Harbert.

— Mam nadzieję — odparł inżynier — ale pod warunkiem, że pan, panie Pencroffie, i ty, mój chłopcze, spiszecie się dziś, jak na zręcznych myśliwych przystało.

— Panie Cyrusie — odparł marynarz — ponieważ mówi pan o zwierzyńcu, to powiem panu, że gdybym był tak samo pewny, że po powrocie będę ją mógł upiec przy ogniu, jak jestem pewny, że ją dostarczę...

— Niech pan ją tylko dostarczy, panie Pencroffie — odparł Cyrus Smith.

Postanowiono zatem, że inżynier z reporterem spędzą dzień w Kominach, ażeby zbadać brzeg morza i górny płaskowyż. Przez ten czas Nab, Harbert i marynarz mieli wrócić do lasu, uzupełnić zapas drzewa i złować każde pierzaste czy pokryte sierścią stworzenie, jakie im wpadnie pod rękę.

Ruszyli zatem w drogę około dziewiątej rano: Harbert pełen najlepszej otuchy, Nab wesoły, Pencroff na odchodnym mruczący pod nosem:

<sup>53</sup>kwadrant — ćwiartka koła lub kąt odpowiadający takiej ćwiartce, czyli kąt prosty; pół kwadranta to 45°. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Archipelag Mendany, fr. *Archipel de Mendana* — daw. fr. nazwa Markizów, grupy wysp wulkanicznych na Pacyfiku, ok. 4800 km na zach. od Meksyku. Zostały odkryte w 1595 przez hiszp. żeglarza Álvaro de Mendañę i nazwane na cześć markiza de Mendosy, ówczesnego wicekróla Peru. Od 1842 Markizy są francuską kolonią w ramach Polinezji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>Paumotu, wyspy — daw. nazwa wysp Tuamotu, archipelagu na Oceanie Spokojnym z wielką liczbą atoli i wysepek, należącego do Polinezji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Maorysi — rdzenna ludność Nowej Zelandii, potomkowie Polinezyjczyków, którzy jako pierwsi ludzie dotarli tam w XIII w. [przypis edytorski]



— Jeżeli po powrocie znajdę ogień w domu, to chyba sam piorun we własnej osobie przyszedł go rozpalić!...

Poszli brzegiem w górę rzeki, a kiedy dotarli do jej zakrętu, marynarz zatrzymał się i powiedział:

— Czym będziemy najpierw: myśliwymi czy drwalami?

— Myśliwymi — odparł Harbert. — Top już jest na tropie.

— Więc chodźmy na polowanie — powiedział marynarz. — Potem wrócimy tu po drzewo.

Po czym Harbert, Nab i Pencroff, wylamawszy trzy potężne konary ze świerków, pospieszyli w ślad za Topem, który skacząc, przedzierał się przez wysoką trawę.

Tym razem myśliwi, zamiast iść wzdłuż rzeki, zapuścili się prosto w głąb lasu. Napotykali te same drzewa, co poprzednio, należące w większości do rodziny sosen. Gdzieś tam gdzie sosny te rosły w mniejszych skupiskach i miały wspaniałe rozmiary, co wskazywało, że kraina leży na większej szerokości geograficznej, niż przypuszczał inżynier. Tu i ówdzie napotykali polanki, gdzie sterczały pnie nadszczerbione zębem czasu, a na ziemi wokoło leżało mnóstwo suchych gałęzi stanowiących niewyczerpany zapas paliwa. Kiedy minęli te polanki, las stał się tak gęsty, że prawie nie do przebycia.

Nie było łatwo utrzymać kierunek w gęstwinie drzew, bez żadnej ścieżki. Toteż marynarz od czasu do czasu nadłamywał po drodze gałęzie, tworząc tym sposobem łatwo wpadające w oko drogowskazy. Ale być może tym razem źle zrobił, nie trzymając się biegu rzeki, jak na pierwszej wędrowce z Harbertem, gdyż po całodziennym chodzeniu nie trafili jeszcze na żadną zwierzynę. Top, biegnąc pod niskimi gałęziami, płoszył tylko ptaki, do których nie można było się zbliżyć. Nie było widać nawet kuruku, wydawało się więc, że marynarz będzie musiał wrócić do bagnistej części lasu, gdzie tak pomyślnie łowił preriokury.

— Ano, panie Pencroffie — odezwał się Nab z lekkim sarkazmem — jeżeli to ma być ta zwierzyna, którą obiecał pan dostarczyć mojemu panu, to niewiele potrzeba będzie ognia, żeby ją upiec!...

— Cierpliwości, Nabie — odparł marynarz. — Z pewnością to nie zwierzyny zabraknie po naszym powrocie!

— Więc nie ma pan zaufania do pana Smitha?

— Owszem.

— Ale nie wierzy pan, że rozpali ogień?

— Uwierzę, gdy drzewo zapłonie na ognisku.

— Będzie płonąć, bo mój pan tak powiedział!

— Zobaczymy!

Tymczasem słońce w swojej wędrowce nie osiągnęło jeszcze najwyższego punktu nad horyzontem. Poszukiwania trwały dalej, a Harbert dokonał niebawem bardzo pożytecznego odkrycia, znalazł bowiem drzewo z jadalnymi owocami. Była to pinia<sup>57</sup>, rodząca doskonale orzeszki, cenione w umiarkowanych strefach Ameryki i Europy. Orzeszki były zupełnie dojrzałe i Harbert wskazał je swoim towarzyszom, którzy uraczyli się nimi do syta.

— Cóż — powiedział Pencroff — wodorosty jako chleb, surowe małże jako mięso i orzeszki sosnowe na deser — oto obiad ludzi, którzy nie mają w kieszeni ani jednej zapalki.

— Nie należy narzekać — odpowiedział Harbert.

— Ja nie narzekam, mój chłopcze — odparł Pencroff — powtarzam tylko, że w naszych posiłkach trochę daje się odczuć brak mięsa.

— Top jest innego zdania!... — zawołał w tej chwili Nab i podbiegł ku gęstwinie, skąd dolatywało szczekanie psa. Ze szczekaniem Topa mieszały się dziwne chrząkania.

Marynarz z Harbertem pospieszyli w ślad za Nabem. Jeśli to była zwierzyna, to zamiast rozprawić nad tym, jak się ją upiecze, należało przede wszystkim pomyśleć, jak ją złapać.

Kiedy tylko weszli w gęstwinę, ujrzeni Topa szamoczącego się z jakimś zwierzęciem, które trzymał zębami za ucho. Czworonożne stworzenie podobne było do świni, miało

<sup>57</sup>pinia — drzewo iglaste z gęstą, szeroką koroną, rosnące w krajach śródziemnomorskich, mające duże, jadalne nasiona (orzeszki piniowe). [przypis edytorski]

około dwóch i pół stopy długości, było ciemnobraunatne, jaśniejsze na brzuchu, pokryte twardą i rzadką sierścią; jego palce u nóg, którymi właśnie z całej siły uczepiło się ziemi, były połączone błoną.

Harbert rozpoznał w nim kapibarę<sup>58</sup>, która jest jednym z największych przedstawicieli gryzoni.

Tymczasem kapibara wcale nie walczyła z psem. Przewracała tylko bezmyślnie swoimi wielkimi oczami, osadzonymi głęboko w grubej warstwie tłuszczu. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu widziała ludzi.

Nab, ująwszy silniej kij w rękę, zamierzał właśnie powalić gryzonia, gdy ten wydarł się Topowi, zostawiając mu w zębach kawałek ucha, chrząknął głośno, rzucił się na Harberta, omal nie powalając go z nóg, i zniknął w gęstwinie.

— A to drab! — zawołał Pencroff.

Wszyscy trzej popędzili co tchu w ślad za Topem, ale w chwili gdy go doganiali, gryzoń rzucił się do dużego bajora, ocienionego dokoła stuletnimi sosnami, i zniknął pod wodą.

Nab, Harbert i Pencroff stanęli na brzegu jak wryci. Top wskoczył do wody, ale kapibara ukryła się na dnie bajora i już się nie pokazała.

— Zaczekajmy — powiedział Harbert — wkrótce będzie musiała wypłynąć, żeby nabrać tchu.

— A nie utonie? — zapytał Nab.

— Nie — odparł Harbert — ma płetwovate nogi i jest zwierzęciem ziemnowodnym. Czatuujemy tu na nią.

Top został w wodzie. Pencroff i jego dwaj towarzysze rozstawili się dokoła brzegu, aby odciąć kapibarze drogę ucieczki, a pies szukał jej po całym bajorze.

Słowa Harberta sprawdziły się. Po kilku minutach zwierzę wypłynęło znów na powierzchnię wody. Top jednym susem rzucił się na nie i nie dał mu się ponownie zanurzyć. W kilka chwil później Top przyciągnął kapibarę do brzegu, a Nab jednym uderzeniem pałki ubił ją na miejscu.

— Hurra! — krzyknął Pencroff, który miał słabość do tego tryumfalnego okrzyku. — Dajcie mi tylko jeden rozżarzony węgielek, a ogryziemy tego gryzonia do kości!

Pencroff zarzucił kapibarę na ramię, a sądząc według słońca, że może już być około drugiej po południu, dał znak do powrotu.

Instynkt Topa przydał się myśliwym, którzy dzięki temu sprytnemu przewodnikowi łatwo odnaleźli drogę powrotną. Po pół godzinie dotarli do zakrętu rzeki.

Tak jak pierwszym razem Pencroff szybko sporządził tratwę i załadował ją drewnem, chociaż z powodu braku ognia ta praca wydawała mu się niepotrzebna, po czym prowadząc tratwę z prądem wody, wracali do Kominów.

Ale pięćdziesiąt kroków przed Kominami marynarz zatrzymał się nagle, krzyknął z całych sił „Hurra!” i wskazując ręką na róg skalnego urwiska, zawołał:

— Harbercie! Nabie! Patrzcie!

Ponad skałami unosiły się gęste kłęby dymu.

## ROZDZIAŁ X

*Wynalazek inżyniera. — Pytanie nurtujące Cyrusa Smitha. — Wyprawa na szczyt. — Las. — Grunt wulkaniczny. — Tragopany. — Muflony. — Pierwszy taras. — Nocleg. — Ze szczytu góry.*

Kilka chwil później myśliwi znaleźli się przy płonącym ognisku. Zastali przy nim Cyrusa Smitha i reportera. Pencroff w milczeniu patrzył to na jednego, to na drugiego, stojąc jak wryty, z kapibarą w rękę.

— A widzi pan, przyjacielu! — zawołał reporter. — Oto i ogień, prawdziwy ogień, przy którym doskonale upiecze się ta wspaniała zwierzyna, którą się niebawem uraczymy!

— Ale kto go rozpałił?... — zapytał Pencroff.

Ogień

<sup>58</sup>kapibara (biol.) — rodzaj lądowo-wodnych gryzoni mieszkających w Ameryce Płd.; kapibara wielka jest największym z żyjących gryzoni (do 65 kg). [przypis edytorski]

— Słońce!

Gedeon Spilett powiedział prawdę. To słońce było źródłem ognia, który się tak zadziwił Pencroffa. Marynarz nie chciał wierzyć własnym oczom i tak był osłupiały z podziwu, że nie przyszło mu nawet na myśl zapytać inżyniera, jak to się stało.

— Więc miał pan przy sobie soczewkę? — zagadnął Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie, mój chłopcze — odparł inżynier — ale ją zrobiłem.

I pokazał przyrząd, który mu posłużył za soczewkę. Były to po prostu dwa szkiełka, wyjęte z zegarka reportera i jego własnego. Napelniając je wodą i sklejjąc brzegi za pomocą glinki, sporządził tym sposobem prawdziwą soczewkę, która skupiając promienie słoneczne na kupce suchego mchu, spowodowała, że się zapalił.

Marynarz najpierw przyjrzał się przyrządowi, a potem spojrzął na inżyniera i nie powiedział ani słowa. Za to jego wzrok mówił wszystko. Jeżeli dla niego Cyrus Smith nie był bogiem, to w każdym razie kimś więcej niż człowiekiem. Wreszcie odzyskał mowę i zawołał:

— Niech pan to zapisze, panie Spilett, niech pan to zapisze w swoich notatkach!

— Już zapisałem — odparł reporter.

Następnie przy pomocy Naba marynarz sporządził rozeń i wkrótce kapibara, wypatroszona jak należy, piekła się nad jasnym, trzaskającym ogniem jak zwyczajne prosię.

Kominy znowu nadawały się do zamieszkiwania, nie tylko dlatego, że ogień ogrzewał korytarze, lecz także dzięki temu, że odbudowano dawne przegrody z kamieni i piasku. Jak widać, inżynier ze swoim towarzyszem nie zmarnowali dnia. Cyrus Smith prawie całkiem odzyskał siły i wypróbował je, wchodząc na górny płaskowyż. Z tego miejsca okiem przywykłym do oceniania wysokości i odległości długo przyglądał się stożkowi góry, na której szczyt zamierzał wspiąć się nazajutrz. Góra, odległa o jakieś sześć mil na północny zachód, według jego przypuszczeń wznosiła się na trzy tysiące pięćset stóp ponad poziom morza. Stanąwszy więc na jej szczycie, można było przejrzeć dokoła widnokrąg w promieniu co najmniej pięćdziesięciu mil. Zdawało się zatem, że Cyrus Smith będzie mógł stamtąd z łatwością rozstrzygnąć kwestię „kontynent czy wyspa?“, którą nie bez powodu uważał za ważniejszą od wszystkich innych.

Spożyto obfitą kolację. Wszyscy uznali, że mięso kapibary jest wyśmienite. Wodorosty i orzeszki pinii uzupełniły posiłek, podczas którego inżynier niewiele się odżywał. Był zaprzątnięty planami na następną dzień.

Raz czy dwa razy Pencroff wysunął swoje pomysły, co należałoby robić w najbliższej przyszłości, lecz Cyrus Smith, który najwidoczniej był człowiekiem bardzo systematycznym, kiwał tylko głową i powtarzał:

— Jutro będziemy wiedzieli, czego się trzymać, i odpowiednio do tego ustalimy dalsze postępowanie.

Po kolacji dorzucono świeżego chrustu do ognia i mieszkańcy Kominów, nie wyłączając wiernego Topa, zasnęli wszyscy kamiennym snem. Żaden wypadek nie przerwał spokoju tej nocy i nazajutrz, 29 marca, przebudzili się rześcy i wypoczęci, gotowi do wyprawy, która miała zdecydować o ich losie.

Wszystko było gotowe do podróży. Resztki kapibary mogły wystarczyć Cyrusowi Smithowi i jego towarzyszom jeszcze na cały dzień. Zresztą mieli nadzieję po drodze zaopatrzyć się w żywność. Ponieważ szkiełka zostały z powrotem wstawione do zegarków inżyniera i reportera, więc Pencroff nadpalił trochę płótna, które miało posłużyć zamiast hubki. O krzemień nie było potrzeby się troszczyć na terenie pochodzenia wulkanicznego.

O godzinie wpół do ósmej rano podróżni, uzbrojeni w kostury<sup>59</sup>, opuścili Kominy. Zdaniem Pencroffa najlepiej było pójść znaną już drogą przez las, a powracać można będzie inną. Była to jednocześnie najkrótsza droga wiodąca do celu ich wyprawy. Skręcili zatem na południe i podążyli lewym brzegiem rzeki. W miejscu, gdzie rzeka skręcała na południowy zachód, zesłi w bok, odszukali utorowaną już pomiędzy drzewami ścieżkę i o godzinie dziewiątej Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli na zachodni kraniec lasu.

Grunt dotychczas dość równy, początkowo bagnisty, a później suchy i piaszczysty, podnosił się teraz lekko, od wybrzeża w głąb lądu. Między drzewami przemknęły przed

<sup>59</sup>kostur — kij podróżny, laska używana przez wędrowców do podpierania się. [przypis edytorski]

nimi jakieś bardzo płochliwe zwierzęta. Top żwawo skoczył za nimi, ale jego pan zaraz go przywołał, gdyż nie był to czas na polowanie. Zobaczysz, co będzie później. Inżynier nie należał do ludzi, których łatwo odwieść od powziętego planu. Można było z pewnością powiedzieć, że nie zwracał uwagi na okolicę, którą szli, ani na jej ukształtowanie, ani na jej bogactwa naturalne. Jego jedynym celem była góra, na którą chciał się wdrzeć, i zmierzał prosto do niej.

O dziesiątej zrobili kilkuminutowy odpoczynek. Przy wyjściu z lasu roztoczył się przed ich oczyma układ orograficzny<sup>60</sup> całej okolicy. Góra składała się z dwóch stożków. Jeden z nich, ścięty na wysokości dwóch tysięcy pięciuset stóp, podtrzymywany był poprzecznymi pasmami górskimi, które rozgałęziały się fantastycznie niczym wbite w ziemię szpony olbrzymiej łapy. Pomiedzy tymi pasmami ciągnęły się wąskie doliny najeżone drzewami; wierzchołki najwyższych rosnących drzew wznosiły się aż do krawędzi pierwszego stożka. Roślinność wydawała się uboższa po północno-wschodniej stronie góry, gdzie ciemniały dość głębokie wyżłobienia, zapewne wystygłe potoki lawy.

Na pierwszym stożku spoczywał drugi, lekko zaokrąglony na wierzchołku i nieco przekrzywiony. Wyglądał jak duży okrągły kapelusz zsunięty na jedno ucho. Wydawał się cały składać tylko z nagiej ziemi, którą w wielu miejscach przecinały czerwone skały.

Tak wyglądał szczyt drugiego stożka, na który chcieli się dostać, a najwygodniejsza droga prowadziła grzbietami poprzecznych pasm.

— Znajdujemy się na gruncie wulkanicznym — powiedział Cyrus Smith, po czym cała drużyna zaczęła powolną wspinaczkę po grzbiecie jednego z poprzecznych pasm, krętych, a tym samym wygodniejszych, które sięgało aż do szczytu pierwszego stożka.

Powierzchnia ziemi w wielu miejscach była wybrzuszona, widocznie nieraz wstrząsała nią podziemne siły wulkaniczne. Tu i ówdzie leżały bezładnie nieregularne bryły kamieni, liczne odłamy bazaltu<sup>61</sup>, pumeksu<sup>62</sup> i obsydianu<sup>63</sup>. Rzadkimi kępami rosły drzewa iglaste, które o kilkaset stóp niżej, na dnie wąskich parowów, tworzyły zbity gąszcz, prawie nieprzepuszczający promieni słonecznych.

Podczas pierwszego etapu wspinaczki po dolnych grzbietach, tworzących jakby olbrzymie schody wiodące do góry, Harbert zauważył tropy dużych zwierząt, zapewne drapieżników.

— Chyba te zwierzęta nie ustąpią nam dobrowolnie swojego królestwa? — powiedział Pencroff.

— W takim razie — odparł reporter, który polował niegdyś na tygrysy w Indiach i na lwy w Afryce — zobaczymy, jak się ich pozbyć. Ale na razie zachowajmy czujność!

Tymczasem podróżni powoli zdążyli w górę, jednak częste zakręty, urwiska i przeszkody, których nie dało się przebyć na wprost, znacznie przysparzały drogi. Czasem ziemia urywała się nagle i stawali nad brzegiem głębokich rozpadlin, które trzeba było obejść. Za każdym razem kosztowało ich wiele czasu i trudów, żeby znowu trafić na wygodniejszą ścieżkę. Około południa, gdy drużyna zatrzymała się, aby zjeść śniadanie w cieniu kępy świerków, niedaleko spływającego kaskadami strumyka, stwierdzili, że są w połowie drogi na szczyt pierwszego stożka, więc było jasne, że nie zdołają tam dotrzeć przed zmrokiem.

Z miejsca, w którym się znajdowali, roztaczał się rozległy widok na morze; lecz na prawo, na południowym wschodzie, zasłaniał go ostry cypel, który nie pozwalał rozróżnić, czy wybrzeże nie łączy się ostrym zakrętem z jakimś lądem położonym na dalszym planie. Po lewej wzrok sięgał kilka mil na północ, lecz w kierunku północno-zachodnim od miejsca, gdzie się znajdowali podróżni, dalszy widok zagradzał sterczący narożnik jednej z poprzecznych ostróg o dziwacznych kształtach, tworzącej jakby potężną skar-

<sup>60</sup>układ orograficzny — ukształtowanie gór; od: *orografia* (z gr. *oros*: góra, *grapho*: piszę), nauka zajmująca się opisem gór lub innych dużych form rzeźby powierzchni Ziemi (morfografia). [przypis edytorski]

<sup>61</sup>bazalt — skała wulkaniczna (wylewna) o drobnoziarnistej strukturze, mająca barwę czarną, szarą lub zieloną. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>pumeks — skała wulkaniczna zbudowana z porowatego szkliwa wulkanicznego powstałego z pienistej lawy. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>obsydian — skała wulkaniczna złożona niemal wyłącznie ze szkliwa wulkanicznego, powstająca w wyniku natychmiastowego stygnięcia lawy. [przypis edytorski]

peę<sup>64</sup> centralnego stożka. A zatem nie można było jeszcze rozstrzygnąć kwestii, o którą chodziło Cyrusowi.

O pierwszej ruszyli dalej. Trzeba było iść ukośnie na południowy zachód i znowu zapuścić się w gęstwinę. Tutaj, pomiędzy rozłożystymi drzewami, trzepotały się pary kuraków z rodziny bażantów. Były to tragopany<sup>65</sup>, ozdobione mięsistymi podgardlami i dwoma walcowatymi różkami osadzonymi za oczyma. Ptaki te były mniej więcej wielkości koguta, samice jednolicie brunatne, podczas gdy samce połyskiwały czerwonym upierzeniem usianym drobnymi białymi cętkami. Gedeon Spilett rzuconym celnie i silnie kamieniem ubił jednego tragopana, a Pencroff, którego apetyt zaostrzyło świeże powietrze, spoglądał na niego łakomym okiem.

Po opuszczeniu gąszczy musieli iść jakieś stóp pod górę po bardzo stromej pochyłości, podsadzając się wzajemnie, aż dotarli na wyższą kondygnację, gdzie rosło kilka drzew, a gleba miała wygląd wulkaniczny. Stąd trzeba było skręcić znowu na wschód i iść zakosami, co znacznie ułatwiało wspinaczkę po zboczach, gdyż były strome i musieli uważnie wybierać miejsca, gdzie postawić stopę. Straż przednią tworzyli Nab z Harbertem, straż tylną Pencroff, a w pośrodku szli Cyrus i reporter. Zwierzęta, które przebywały na tych wysokościach — a napotykali wiele ich śladów — musiały być jakimś gatunkiem kozic, obdarzonych przez naturę pewnymi nogami i giętkim grzbietem. Spostrzegli nawet kilka sztuk, lecz Pencroff nadał im inną nazwę, zawoławszy nagle:

— Barany!

Na ten okrzyk wszyscy zatrzymali się o pięćdziesiąt kroków od stadka kilku dużych zwierząt o silnych, wygiętych do tyłu rogach, spłaszczonych na końcach, oraz wełnistym runie pokrytym długą, miękką sierścią płowego koloru.

Nie były to zwykłe barany, lecz pewien gatunek rozpowszechniony w górskich okolicach stref umiarkowanych; Harbert nazwał je muflonami<sup>66</sup>.

— A można z nich robić udźce i kotlety? — zapytał marynarz.

— Można — odparł Harbert.

— A więc to barany! — powiedział Pencroff.

Zwierzęta stały nieruchomo wśród odłamów bazaltowych i patrzyły zdumionym wzrokiem, jak gdyby po raz pierwszy widziały dwunożne istoty ludzkie. Po chwili spłoszyły się nagle i skacząc po skałach, zniknęły pomiędzy urwiskami.

— Do widzenia! — zawołał Pencroff tonem tak komicznym, że Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert i Nab wybuchnęli głośnym śmiechem.

Ruszyli dalej. Na stromiznach coraz częściej widoczne były ślady lawy zastygłej w fantastyczne wzory. Od czasu do czasu drogę przecinały małe solfatary<sup>67</sup>, które trzeba było obchodzić wzdłuż brzegów. W niektórych miejscach siarka osadziła się w postaci nalotu z kryształków pomiędzy minerałami, które zazwyczaj poprzedzają wylew lawy, to znaczy między nieregularnymi, skamieniałymi grudkami pucolany<sup>68</sup> oraz białawego popiołu, składającego się z niezliczonej liczby małych kryształków skaleni<sup>69</sup>.

Im bardziej zbliżali się do pierwszego tarasu, który tworzył ścięty wierzchołek niższego stożka, tym trudniej było wdrapywać się pod górę. Około godziny czwartej minęli ostatni pas lasu. Tu i ówdzie sterczało jeszcze tylko kilka pokurczonych i nagich sosen, którym przypadł w udziale twardy los stawiania oporu szalejącym na tej wysokości wichrom. Na szczęście dla inżyniera i jego towarzyszy pogoda była piękna, powietrze

<sup>64</sup>skarpa (archit.) — przypora, rozszerzający się ku dołowi mur odchodzący na zewnątrz od ściany budynku, mający za zadanie wzmacniać ścianę i przenosić ciężar sklepienia budowli na podłoże. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>tragopan (biol.) — rodzaj ptaków z rodziny bażantowatych (kurowatych), występujących w pld. i pld.-wsch. Azji; wyróżniają się wśród innych bażantowatych gniazdowaniem na drzewach. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>muflon *śródziemnomorski*, *Ovis aries musimon* (biol.) — podgatunek dzikiej owcy, żyjący pierwotnie w górach Sardynii i Korsyki, ob. w większości krajów Europy; przodek owcy domowej. Jako określenie ogólne słowo *muflon* może oznaczać, szczególnie w jęz. francuskim, rozmaite gatunki dzikich owiec i in. zwierząt podrodziny koziorożców. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>solfatara (z wł. *solfo*: siarka) — obszar na terenie wulkanicznym, na którym z kraterów i szczelin wydobywają się na powierzchnię gorące wyziewy zawierające duże ilości siarki; także nazwa tych wyziewów. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>pucolana — drobny popiół lub pył wulkaniczny, składający się głównie z krzemionki; wykorzystywany w budownictwie z powodu zdolności do wiązania wapna. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>skalenie — grupa pospolitych minerałów skałotwórczych, stanowiących ok. 60% objętości skał magmowych. [przypis edytorski]

spokojne, bowiem na wysokości trzech tysięcy stóp silny wiatr utrudniałby im marsz. Poprzez przejrzyste powietrze wzrok sięgał w przestworza. Dokoła panowała zupełna cisza. Słońce skryło się właśnie za wyższym stożkiem, który zasłaniał zachodnią część horyzontu, a olbrzymi cień, rozciągający się aż do brzegu morza, wydłużał się, w miarę jak promienna gwiazda zbliżała się do kresu swej codziennej wędrówki. Na wschodzie zaczęły się ukazywać jakieś opary, raczej mgły niż chmury, zabarwione przez promienie słoneczne wszystkimi kolorami tęczy.

Już tylko pięćset stóp dzieliło podróżnych od tarasu, do którego zamierzali dotrzeć, aby rozbić obóz na noc, lecz zygaki, którymi musieli iść, wydłużały te pięćset stóp do dwóch tysięcy. Często grunt kończył im się tuż pod nogami. Zbocza były nieraz tak strome, że zsuwali się po pokładach zastygłej lawy, gdy zwierzałe wskutek działania powietrza wyzłobienia nie dawały dostatecznego oparcia stopom. Robiło się coraz ciemniej i już prawie zapadła noc, gdy Cyrus Smith i jego towarzysze, śmiertelnie zmęczeni siedmiogodzinną wspinaczką, dotarli na taras stanowiący szczyt pierwszego stożka.

Należało teraz urządzić obozowisko i wzmocnić siły, najpierw jedzeniem, a potem snem. Drugie piętro góry spoczywało na podstawie ze skał, pomiędzy którymi znaleźli łatwo stosowne schronienie. Opału nie było wiele. Można jednak było rozpalić ognisko z mchu i rosnących miejscami suchych krzaków. Podczas gdy marynarz układał palenisko z kamieni, żeby rozpalić na nim ogień, Nab z Harbertem zbierali opał i wkrótce powrócili z potrzebnym zapasem. Skrzesano ogień, nadpalone płótno, na które dmuchał Nab, zajęło się od padających z krzemienia iskier i po kilku chwilach pod osłoną skał zapłonął jasny płomień.

Ogień miał posłużyć tylko do zabezpieczenia się przed nocnym chłodem, nie zaś do pieczenia bażanta, którego Nab zostawił na następny dzień. Ich wieczorny posiłek stanowiły resztki kapibary i garść orzeszków pinii.

Okolo wpół do siódmej zakończyli kolację.

Cyrusowi Smithowi przysła wtedy do głowy myśl, by w półmroku zbadać dokoła tę szeroką kolistą podstawę, na której spoczywał górny stożek. Przed odpoczynkiem koniecznie chciał się przekonać, czy nie dałoby się obejść podnóża stożka, na wypadek gdyby zbyt stroma zbocza nie pozwoliła dotrzeć na sam szczyt. Sprawa ta nie przestawała go zaprzątać, gdyż możliwe, że od strony, na którą przechylał się wierzchołek, czyli od północy, nie dało się na niego wspiąć. Gdyby więc okazało się, że z jednej szczyt góry jest nieosiągalny, a z drugiej, że nie można obejść podstawy stożka, wówczas zbadanie zachodniej części ładu byłoby niemożliwe i cel wyprawy nie zostałby w pełni osiągnięty.

Nie uważając zatem na trud i zmęczenie, inżynier zostawił Pencroffa i Naba zajętych przygotowaniami do noclegu, a Gedeona Spilletta pogrążonego w opisywaniu wydarzeń minionego dnia, sam zaś poszedł skrajem kolistego tarasu, kierując się na północ. W wycieczce tej towarzyszył mu Harbert.

Noc była piękna i pogodna, a mrok jeszcze niezbyt gęsty. Cyrus Smith i Harbert szli obok siebie w milczeniu. Miejscami taras był szeroki i płaski i bez przeszkód poruszali się naprzód. Gdzie indziej nagromadzone rumowiska skał pozostawiały zaledwie wąziutką ścieżynkę, po której dwie osoby nie mogły iść obok siebie. Po dwudziestu minutach marszu Cyrus i Harbert musieli się zatrzymać. Poczynając od tego miejsca zbocza stożków łączyły się ze sobą. Nie było dalej skarpy oddzielającej obie części góry. A obejście stało się niemożliwe, gdyż stoki były nachylone pod kątem siedemdziesięciu stopni.

Inżynier i Harbert musieli zrezygnować z zamiaru okrążenia góry, ale w zamian pojawiła się możliwość wspięcia się wprost na jej szczyt.

Mianowicie otwarła się przed nimi głęboka rozpadlina. Było to ujście górnego krateru, gardziel, przez którą, w czasie gdy wulkan był jeszcze czynny, wypływały ogniste potoki magmy.

Zastygła lawa i zaskorupiały żużel tworzyły rodzaj naturalnych schodów o szerokich stopniach, ułatwiających dostęp na szczyt góry.

Cyrus Smith za pierwszym rzutem oka dostrzegł tę sposobność i nie wahając się ani chwili, mimo narastającej ciemności zagłębił się w olbrzymią rozpadlinę. Harbert podążył za nim.

Mieli do pokonania jeszcze tysiąc stóp wysokości. Czy po wewnętrznych ścianach krateru można się dostać na górę? O tym mieli się wkrótce przekonać. Inżynier postanowił

wspinać tak wysoko, jak tylko się da. Na szczęście te wzniesienia, bardzo wydłużone i kręte, opasywały wnętrze krateru po spirali, co bardzo ułatwiało drogę pod górę.

Co do wulkanu, to nie było żadnej wątpliwości, że całkowicie wygaś. Nie widać było ani dymu wydobywającego się ze ścian, ani ognia na dnie głębokich czeluści. Żaden podziemny grzmot, żaden pomruk ani żaden wstrząs nie wydobywał się z tego ciemnego lochu, który sięgał może aż do samego wnętrza ziemi. W powietrzu wewnątrz krateru nie dawał się wyczuć najbliższy zapach siarki. To nie była drzemka wulkanu, to była jego zupełna śmierć.

Wyglądało na to, że zamiar Cyrusa się powiedzie. Wspinając się wraz z Harbertem po stokach krateru, widzieli, jak jego otwór coraz bardziej rozszerzał się nad ich głowami. Wycinek nieba ograniczany brzegami krateru powiększał się z każdą chwilą. Za każdym krokiem ukazywały im się nowe gwiazdy. Wspaniałe konstelacje południowego nieba jaśniały nad ich głowami. W zenicie lśnił wspaniałym blaskiem Antares z konstelacji Skorpiona<sup>70</sup>, a niedaleko niego owa Alfa Centaura<sup>71</sup>, o której twierdzą, że jest najbliższa ziemskiemu globowi. W miarę jak otwór krateru rozszerzał się, ujrzeli gwiazdę zwaną Fomalhaut, należącą do konstelacji Ryby<sup>72</sup>, Trójkąt Południowy<sup>73</sup>, a wreszcie na samym prawie biegunie antarktycznym połyskujący Krzyż Południa, który zastępuje Gwiazdę Polarną półkuli północnej.

Dochodziła ósma, gdy Cyrus i Harbert stanęli na najwyższym punkcie góry, na samym szczycie stożka.

Panowała wtedy zupełna ciemność i nie pozwalała spojrzeń sięgnąć dalej niż w promieniu dwóch mil dookoła. Czy tę nieznaną krainę otaczało morze, czy też łączyła się na zachodzie z jakimś kontynentem Pacyfiku? Tego nie można było rozpoznać. Na zachodzie pasmo chmur wyraźnie zarysowane na horyzoncie pogłębiało jeszcze ciemności, a wzrok daremnie usiłował odgadnąć, czy niebo i woda łączą się tam ze sobą.

Lecz nagle w jednym punkcie horyzontu ukazało się mgliste światelko, które obniżało się powoli, w miarę jak chmury wznosiły się na niebie.

Był to wąski sierp księżyca w nowiu, już prawie znikającego. Jednak jego światło wystarczało, aby wyraźnie pokazać linię horyzontu, uwolnionego już wówczas od chmur, a inżynier zdołał dojrzeć przez moment drżące odbicie księżyca na powierzchni wody.

Cyrus Smith pochwycił dłoń Harberta i powiedział poważnym głosem:

— To wyspa!...

W tej chwili sierp księżyca zanurzył się w fale oceanu.

## ROZDZIAŁ XI

*Na szczycie stożka. — Wnętrze krateru. — Morze dookoła. — Ani śladu ziemi. — Widok wybrzeża z lotu ptaka. — Hydrografia i orografia. — Czy wyspa jest zamieszkała, czy nie? — Nazwy nadane zatokom, przylądkom, rzekom itd. — Wyspa Lincoln.*

W pół godziny później Cyrus Smith i Harbert powrócili do obozowiska. Inżynier powiedział na razie towarzyszom tylko tyle, że ziemia, na którą los ich rzucił, jest wyspą i że układanie planów na przyszłość trzeba odłożyć do następnego dnia. Następnie ułożyli się wszyscy, jak kto mógł, do snu i w bazaltowej pieczarze, położonej dwa tysiące pięćset stóp nad poziomem morza, w cichą, spokojną noc wyspiarze używali błęgiego wypoczynku.

<sup>70</sup>Skorpion (astr.) — gwiazdozbiór zodiakalny nieba południowego, zawierający wiele jasnych gwiazd. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Alfa Centaura a. alfa Centauri (astr.) — pierwsza co do jasności gwiazda w gwiazdozbiorze Centaura; o której twierdzą, że jest najbliższą ziemskiemu globowi: za najbliższą Ziemi gwiazdę inną niż Słońce jest uznawana Proxima Centauri, odległa o ok. 4 lata świetlne i stanowiąca część układu Alfa Centauri. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>konstelacja Ryby (astr.) — właśc. konstelacja Ryby Południowej, różna od zodiakalnego gwiazdozbioru Ryb; wyróżnia się swoją najjaśniejszą gwiazdą Fomalhaut, będącą jednocześnie jedną z najjaśniejszych gwiazd półkuli południowej. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Trójkąt Południowy (astr.) — niewielka konstelacja nieba południowego, której gwiazdy układają się w kształt prawie równobocznego trójkąta; różna od konstelacji Trójkąta na niebie północnym. [przypis edytorski]

Nazajutrz, 30 marca, po krótkim śniadaniu złożonym z upieczonego tragopana inżynier oznajmił zamiar powtórnego wejścia na szczyt wulkanu, aby dokładnie przypatrzeć się wyspie, która być może zostanie dożywotnim więzieniem dla niego i towarzyszy, gdyby się okazało, że znajduje się zbyt daleko od lądu i od szlaku, którym zwykły pływać statki odwiedzające archipelagi Pacyfiku. Tym razem w tej nowej wyprawie towarzyszyli mu koledzy. Oni również chcieli obejrzeć tę wyspę, która miała im zapewnić wszystko, co potrzebne do życia.

Było około siódmej rano, gdy Cyrus Smith, Harbert, Pencroff, Gedeon Spilett i Nab opuścili nocne obozowisko. Żaden z nich nie martwił się sytuacją, w jakiej się znaleźli. Wszyscy oczywiście wierzyli w swoje siły, ale trzeba powiedzieć, że podstawa tej wiary była zupełnie inna u Cyrusa, a inna u jego towarzyszy. Inżynier był pewny siebie, gdyż czuł, że potrafi wydrzeć dzikiej naturze wszystko, co okaże się potrzebne do życia dla niego i jego kolegów; ci zaś nie obawiali się niczego właśnie dlatego, że Cyrus Smith był z nimi. Tę subtelną różnicę można zrozumieć. Zwłaszcza Pencroff, od czasu sprawy z ponownym rozpaleniem ognia, nie rozpaczałby ani chwili, nawet gdyby się znalazł na nagiej skale, jeśliby razem z nim był tam inżynier.

— Ba! — zawołał. — Opuściliśmy Richmond bez pozwolenia władz. Chybaby się licho uwzięło, gdybyśmy prędzej czy później nie mieli wydostać się z miejsca, gdzie na pewno nikt nas nie będzie zatrzymywał.

Cyrus podążał tą samą drogą, co poprzedniego dnia. Okrążyli stożek, idąc po dźwi-gającym go kolistym tarasie, aż dotarli do gardzieli ogromnej rozpadliny. Pogoda była wspaniała. Słońce wschodziło na czystym niebie i złościło swymi promieniami wschodnią stronę góry.

Stanęli nad brzegiem krateru. Inżynier w mroku nocnym trafnie ocenił jego kształt: był to lejkaty otwór, który rozszerzając się, wznosił się na wysokość tysiąca stóp ponad taras pierwszego stożka. U dołu rozpadliny na zboczach widniały szerokie i grube strumienie zastygłej lawy, wiły się jak węże i znaczyły drogę, którą płynęły się niegdyś potoki wulkaniczne, aż do niższych dolin przecinających północną część wyspy.

Wspinanie się po wewnętrznych ścianach krateru, których nachylenie nie przekraczało trzydziestu pięciu do czterdziestu stopni, nie przedstawiało żadnych trudności.

Widać tam było ślady bardzo dawno zakrzepłej lawy, która musiała zapewne dawniej wylewać się przez otwór na szczycie stożka, zanim boczna czeluść nie otworzyła jej nowej drogi.

Co do komina wulkanu, który łączył podziemie z kraterem, to jego głębokości nie dało się ocenić wzrokiem, gdyż ginął w ciemnościach. Ale nie ulegało wątpliwości, że wulkan był całkowicie wygasły.

Zanim nadeszła ósma, Cyrus i jego towarzysze stanęli na szczycie krateru, na stożko-watym pagórku, który wyrastał na jego północnym brzegu.

— Morze! Wszędzie morze! — wykrzyknęli, jakby nie mogli powstrzymać cisnącego im się na usta słowa, które czyniło z nich wyspiarzy.

W istocie, tylko morze, nic tylko morze, nieprzejrzana okrągła płaszczyna wody otaczała ich dokoła! Być może Cyrus, wdrapując się ponownie na szczyt stożka, miał nadzieję odkryć w pobliżu jakiś ląd lub wyspę, której poprzedniego dnia nie mógł dostrzec w nocnych ciemnościach. Lecz jak daleko sięgał widnokrąg, to jest w promieniu ponad pięćdziesięciu mil, nic dookoła nie było widać. Ani ziemi, ani żagla. Cały ten bezmiar był pusty, a wyspa zajmowała środek olbrzymiego, nieskończonego, zdawałoby się, koła.

Inżynier i jego towarzysze przez kilka minut w głuchym milczeniu śledzili wzrokiem dokoła cały ocean. Ich spojrzenia docierały aż jego najdalszych krańców na widnokręgu. Jednak Pencroff, obdarzony tak cudowną bystrością oka, nie dostrzegł nic, a gdyby jakaś ziemia wznosiła się na horyzoncie, choćby tylko niewyraźnie jak mgła, marynarz bez wątpienia byłby ją dostrzegł, bo natura ukryła pod łukami jego brwi istne dwie lunety.

Z oceanu przenieśli wzrok na wyspę, którą z tego miejsca ogarniali od końca do końca, a pierwsze pytanie zadał Gedeon Spilett:

— Jak wielka może być ta wyspa?

Doprawdy nie wydawała się zbyt wielka wśród tej nieskończoności oceanu.

Cyrus Smith zastanawiał się przez chwilę. Uważnie szacował wzrokiem obwód wyspy, biorąc pod uwagę wysokość, na jakiej się znajdowali, po czym powiedział:

Wyspa



— Przyjaciele, sądzę, że się nie pomylę, jeśli powiem, że jej obwód wynosi ponad sto mil.

— A zatem jej powierzchnia?...

— Trudno ją oszacować — odparł inżynier — bo kontury są zbyt nieregularnie powycinane.

Jeżeli Cyrus nie mylił się w ocenie, wyspa miała mniej więcej takie same rozmiary, jak Malta lub Zante na Morzu Śródziemnym<sup>74</sup>, ale kształt bardziej nieregularny, a przy tym mniej obfitowała w rozmaite cypłe, zatoki i zatoczki. Jej dziwaczny kształt przyciągał wzrok, a gdy Gedeon Spilett za radą inżyniera narysował jej kontury, wszyscy uznali, że jest podobna do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia, potwornego jaszczura uśpionego na powierzchni oceanu.

Ponieważ trzeba było poznać konfigurację wyspy, reporter zaraz sporządził dość dokładną mapę.

Wschodnia część wybrzeża, ta na której wylądowali rozbitkowie, zaokrąglą się w duże półkole i tworzyła obszerną zatokę, zakończoną na południowym wschodzie ostrym przylądkiem, którego Pencroff nie zauważył podczas pierwszej wycieczki, gdyż zasłaniał go cypel. Od strony północno-wschodniej zatokę zamykały dwa inne przylądki, a pomiędzy nie wciśnięta była wąska odnoga podobna do na wpół otwartej paszczy olbrzymiego rekina.

Z północnego wschodu w stronę północnego zachodu brzeg zaokrąglął się niczym spłaszczona czaszka zwierzęcia i wznosił się stopniowo aż do wzgórza, pośrodku którego wznosiła się góra wulkaniczna.

Od tego miejsca wybrzeże biegło dość regularnie na północ i południe, przedzielone wąską zatoczką w dwóch trzecich długości, od której zwężało się w długi ogon podobny do ogona olbrzymiego aligatora.

Ogon ten tworzył prawdziwy półwysep, wysunięty na ponad trzydzieści mil w morze, począwszy od południowo-wschodniego przylądka wyspy, o którym już wspomniano, i zaokrąglając się, formował szeroko rozwartą redę<sup>75</sup> o dziwacznie powycinanym wewnętrznym brzegu.

W najwęższym miejscu, to znaczy pomiędzy Kominami a zatoczką na przeciwnym zachodnim brzegu, wyspa mierzyła tylko dziesięć mil. Za to jej długość, od paszczy rekina na północnym wschodzie aż do końca ogona na południowym zachodzie, przekraczała trzydzieści mil.

Wnętrze wyspy miało ogólnie następujący wygląd: cała jej południowa część, od góry aż do wybrzeża, była bardzo lesista, za to północna — sucha i piaszczysta. Pomiedzy wulkanem a wschodnią stroną wybrzeża Cyrus i jego towarzysze odkryli ze zdziwieniem otoczone zielenią drzew jezioro, którego istnienia wcale się nie spodziewali. Widziane z tej wysokości wydawało się położone na równi z poziomem morza, lecz po głębszym namyśle inżynier wytłumaczył swoim towarzyszom, że to małe zwierciadło wody musiało rozpościerać się na wysokości około trzystu stóp, gdyż płaskowyż, na którym się znajdowało, był tylko przedłużeniem wyżyny wybrzeża.

— Zatem woda w tym jeziorze powinna być słodka? — zagadnął Pencroff.

— Oczywiście, gdyż zasilają je wody spływające z góry — odparł inżynier.

— Widzę wpadającą do niego małą rzeczkę — powiedział Harbert, wskazując na wąski strumień, którego źródło musiało znajdować się w którymś z zachodnich bocznych pasm góry.

— Rzeczywiście — powiedział Cyrus. — A ponieważ ten strumień zasila jezioro, zapewne więc od strony morza istnieje odpływ, przez który uchodzi nadmiar wody. Zobaczymy, gdy będziemy wracać.

Ta mała, dość kręta nić wody i znana już wcześniej rzeka stanowiły system wodny wyspy, a przynajmniej tyle z niego widzieli badacze. Całkiem możliwe jednak, że wśród

<sup>74</sup>te same mniej więcej rozmiary, co Malta lub Zante na Morzu Śródziemnym — Malta, wyspa położona na pld. od Sycylii, ma długość 27 km, szerokość 15 km, jej linia brzegowa liczy ok. 140 km, zaś powierzchnia ok. 250 km<sup>2</sup>. Zante, ob. Zakintos, przy zach. wybrzeżu Grecji, ma długość 40 km, szerokość 20 km, ok. 120 km linii brzegowej oraz ok. 400 km<sup>2</sup> powierzchni. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>reda — zwykle: obszar morski znajdujący się przed wejściem do portu; tu: akwen przybrzeżny dogodny do zakotwiczenia. [przypis edytorski]

olbrzymich lasów, które pokrywały dwie trzecie wyspy, biegly do morza jeszcze jakieś inne rzeczulki. A nawet, sądząc po żyzności okolicy i wspaniałych okazach roślinności właściwej strefom umiarkowanym, było to bardzo prawdopodobne. Natomiast w północnej części wyspy nie było śladu płynącej wody; bagnista część na północnym wschodzie posiadała może wodę stojącą, lecz na tym koniec, poza tym same wydmy, piasek, sucha jałowość żywo kontrastująca z bujną żyznością charakteryzującą większość wyspy.

Wulkan nie zajmował środkowej części wyspy. Przeciwnie, wznosił się w części północno-zachodniej i zdawał tworzyć granicę między obiema strefami. W części południowo-zachodniej i południowo-wschodniej dolne zbocza poprzecznych pasm góry ginęły wśród mas zieloności. Natomiast na północy można było ujrzeć ich rozliczne rozgałęzienia, zanikające stopniowo wśród piaszczystej równiny. Z tej właśnie strony w czasach wybuchów wulkanu utorowały sobie drogę potoki lawy, a szerokie pasmo jej zastygłych pokładów ciągnęło się aż do tej wąskiej paszczęki, która w części północno-wschodniej tworzyła zatokę.

Cyrus Smith i jego towarzysze stali na szczycie góry przez blisko godzinę. Przed ich oczyma roztaczała się cała wyspa, niby plan wykonany w płaskorzeźbie z rozmaitymi kolorami, z których zielony oznaczał lasy, żółty — piasek, a błękitny — wodę. Ogarniali ją wzrokiem całą i tylko ta ziemia ukryta pod zielonymi gąszczami, kotliny cienistych dolin i wewnątrz czeluści u stóp wulkanu uszły ich badawczemu spojrzeniu.

Pozostawało jeszcze do rozstrzygnięcia ważne pytanie, które w szczególny sposób miało wpłynąć na przyszły los rozbitków.

Czy wyspa jest zamieszkała?

Pytanie to postawił reporter i wydawało się, że po tak szczegółowym zbadaniu rozmaitych okolic wyspy można już było odpowiedzieć na nie przecząco.

Nigdzie nie było widać śladu ręki ludzkiej. Nigdzie osady, nigdzie samotnego szałasów ani łowiska na wybrzeżu. Nigdzie dym nie wznosił się w niebo i nie zdradzał obecności istot ludzkich. Co prawda prawie trzydzieści mil oddzielało rozbitków od najdalszych krańców wyspy, to znaczy od tego ogona ciągnącego się w kierunku południowo-zachodnim, i nawet oczom Pencroffa trudno by przyszło dostrzec w takim oddaleniu siedliska ludzkie. Nie dało się także podnieść tej zasłony z bujnej zieloności, która pokrywała trzy czwarte wyspy, i przekonać się, czy nie używała schronienia ludzkim osadom. Jednak na ogół mieszkańcy wysp rozsianych po oceanie osiedlają się raczej na wybrzeżach morza, a wybrzeże wydawało się zupełnie bezлюдne.

Aż do bliższego zbadania tej kwestii można było przypuszczać, że wyspa jest niezamieszkała.

Lecz czy była przynajmniej czasami odwiedzana przez mieszkańców sąsiednich wysp? Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. W promieniu pięćdziesięciu mil nie było widać żadnej ziemi. Ale pięćdziesiąt mil łatwo mogły przepłynąć i czółna Malajów<sup>76</sup>, i duże pirogi<sup>77</sup>, jakimi się posługują Polinezyjczycy<sup>78</sup>. Wszystko zależało więc od położenia wyspy i od tego, czy była samotna na oceanie, czy też leżała w pobliżu któregoś z archipelagów. Czy Cyrus potrafiłby wyznaczyć jej szerokość i długość geograficzną bez żadnych instrumentów? Byłoby to bardzo trudne. Wobec tej wątpliwości zdawało się właściwe przedsięwziąć pewne środki ostrożności przeciw możliwemu najazdowi dzikich krajowców.

Na tym zakończono badania wyspy, określono jej kształt, rzeźbę terenu, oszacowano rozmiary, rozpoznano jej układ hydrograficzny<sup>79</sup> i orograficzny. Na mapie reportera w ogólnych zarysach zaznaczono położenie lasów i równin. Nie pozostawało nic, jak tylko zejść z powrotem na dół po stokach góry i zająć się szczegółowym zbadaniem bogactw naturalnych tej ziemi z potrójnego punktu widzenia: zasobów mineralnych, roślinnych i zwierzęcych.

<sup>76</sup>Malajowie — grupa ludów austronezyjskich zamieszkująca Plw. Malajski oraz część Archipelagu Malajskiego, pomiędzy pld.-wsch. Azją a Australią. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>piroga — długa łódź rdzennych mieszkańców Ameryki lub Polinezji wykonana z wydrążonego pnia. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Polinezyjczycy — rdzenni mieszkańcy Polinezji, wsch. części Oceanii, czyli wysp na Pacyfiku położonych na wsch. i pln. wsch. od Australii. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>układ hydrograficzny — tu: system wodny; od: *hydrografia*, dział geografii zajmujący się opisywaniem stunków wodnych. [przypis edytorski]

Lecz zanim Cyrus Smith dał swoim towarzyszom znak do powrotu, powiedział do nich swym łagodnym i poważnym głosem:

— Oto, przyjaciele, mały skrawek ziemi, na który rzuciła nas ręka Wszechmocnego. Tu mamy żyć, i może długo żyć. A może też przybędzie nam jakaś niespodziewana pomoc, gdyby jakiś statek przypadkiem... Powiadam „przypadkiem”, gdyż wyspa jest mało znacząca, nie ma nawet przystani, do której mogłaby przybić statki; obawiam się, że leży zbyt daleko od uczęszczanych szlaków, to znaczy albo zanadto na południe od szlaku, którym płyną statki odwiedzające archipelagi Pacyfiku, albo też zbyt daleko na północ od szlaku, którym udają się statki w drodze do Australii, okrążając przylądek Horn<sup>80</sup>. Nie chcę bynajmniej zatajać przed wami sytuacji...

— Ma pan słuszość, drogi Cyrusie — odparł żywo reporter. — Ma pan do czynienia z mężczyznami, którzy panu ufają i na których może pan liczyć. Prawda, przyjaciele?

— Będę panu we wszystkim posłuszny, panie Cyrusie — powiedział Harbert, ściskając rękę inżyniera.

— Tyś moim panem zawsze i wszędzie! — zawołał Nab.

— Jeśli chodzi o mnie — powiedział marynarz — niech się nie nazywam Pencroff, gdybym kiedykolwiek miał się uchylać od pracy, i jeśli pan sobie tego życzy, panie Smith, zrobimy z tej wyspy małą Amerykę! Pobudujemy w niej miasta, przeprowadzimy linie kolejowe, założymy telegrafy; a pewnego pięknego poranka, gdy już będzie wyglądać jak należy, zagospodarowana, ucywilizowana, podarujemy ją rządowi Stanów Zjednoczonych! Sam proszę tylko o jedno.

— Cóż takiego? — zapytał reporter.

— O to, żebyśmy się już nie uważali za rozbitków, lecz za kolonistów, którzy przybyli osiedlić się na tej wyspie!

Cyrus Smith nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu i wnioski marynarza zostały przyjęte. Po czym inżynier podziękował swoim towarzyszom za ich zaufanie i dodał, że liczy na ich energię i na pomoc nieba.

— A teraz wracamy do Kominów! — zawołał Pencroff.

— Chwilkę jeszcze cierpliwości, moi przyjaciele — powiedział inżynier. — Moim zdaniem należałoby nadać jakąś nazwę tej wyspie, podobnie jak jej przylądkom, zatokom i strumieniom, które mamy przed oczyma.

— Bardzo dobrze — powiedział reporter. — To nam na przyszłość ułatwi porozumiewanie się między sobą co do miejsc.

— Istotnie — powiedział marynarz. — To już coś, jeśli można powiedzieć, dokąd się idzie lub skąd przychodzi. Wtedy się wie przynajmniej, że się gdzieś jest.

— W Kominach na przykład — powiedział Harbert.

— Właśnie! — odparł Pencroff. — Z tą nazwą już nam było wygodniej, a przecież sama mi przyszła do głowy. Czy zachowamy dla naszej pierwszej siedziby nazwę Kominów, panie Cyrusie?

— Tak, Pencroffie, skoro tak ją nazwaliście.

— Świetnie! Z innymi miejscami pójdzie łatwo — ciągnął z werwą marynarz. — Ponazywajmy je tak, jak to czynili Robinsonowie, o których Harbert czytał mi tyle historii: „Zatoka Opatrzności”, „Przylądek Kaszalotów”, „Przylądek Zawiedzionej Nadziei”...

— Albo lepiej imionami pana Smitha, pana Spiletta, Naba... — zaproponował Harbert.

— Moim imieniem! — zawołał Nab, wyszczerzając swe białe lśniące zęby.

— Czemu nie? — odparł Pencroff. — „Port Naba” brzmi świetnie! Albo „Przylądek Gedeona”...

— Wolalbym nazwy zapożyczone z naszej ojczyzny — powiedział reporter — przypominałyby nam Amerykę.

— Tak, zgadzam się z tym — odezwał się Cyrus Smith — ale tylko co do głównych miejsc, na przykład zatok lub jezior. Nazwijmy na przykład tę dużą zatokę na wschodzie Zatoką Stanów Zjednoczonych, to szerokie wcięcie na południu Zatoką Waszyngtona, górę, na której obecnie stoimy, Górą Franklina, jezioro, które się przed nami rozpościera, Jeziorem Granta, nic lepszego, moi przyjaciele. Te nazwy przypominać nam będą naszą

<sup>80</sup>przylądek Horn — najbardziej na pld. wysunięty przylądek Ameryki Płd. [przypis edytorski]

ojczyznę i naszych wielkich współobywateli, którzy ją wslawili; ale dla rzek, przystani i przylądków, które stąd widzimy, wybierzmy raczej nazwy, które by nam przypominały ich charakterystyczny kształt. Nazwy takie łatwiej zapadną nam w pamięć, a zarazem będą praktyczniejsze. Kształt samej wyspy jest zbyt dziwaczny, żebyśmy mogli dać jej jakąś obrazową nazwę. Co do potoków, których jeszcze nie znamy, rozmaitych części lasu, które zwiedzimy później, zatoczek, które poodkrywamy w przyszłości, będziemy je nazywać w miarę, jak je będziemy poznawali. Zgoda, przyjaciele?

Wniosek inżyniera został jednomyślnie przyjęty. Przed ich oczyma leżała cała wyspa, jak rozwinięta mapa. Pozostawało tylko pooznaczać nazwami wszystkie wypukłości i wklęsłości konturu, wszystkie zagłębienia i wzniesienia terenu. Gedeon Spilett miał spisywać po kolei wszystkie nazwy i w ten sposób miało powstać całe nazewnictwo geograficzne wyspy.

Najpierw nazwano Zatoką Stanów Zjednoczonych, Zatoką Waszyngtona i Górą Franklina obie zatoki i górę, zgodnie z propozycją inżyniera.

— A teraz — ozwał się reporter — proponowałbym nazwać ten półwysep, który się ciągnie wzdłuż południowo-zachodniej części wyspy, Półwyspem Wężowym, a zakręcony ogon na jego końcu Jaszczurczym Cyplem, bo naprawdę wygląda jak ogon jaszczurki.

— Zgoda — powiedział inżynier.

— Teraz drugi koniec wyspy — powiedział Harbert. — Tę zatokę, która tak dziwnie przypomina rozwartą paszczę, nazwijmy Zatoką Rekinów.

— Znakomicie! — zawołał Pencroff. — Do kompletu nazwijmy obie części tej paszczy Przylądkiem Szczęki.

— Ależ tam są dwa przylądki — zauważył reporter.

— No cóż — odparł Pencroff — będziemy mieli Północny Przylądek Szczęki i Południowy Przylądek Szczęki.

— Zanotowałem — powiedział Gedeon Spilett.

— Pozostaje jeszcze nazwać cypel na południowo-wschodnim krańcu wyspy — powiedział Pencroff.

— To znaczy zakończenie Zatoki Stanów Zjednoczonych? — zapytał Harbert.

— Przylądek Szponu! — zawołał w tej chwili Nab, który chciał także zostać chrześnym ojcem jakiegoś kawałka swej nowej ojczyzny.

Nabowi udało się znaleźć rzeczywiście doskonałą nazwę, przylądek wyglądał bowiem całkiem jak olbrzymie szpony fantastycznego zwierzęcia, którego obrazem była ta dziwnego kształtu wyspa.

Pencroff nie posiadał się z radości, że wszystko szło tak dobrze, i wkrótce z podnieconych wyobraźni wyspiarzy wysnuły się następujące nazwy:

Rzekę, która dostarczała kolonistom wody do picia i niedaleko której spadł balon, nazwano Rzeką Dziękczynienia — w akcie podziękowań dla Opatrzności.

Wysepkę, na której najpierw wylądowali, nazwali Wysepką Wybawienia.

Płaskowyż rozpościerający się na szczycie granitowej ściany, ponad Kominami, skąd był widok na dużą zatokę, ochrzczili mianem Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Wreszcie cały kompleks nieprzebranych lasów pokrywający Półwysep Wężowy nazwano Lasem Dalekiego Zachodu.

Na tym zakończono nadawanie nazw widzianych i znanym częściom wyspy, a resztę nazw miano uzupełniać w miarę nowych odkryć.

Jeśli chodzi o orientację wyspy, inżynier ustalił ją w przybliżeniu, na podstawie wysokości i położenia słońca, z których wynikało, że Zatoka Stanów Zjednoczonych i Płaskowyż Pięknego Widoku leżą na wschodzie. Nazajutrz jednak Cyrus spodziewał się, ustalwszy najpierw dokładną godzinę wschodu i zachodu słońca, a następnie zmierzwszy jego położenie w połowie czasu między wschodem a zachodem, oznaczy dokładnie północ wyspy, gdyż wyspa leżała na półkuli południowej, a zatem słońce w momencie kulminacji przechodziło przez punkt na północy, a nie południu, jak to w pozornym ruchu zdaje się robić w krajach położonych na półkuli północnej.

Wszystko było już ukończony i wyspiarze mieli właśnie zacząć schodzić z Góry Franklina i wracać do Kominów, gdy nagle Pencroff zawołał:

— Ależ z nas roztrzępańcy!

— A to czemu? — zapytał Gedeon Spilett, który właśnie schował swój notes, gotów do drogi.

— A nasza wyspa? Przecież zapomnieliśmy ją nazwać!

Harbert zaproponował, aby nazwać ją nazwiskiem inżyniera, a reszta kolegów bez wątpienia przyklasnęła temu wnioskowi, gdyby nie odezwał się Cyrus Smith:

— Nazwijmy ją imieniem wielkiego naszego obywatela, który walczy właśnie w obronie jedności amerykańskiej! Nazwijmy ją Wyspą Lincolną<sup>81</sup>!

Trzy głośne „hurra!” odpowiedziały na propozycję inżyniera.

Tego wieczora, zanim ułożyli się do snu, nowi koloniści rozmawiali o swej dalekiej ojczyźnie. Rozmawiali o tej straszliwej wojnie, która ją zalała potokami krwi; wierzyli silnie, że stany południowe wkrótce zostaną pokonane, a sprawa Północy, sprawa święta i sprawiedliwa, dzięki Grantowi i Lincolnowi odniesie tryumf.

Działo się to 30 marca 1865 roku i rozbitkowie nie domyślali się wcale, że w szesnaście dni później miała się spełnić w Waszyngtonie straszliwa zbrodnia i że w sam Wielki Piątek Abraham Lincoln miał zginąć od kuli dzikiego fanatyka....

## ROZDZIAŁ XII

*Regulowanie zegarków. — Pencroff zadowolony. — Podejrzany dym. — Czerwony Potok. — Świat roślinny na Wyspie Lincoln. — Świat zwierzęcy. — Górskie bażanty. — Pogoń za kangurami. — Aguti. — Jezioro Granta. — Powrót do Kominów.*

Koloniści Wyspy Lincoln rzucili jeszcze ostatnie spojrzenie dokoła, po czym obeszli krater po wąskim grzbiecie, znaleźli się w pół godziny później z powrotem na szczycie niższego stożka, przy nocnym obozowisku.

Pencroff sądził, że była już pora na śniadanie i z tego powodu poruszył sprawę uregulowania zegarków należących do Cyrusa Smitha i reportera.

Zegarek Gedeona Spiletta, jak wiadomo, pozostał nietknięty wodą morską, gdyż reporter pierwszy został wyrzucony na piasek, poza zasięg fal. Był to instrument doskonalej konstrukcji, prawdziwy chronometr<sup>82</sup> kieszonkowy, którego Gedeon Spilett nigdy nie zapominał codziennie starannie nakręcić.

Natomiast zegarek inżyniera oczywiście stanął, kiedy Cyrus Smith leżał wśród piaszczystych wydm.

Cyrus nakręcił go więc i sądząc z wysokości słońca, że jest około dziewiątej rano, nastawił wskazówki na tę godzinę.

Gedeon Spilett chciał zrobić to samo, lecz inżynier przytrzymał go za rękę i powiedział:

— Nie, niech pan zaczeka, drogi przyjacielu. Pański zegarek chodzi nadal według czasu Richmond, prawda?

— Tak jest, Cyrusie.

— A zatem nastawiony jest według południka tego miasta, mniej więcej tego samego, który przechodzi przez Waszyngton?

— Bez wątpienia.

— Niech więc pan pozostawi swój zegarek na tej godzinie, którą teraz wskazuje. Niech pan go bardzo regularnie nakręca, ale nie przesuwa wskazówek. To nam się może przydać.

„Na co u licha?” — pomyślał marynarz.

Po czym zabrali się do jedzenia i to z takim apetytem, że resztki zwierzyny i surowych orzeszków zniknęły do szczętu. Pencroff nie wcale się tym nie przejmował. Spodziewał

<sup>81</sup>*Lincoln, Abraham* (1809–1865) — amer. prawnik i polityk, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, przeciwnik niewolnictwa. Za jego prezydentury wojska konfederackie zaatakowały i zajęły Fort Sumter w Karolinie Południowej (12 IV 1861), co uznaje się za początek wojny secesyjnej. Proklamował zniesienie niewolnictwa na terenach Konfederacji (1863), popierał poprawkę do konstytucji znoszącą niewolnictwo (przyjęta w 1865). Był pierwszym prezydentem USA, który zginął z ręki zamachowca: 14 kwietnia 1865, 5 dni po kapitulacji armii konfederatów pod wodzą gen. Lee pod Appomattox, został śmiertelnie postrzelony w teatrze przez fanatycznego zwolennika Południa. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*chronometr* — bardzo dokładny zegar, stosowany w nawigacji, astronomii itp.; daw.: zegarek kieszonkowy. [przypis edytorski]

się zebrać po drodze nowe zapasy żywności i nie wątpił, że Top, który także otrzymał swą porcję, wyszuka w gąszczu leśnym nową zwierzynę. Zresztą zamierzał po prostu poprosić inżyniera, żeby wyprodukował proch i kilka strzelb, nie przypuszczając, aby to mogło sprawić mu większe trudności.

Gdy schodzili z tarasu niższego stożka, Cyrus zaproponował, aby wracać do Kominów inną drogą. Ciekaw był poznać z bliska Jezioro Granta, ujęte w tak wspaniałe ramy z zielonych drzew. Poszli więc grzbietem jednego z pobocznych pasm, spomiędzy których musiało prawdopodobnie wytryskiwać źródło potoku wpadającego do jeziora. W rozmowie koloniści używali już tylko świeżo przyjętych nazw, co znacznie ułatwiało wzajemne porozumiewanie się. Harbert i Pencroff — jeden młody, a drugi spontaniczny jak dziecko — nie posiadali się z radości i uniesienia. Marynarz powiedział:

— Hej, Harbercie! Jak świetnie idzie! Nie możemy zablądzić, mój chłopcze, bo czy pójdziemy drogą na Jezioro Granta, czy też przez Lasy Dalekiego Zachodu do Rzeki Dziękczynnej, zawsze dojdziemy w końcu do Płaskowizny Pięknego Widoku, a tym samym do Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Postanowili nie iść jedną gromadą, ale też nie oddalać się zbyt daleko od siebie. Z pewnością w gęstych lasach mieszkwały niebezpieczne zwierzęta, roztropność więc nakazywała mieć się na baczności. Najczęściej Pencroff, Harbert i Nab stanowili straż przednią, przed nimi biegł Top, myszkuje po wszystkich krzakach. Reporter z inżynierem szli razem, Gedeon Spilett z notatnikiem w pogotowiu, inżynier milczący, zbacał tylko czasem z drogi, aby podnieść to czy owo, jakiś okaz mineralny lub roślinny, które chował do kieszeni, nic jednak przy tym nie mówiąc.

— Co on u licha tak zbiera? — mruczał pod nosem marynarz. — Ja przecież też patrzę, a nie widzę nic takiego, po co warto by się było schylać.

Około dziesiątej drużyna schodziła z ostatnich pagórków, stanowiących podnóże Góry Franklina. Rosły tu tylko krzaki i z rzadka porozrzucane drzewa. Szli po żółtawej, spalonej ziemi tworzącej równinę długości około mili, sięgającą do samego krańca lasu. Tu i ówdzie na równinie leżały olbrzymie bryły bazaltowe, które według badań Bischofa<sup>83</sup> potrzebowały trzysta pięćdziesiąt milionów lat, aby się oziębici. Nigdzie jednak nie widać było śladów lawy, która spłynęła głównie północnymi zboczami.

Cyrus Smith sądził, że bez żadnych wypadków dotrą do potoku, który jego zdaniem powinien płynąć pod drzewami na skraju równiny, gdy wtem zobaczył, że Harbert biegnie z powrotem, podczas gdy Nab i marynarz ukryli się za skały.

— Co się stało, mój chłopcze? — zapytał Gedeon Spilett.

— Dym!... — odparł Harbert. — Zobaczyliśmy dym wznoszący się między skałami, o sto kroków od nas.

— Czyżby ludzie? — zapytał reporter.

— Nie pokazujemy się, dopóki się nie dowiemy, z kim mamy do czynienia — powiedział Cyrus Smith. — Bardziej obawiałbym się tubylców, jeśli są na wyspie, niż życzył sobie spotkania z nimi. Gdzie Top?

— Pobiegnął przodem.

— Nie szczeka?

— Nie.

— To dziwne. Ale spróbuję go przywołać.

W kilka minut później inżynier, Gedeon Spilett i Harbert dołączyli do pozostałych towarzyszy i tak samo jak oni ukryli się za bryły bazaltowe.

Stąd ujrzeni wyraźnie unoszący się kłębamii w powietrze dym o bardzo charakterystycznym żółtawym kolorze. Top powrócił na ciche gwizdnięcie swojego pana, a inżynier, dawszy towarzyszom znak, aby czekali na niego, podkraść się chyłkiem między skały.

Koloniści znieruchomieli i z pewnym niepokojem oczekiwali wyniku zwiadu, kiedy nagle usłyszeli wołanie Cyrusa. Podbiegli do niego i poczuli przede wszystkim bardzo ostry i nieprzyjemny zapach roztaczający się w powietrzu.

<sup>83</sup>Bischof, *Karl Gustav* (1792–1870) — niemiecki chemik i geolog; zapoczątkował geochemię, był autorem fundamentalnej pracy *Lehrbuch der chemischen und physikalischen Geologie* (Podręcznik geologii chemicznej i fizycznej, 1847–1854); badał m.in. czas stygnięcia kul roztopionego bazaltu, szacując na tej podstawie wiek Ziemi na 350 mln lat. [przypis edytorski]

Ten łatwy do zrozumienia zapach wystarczył inżynierowi, aby domyśleć się, skąd pochodził dym, który go początkowo nie bez przyczyny zaniepokoił.

— Ten ogień — powiedział — a raczej dym jest wytworem samej przyrody. Pochodzi ze źródła siarczanego, które dostarczy nam skutecznego lekarstwa na wszystkie choroby gardła i płuc.

— Doskonale! — zawołał Pencroff. — Jaka szkoda, że nie mam kataru!

Koloniści udali się na miejsce, skąd się wznosił dym. Tu ujrzeli źródło siarczanowe, wypływające dość obficie między skałami, którego wody po wchłonięciu tlenu z atmosfery wydawały silną woń siarkowodoru.

Cyrus Smith, zanurzwszy rękę, poczuł, że woda była dość oleista, a skosztowawszy jej, przekonał się, że miała słodkawy smak. Jej temperaturę ocenił na mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita<sup>84</sup>, a zapytany przez Harberta, jak to ustalił, odparł:

— To całkiem proste, mój chłopcze. Zanurzyłem dłoń w wodę i nie poczułem ani zimna, ani ciepła. To dowodzi że ma ona tę samą temperaturę, co ciało ludzkie, to jest mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ w tej chwili ze źródła siarczanego nie mieli żadnego pożytku, porzucili je i skierowali się w stronę gęstego lasu rozpoczynającego się o kilkaset kroków dalej.

Tutaj, jak się słusznie domyślał inżynier, płynął potok, tocząc swoje wartkie, kryształowe wody pomiędzy wysokimi brzegami z czerwonej ziemi, której kolor zdradzał wyraźnie, iż zawierała w sobie tlenek żelaza. Z tego powodu nazwali zaraz ten strumień Czerwonym Potokiem.

Był to szeroki strumień, głęboki i przezroczysty, zasilany górkimi wodami, który miejscami pełną leniwie po piasku jak rzeczka, a miejscami hucząc po skałach i spadając w kaskadach jak górski potok, płynął do jeziora wstęgą długą na milę, a szeroką na trzydzieści do czterdziestu stóp. Woda w nim była słodka, co pozwalało przypuszczać, że taka sama była w jeziorze. Stanowiło to nader pomyślną okoliczność, na wypadek gdyby nad jego brzegami udało im się znaleźć lepsze miejsce do zamieszkania niż w Kominach.

Drzewa, które o kilkaset stóp poniżej ocieniały z obu stron brzegi strumienia, należały do gatunków bardzo rozpowszechnionych w umiarkowanej strefie Australii i Tasmanii. Nie były to drzewa iglaste, które rosły na znanej już kolonistom części wyspy, o kilka mil od Płaskowyzu Pięknego Widoku. O tej porze roku, z początkiem kwietnia, który na tej półkuli świata odpowiada październikowi, a zatem na początku jesieni, nie były one jeszcze огоłoczone z liści. Były tam zwłaszcza kazuaryny<sup>85</sup> i eukaliptusy<sup>86</sup>, a niektóre z nich dawały na wiosnę słodką mannę<sup>87</sup>, zupełnie podobną do manny ze Wschodu. Grupy cedrów australijskich<sup>88</sup> rosły na polankach porośniętych były wysoką trawą, zwaną w Nowej Holandii<sup>89</sup> *tussac*. Wydawało się jednak, że nie ma tu wcale drzew kokosowych, tak obficie rosnących na archipelagach Pacyfiku; widocznie wyspa leżała zbyt daleko od równika.

— Jaka szkoda! — powiedział Harbert. — Takie użyteczne drzewa i rodzą takie wspaniałe orzechy!

Między stosunkowo rzadkimi gałęziami eukaliptusów i kazuaryn gnieździły się rozmaite rodzaje ptaków, swobodnie używając między nimi skrzydeł. Czarne, białe i popielate

<sup>84</sup>*dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita* — przybliżona średnia temperatura ludzkiego ciała w skali zaproponowanej przez niemieckiego inżyniera i fizyka z Gdańska, Daniela Gabriela Fahrenheita (1686–1736), używanej w Wlk. Brytanii i daw. koloniach brytyjskich do połowy XX wieku. W pierwotnej wersji tej skali temperatura ludzkiego ciała wynosiła 96°F, w zmodyfikowanej: 98,6°F. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*kazuaryna* a. *rzeumia* (biol.) — rodzaj drzew i krzewów z suchych terenów płd. Azji i Australii, charakteryzujący się bardzo twardymi liśćmi przypominającymi igły sosny; uznawane za najlepsze drewno opałowe na świecie. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*eukaliptus* (biol.) — rodzaj drzew i krzewów o wiecznie zielonych, skórzastych liściach, pochodzących z Australii, Nowej Gwinei i płd.-wsch. Indonezji. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*manna* — jadalne grudki słodkiego soku wydzielanego na powierzchni uszkodzonych pędów krzewów i drzew, szczególnie tamaryszkowych z Bliskiego Wschodu. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*cedr [czerwony] australijski* (fr. *cedre rouge d'Australie*) — fr. nazwa potoczna liściastego drzewa *Toona ciliata* z rodziny meliowatych, rosnącego lasach deszczowych płd. Azji i Australii. Jego czerwone, łatwe do obróbki drewno wykorzystuje się do produkcji mebli. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Nowa Holandia* — daw. nazwa Australii, w 1644 nadana zach. wybrzeżu tego kontynentu przez holenderskiego odkrywcę Abła Tasmana; używana do poł. XIX wieku. [przypis edytorski]

kakadu, papugi rozmaitego gatunku i upierzenia, zielone, czerwone i modre, ukazywały się oczom wędrowców jakby widziane przez pryzmat i wśród głośniego pisku i szczebiotania skakały z gałęzi na gałąź.

Nagle w gęstwinie zabrzmiał dziwny koncert przeraźliwych, poplątanych tonów. Koloniści usłyszeli po kolei śpiewanie ptaków, głosy czworonożnych zwierząt i rodzaj bełkotania, które łatwo można było wziąć za mowę dzikich ludzi. Nab i Harbert, zwołując o głównych zasadach ostrożności, rzucili się w te krzaki. Na szczęście nie było tam ani drapieżnych zwierząt, ani dzikich ludzi, lecz tylko z pół tuzina ptaków, które razem śpiewały i naśladowały rozmaite dźwięki; poznali od razu, że były to „górskie bażanty”. Kilka celnych uderzeń kosturami zakończyło tę scenę naśladownictwa i dostarczyło naszym podróżnym parę sztuk doskonałego jedzenia na wieczorny posiłek.

Harbert spostrzegł także piękne gołębie z brązowymi skrzydłami, jedne ze wspaniałymi czubami, inne z zielonym upierzeniem, podobne do swoich pobratymców z Port Macquarie<sup>90</sup>; lecz nie dało się ich podejść z bliska. Tę samą trudność sprawiało osiągnięcie kruków i srok, które zrywały się całymi gromadami. Jeden ładunek śrutu spowodowałby wśród nich wielką rzeź, lecz cała broń miotana naszych myśliwych składała się z kamieni, a broń sieczna z kijów, była więc zbyt prymitywna, żeby była skuteczna.

Niedostatki broni ukazały się jeszcze dobitniej, gdy nagle susami przemknęło stado czworonogów, skacząc po trzydzięci stóp, istne ssaki latające, tak szybko i w tak wysokich podskokach, że wyglądały jak wiewiórki przeskakujące z drzewa na drzewo.

— To kangury! — zawołał Harbert.

— A można je jeść? — zapytał Pencroff.

— Przyprawione we właściwy sposób są lepsze niż najlepsza dziczyzna — odparł reporter.

Zanim jeszcze Gedeon Spilett dokończył tych pełnych zachęty słów, marynarz, Nab i Harbert puścili się w pogoń za kangurami. Cyrus Smith wołał ich, ale na próżno. Lecz na próżno także zapaleni łowcy gonili tę zwierzynę, szybką i odskakującą od ziemi jak piłka. Po pięciu minutach zadyszeli się, a stado zniknęło w gęstwinie. Top również nie miał więcej szczęścia od swoich panów.

— Panie Cyrusie — powiedział Pencroff, gdy inżynier i reporter dołączyli do nich — panie Cyrusie, sam pan widzi, że koniecznie potrzebujemy strzelb. Czy dałoby się to zrobić?

— Może — odparł inżynier — ale na razie zaczniemy od wytwarzania luków i strzał, a nie wątpię, że wkrótce będzie się pan z tą bronią obchodzić równie zręcznie jak myśliwi australijscy.

— Łuki, strzały! — powiedział Pencroff pogardliwie. — To zabawki dobre dla dzieci!

— Nie należy ich lekceważyć, panie Pencroff — odparł reporter. — Łuki i strzały przez całe wieki służyły do przelewania krwi. Proch istnieje dopiero od niedawna, a wojny są tak stare jak rodzaj ludzki, niestety.

— Na honor, ma pan słuszność, panie Spilett — powiedział marynarz. — Ja zawsze coś powiem, nim się zastanowię. Proszę wybaczyć.

Tymczasem Harbert, zapalony miłośnik przyrody, ponownie skierował rozmowę na kangury, mówiąc:

— Mielśmy zresztą do czynienia z gatunkiem kangurów, które najtrudniej jest schwytać. To były istne olbrzymy, z długą popielatą sierścią. Lecz jeśli się nie mylę, istnieją jeszcze kangury czarne i rude, kangury skalne i kanguroszcury<sup>91</sup>, które łatwiej schwytać. Jest ich ze dwanaście gatunków...

— Harbercie — odparł marynarz sentencjonalnie — dla mnie istnieje tylko jeden rodzaj: kangury pieczone, a właśnie tego rodzaju będzie nam dziś wieczorem brakować.

Wszyscy parsknęli śmiechem na tę nową klasyfikację pana Pencroffa. Dzielny marynarz nie ukrywał bynajmniej swego niezadowolenia, widząc, że będzie musiał się za-

<sup>90</sup>Port Macquarie — miasto portowe w stanie Nowa Południowa Walia w Australii, u ujścia rz. Hastings do Pacyfiku; daw. kolonia karna, od 1830 udostępniona osadnikom. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>kanguroszcury (biol.) — rodzina australijskich torbaczy spokrewnionych z kangurami, mierzących ok. 30–40 cm długości; niegdyś liczne na całym kontynencie, ob. występują tylko na pld. wybrzeżach. [przypis edytorski]



dowolić na obiad tylko bażantami; lecz tego dnia szczęście miało się do niego jeszcze uśmiechnąć.

Top, jakby przeczuwając, że w grę wchodzi jego własny interes, biegał i myszkował z instynktem zdwojonym przez wściekły apetyt. Bardzo możliwe nawet, że gdyby jakaś zwierzyna wpadła mu w łapy, niewiele pozostałoby z niej dla myśliwych. Top polował tym razem na własny rachunek, lecz Nab czuwał nad nim i dobrze zrobił.

Około trzeciej pies zniknął w zaroślach i wkrótce przygłuszony warkot dał znać myśliwym, że toczy walkę z jakimś zwierzęciem.

Nab pobiegł w tę stronę i rzeczywiście zobaczył Topa, który z wielką żarłocznością zajadał jakiegoś czworonoga; dziesięć sekund później nie dałoby się już rozróżnić, do jakiego rodzaju należało to zwierzę. Na szczęście pies trafił widać na całe gniazdo i zaatakował od razu trzy sztuki, z czego dwa gryzonie — gdyż do tego rzędu należały zwierzęta — leżały uduszone na ziemi.

Wkrótce pojawił się Nab, tryumfalnie niosąc w każdej ręce po jednym gryzoniu, większym od zająca. Miały żółte futerka upstrzone zielonawymi plamami oraz szczątkowe ogony.

Obywatele Stanów Zjednoczonych ani przez chwilę nie mieli kłopotu, jak nazywać te zwierzątka. Były to mary<sup>92</sup>, zwierzęta podobne do aguti<sup>93</sup>, ale trochę większe od swoich pobratymców z krajów tropikalnych, amerykańskie króliki, o długich uszach i pyszczkach uzbrojonych w pięć trzonowych zębów po każdej stronie, co głównie odróżnia je od aguti.

— Hura! — zawołał Pencroff. — Otóż mamy pieczyste! Teraz możemy wracać do domu!

Po tej krótkiej przerwie ruszono dalej w drogę. Czerwony Potok toczył bezustannie swe kryształowe wody pod sklepieniem z kazuaryn, banksji<sup>94</sup> i olbrzymich drzew gumowych<sup>95</sup>. Wspaniałe rośliny liliowate wyrastały na dwadzieścia stóp. Inne gatunki nieznanymi młodocianemu przyrodnikowi drzew i krzewów pochylały się nad strumieniem szemrzącym wśród zieleni leśnej.

Koryto potoku z każdym krokiem rozszerzało się i Cyrus spodziewał się dojść wkrótce do ujścia. Istotnie, przedarłszy się przez gęstą grupę wspaniałych drzew, znaleźli się nagle nad brzegiem jeziora.

Był to północny brzeg Jeziora Granta. Okolice była godna podziwu. Tafla wody, licząca około siedem mil obwodu, a dwieście pięćdziesiąt akrów<sup>96</sup> powierzchni, obramowana była rozmaitymi drzewami. Na wschodzie przez zasłonę zieleni, malowniczo miejscami uniesioną, przeblyskiwało zwierciadło morza. Na północy brzegi jeziora tworzyły lekko zaokrąglony łuk, silnie kontrastujący z ostrymi liniami wewnętrznych krawędzi. Liczne ptaki wodne tłoczyły się u brzegów tego małego Ontario<sup>97</sup>, a „tysiąc wysp”, z których słynie jego amerykański imiennik, reprezentowała tutaj skała stercząca ponad powierzchnią wody o kilkaset stóp od południowego brzegu. Na skale żyło w sąsiedzkiej zgodzie kilka rodzin zimorodków. Siedziały poważnie i nieruchomo na kamieniach, czatując na przepływające ryby, nagle zrywały się z ostrym krzykiem, zanurzały się w wodę i po chwili wypływały na wierzch, unosząc w dziobach zdobycz.

Tu i ówdzie, po brzegach i na wysepce, rozsiadły się dumnie dzikie kaczki, pelikany, kurki wodne, miodojady<sup>98</sup> z jęczykami jak pędzle i kilka wspaniałych lirogonów<sup>99</sup>, których ogon układa się wdzięcznie w kształt liry.

<sup>92</sup> *mara* (biol.) — rodzaj dużych roślinożernych gryzoni zamieszkujących Amerykę Płd., obejmujący dwa gatunki: mara patagońska (*Dolichotis patagonum*) oraz mara solniskowa (*Dolichotis salinicola*). [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *aguti* (biol.) — rodzaj roślinożernych gryzoni, żyjących w Ameryce Płd. i Środkowej; rodzina agutiowatych razem z m.in. rodziną marowatych należy do jednego infrarzędu jeżozwierzkształtnych w rzędzie gryzoni. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *banksja*, łac. *Banksia* (biol.) — rodzaj wiecznie zielonych drzew i krzewów z Australii. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *drzewo gumowe*, właśc. *figowiec sprężysty*, *Ficus elastica* (biol.) — wiecznie zielone drzewo z płd.-wsch. Azji, uprawiane jako źródło naturalnego kauczuku. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *akr* — anglosaska miara powierzchni gruntów; 250 akrów to ok. 100 hektarów. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *Ontario* — jezioro na pograniczu Kanady i Stanów Zjednoczonych, najmniejsze i wysunięte najdalej na wschód w kompleksie pięciu Wielkich Jezior Ameryki Północnej. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *miodojady* (biol.) — rodzina ptaków z rzędu wróblowych, występujących w Australii, na Nowej Gwince i wyspach Pacyfiku, żywiących się nektarem, owadami i owocami. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *lirogony* (biol.) — rodzina ptaków z rzędu wróblowych, żyjących w Australii, mających charakterystyczny długi, ozdobny ogon i potrafiących naśladować różne dźwięki. [przypis edytorski]

Woda jeziora była słodka, przezroczysta, nieco ciemnawa i sądząc po wypływających na wierzch pęcherzykach powietrza i koncentrycznych kręgach na powierzchni, musiało w nim być pełno ryb.

— Zaiste, przesłiczne jezioro — odezwał się Gedeon Spilett. — Dobrze byłoby mieszkać nad jego brzegami.

— Będziemy tu mieszkali! — odparł Cyrus Smith.

Chcąc wrócić do Kominów najkrótszą drogą, koloniści doszli do kąta, jaki tworzyły wygięte brzegi jeziora na południu. Nie bez trudności torowali sobie drogę wśród krzaków i zarośli, nietkniętych jeszcze nigdy ręką ludzką, i skierowali się ku wybrzeżu, tak aby wyjść na północną stronę Płaskowyżu Pięknego Widoku. Przeszli dwie mile w tym kierunku, a gdy minęli ostatnie grupy drzew, ich oczom ukazało pokryte gęstą trawą wzniesienie, a dalej za nim — bezkresne morze.

Ażeby dostać się do Kominów trzeba było przejść około mili na ukos przez płaskowzgórze aż do pierwszego zakrętu Rzeki Dziękczynienia. Inżynier chciał się jednak przekonać, w jaki sposób i którędy odpływają wody z jeziora, ruszyli więc dalej między drzewa, półtorej mili na północ. Bez wątpienia musiał gdzieś istnieć przelew wody, prawdopodobnie przez jakieś wyszczerbienie w skale. Jezioro było w rzeczywistości tylko wielką niecką, która stopniowo wypełniła się wodą z potoku, nadmiar wody musiał zatem uchodzić jakąś szczeliną do morza. W takim razie, jak mniemał inżynier, można by było wykorzystać ten odpływ wody i siłę jej prądu, która inaczej marnowałaby się bezużytecznie. Szli zatem dalej wzdłuż brzegu jeziora, wchodząc na płaskowyż, lecz pomimo że uszli jeszcze całą milę w tym kierunku, Cyrus Smith nie mógł znaleźć odpływu, który przecież musiał gdzieś istnieć.

Było wpół do piątej. Przygotowania do obiadu wymagały powrotu do Kominów. Drużyna zawróciła więc i idąc lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami doszli do Kominów.

Rozpalono ogień, a Nabowi i Pencroffowi powierzono funkcje kucharzy. Obaj, pierwszy jako Murzyn, drugi jako marynarz, czuli do tego powołanie. Nie bawiąc się długo, sporządzili pieczeń z aguti i całe towarzystwo uraczyło się do syta.

Po jedzeniu, gdy się już udawano na spoczynek, Cyrus Smith wyjął z kieszeni kilka próbek różnych minerałów i powiedział krótko:

— Przyjaciele, tu mamy żelazo, tu piryty<sup>100</sup>, tu glinę, tu wapno, a tu węgiel. Oto co nam daje przyroda i to jest jej udział we wspólnej pracy. Jutro przyjdzie kolej na nas!

## ROZDZIAŁ XIII

*Co Top ma na sobie. — Wyrób luków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Rozmaite naczynia kuchenne. — Pierwszy rosół i pierwsza sztuka mięsa. — Piohun. — Krzyż Południa. — Ważna obserwacja astronomiczna.*

— No cóż, panie Cyrusie, od czego zaczniemy? — zagadnął nazajutrz rano Pencroff inżyniera.

— Zaczniemy od początku — odparł Cyrus Smith.

I rzeczywiście koloniści musieli zacząć „od początku”. Nie mieli nawet narzędzi potrzebnych do wyrobu innych narzędzi i nie znajdowali się nawet w tych warunkach, co przyroda, która „mając pod dostatkiem czasu, oszczędza przez to trudu”. Brakło im czasu, gdyż potrzeby życia musieli zaspokajać niezwłocznie, a chociaż korzystając z doświadczenia innych, nie potrzebowali niczego wynajdować od nowa, to jednak musieli wszystko na nowo wytwarzać. Ich żelazo i stal miały jeszcze postać rudy, ich naczynia były nadal glina, ich płótna i ubrania — surowymi włóknami.

Trzeba tu jednak dodać, że koloniści nasi byli ludźmi w najpiękniejszym i najpełniejszym tego znaczeniu słowa. Inżynier Smith nie mógł mieć do pomocy towarzyszy bardziej inteligentnych, oddanych i gorliwych. Wybadał każdego z nich i znał ich umiejętności.

<sup>100</sup>piryt — minerał żelaza z gromady siarczków, występujący w różnych rodzajach skał, wykorzystywany jako surowiec do otrzymywania półproduktów, z których wytwarza się kwas siarkowy i żelazo. [przypis edytorski]

Gedeon Spilett, dziennikarz niepospolitych zdolności, który uczył się wszystkiego, aby móc mówić o wszystkim, mógł głową i rękami w dużej mierze przyczynić się do kolonizacji wyspy. Nie cofnąłby się pewnie przed żadnym obowiązkiem. Jako zapalony myśliwy miał teraz poświęcić się zawodowo temu, czemu się dotąd oddawał tylko dla przyjemności.

Harbert, poczciwy, dzielny chłopak, posiadający dość obszerne wiadomości w zakresie nauk przyrodniczych, miał także przyczynić się w znakomitej mierze do wspólnego dobra.

Nab był wcielonym poświęceniem. Zręczny, inteligentny, niezmordowany, silny, o żelaznym zdrowiu, znał się nieco na kowalstwie i mógł być bardzo przydatny dla kolonii.

Jeśli chodzi o Pencroffa, to był zarazem marynarzem, który przemierzył wszystkie oceanach świata, cieślą w stoczni brooklińskiej, pomocnikiem krawieckim na okrętach państwowych, podczas urlopów ogrodnikiem i rolnikiem i tak dalej. Jako marynarz był do wszystkiego i umiał wszystko.

Trudno byłoby zaiste dobrać pięciu ludzi bardziej gotowych do walki z losem i dających większą rękojmnię, że wyjdą z niej zwycięsko.

„Zacniemy od początku” — powiedział Cyrus Smith. Otóż początkiem, o którym mówił inżynier, miało być sporządzenie urządzenia służącego do przetwarzania bogactw naturalnych. Wiemy, jak ważną rolę w takim przetwarzaniu odgrywa ciepło. Opał, drewno lub węgiel, mieli od razu gotowe do użytku. Potrzebowali więc tylko zbudować piec, żeby z nich skorzystać.

— Do czego ma służyć ten piec? — zapytał Pencroff.

— Do wyrabiania potrzebnych nam naczyń — odparł Cyrus Smith.

— A z czego zrobimy piec?

— Z cegieł.

— A cegły?

— Z gliny. Dalej w drogę, przyjaciele. Ażeby uniknąć niepotrzebnego transportu, urządzimy warsztat na miejscu produkcji. Nab przyniesie nasze zapasy żywności, a do ich upieczenia nie zabraknie nam ognia.

— Zapewne — odparł reporter — ale jeśli z powodu braku broni myśliwskiej zabraknie nam żywności?

— Żebyśmy mieli choć jeden nóż! — zawołał marynarz.

— To co wtedy? — zapytał Cyrus Smith.

— Co wtedy? Wtedy wystrugałbym czym prędzej łuk i strzały i mielibyśmy masę dziczyzny w spizarni.

— Tak, tak, żeby jakiś nóż lub coś ostrego... — powiedział inżynier sam do siebie.

W tej chwili jego wzrok padł na Topa, biegnącego tam i z powrotem po brzegu.

Oczy Cyrusa Smitha nagle zabłyśły.

— Top, do nogi! — zawołał.

Pies przybiegł natychmiast na wezwanie swojego pana. Ten ujął jego łeb w dłonie, zdjął mu obrozę z karku, rozłamał ją na dwa kawałki i powiedział:

— Oto dwa noże, Pencroffie!

Odpowiedzią były dwa głośnie „hurra” marynarza. Obroza Topa zrobiona była z cienkiej hartowanej stali. Wystarczyło więc najpierw na grubszym kamieniu zaostrzyć każdy kawałek z jednej strony w szpic, a potem na drobnoziarnistym piaskowcu naostrzyć klingę. Takich piaskowców było na wybrzeżu pod dostatkiem i w dwie godziny później wyposażenie kolonii składało się z dwóch ostrych kling, które bez trudu osadzono w mocnych trzonkach.

Zdobycie tych pierwszych narzędzi powitali z wielkim triumfem. Był to istotnie nader cenny nabytek i w bardzo odpowiedniej chwili.

Ruszyli w drogę. Cyrus zamierzał powrócić do północnego brzegu jeziora, gdzie poprzedniego dnia zauważył gliniastą ziemię, z której pobrał próbkę. Udali się więc wzdłuż brzegów Rzeki Dziękczynienia, przeszli Płaskowyż Pięknego Widoku i po przebyciu pięciu mil dotarli do polanki położonej o dwieście kroków od Jeziora Granta.

Po drodze Harbert spostrzegł drzewo, z którego gałęzi Indianie z Ameryki Południowej sporządzają łuki. Było to drzewo *crejimba* z rodzaju palmowców, które nie rodzi jadalnych owoców. Wycięli z niego długie, proste gałęzie, ogołocili je z liści i ostrugali

je tak, że były grubsze pośrodku, a cieńsze po obu końcach. Pozostawało jeszcze tylko znaleźć jakąś roślinę, która dałaby się użyć za cięciwę do łuku. Znaleźli krzew z gatunku należącego do rodziny ślazowatych, zwanego przez botaników *Hibiscus heterophyllus*<sup>101</sup>. Mają one niezwykle giętkie i mocne włókna, które można porównać z ścięgnami zwierząt. W ten sposób Pencroff sporządził kilka mocnych łuków. Brakowało jeszcze tylko strzał. Łatwo dało się je wystrugać z prostych i sztywnych gałązek bez sęków, lecz dużo trudniej było uzbroić je w groty, to znaczy znaleźć materiał, który mógłby zastąpić żelazo. Pencroff jednak powiedział sobie, że skoro on zrobił swoje, reszty dokona przypadek.

Koloniści przybyli na miejsce poznane już poprzedniego dnia. Gleba składała się z tłustej gliny, takiej jak używanej na cegły i dachówki, a zatem nadającej się do tego, co chcieli wykonać. Sama praca nie sprawiała najmniejszych trudności. Trzeba było tylko odtłuścić glinę za pomocą piasku, uformować z niej cegły i wypalać je w ogniu.

Zazwyczaj cegły wyrabia się w przeznaczonych do tego formach, inżynier jednak postanowił, że wykonają je ręcznie. Na tej pracy upłynął im cały ten dzień i następny. Glina, najpierw zmoczona wodą, potem mieszana nogami i rękami robotników, dzielona była następnie na kostki jednakowej wielkości. Jeden wprawny robotnik jest w stanie bez maszyny uformować w ten sposób do dziesięciu tysięcy cegieł w ciągu dwunastu godzin. Jednak pięciu ceglarzy z Wyspy Lincolnia zdołało przez te dwa dni ulepić zaledwie trzy tysiące sztuk. Poukładali je rzędami, jedną przy drugiej, i pozostawili, żeby całkiem wyschły i nadawały się do wypalania, na co potrzeba było trzech do czterech dni.

Dnia 2 kwietnia Cyrus zajął się ustaleniem położenia wyspy.

Dzień wcześniej odnotował dokładnie godzinę, o której słońce zaszło za horyzont, uwzględniając przy tym refrakcję<sup>102</sup>. Tęgo ranka również dokładnie odnotował godzinę, w której znów się pojawiło. Pomiedzy tym zachodem a wschodem słońca upłynęło dokładnie dwanaście godzin i dwadzieścia cztery minuty<sup>103</sup>. A zatem tego dnia w sześć godzin i dwanaście minut po wschodzie słońce powinno przechodzić dokładnie przez południk wyspy, a punkt nieba, w którym będzie się wówczas znajdowało, wyznaczy północ.

O wyznaczonej godzinie Cyrus ustalił ten punkt i oznaczając na jednej linii ze słońcem dwa drzewa, które miały mu służyć za znaki orientacyjne, uzyskał stałą linię południka do dalszych obliczeń.

Dwa dni, które poprzedzały wypalanie cegieł, spożytkowano na zgromadzenie opału. Ścinali gałęzie z drzew rosnących wokół polany i zbierali suche, spadłe na ziemię. Pracę przeplatali polowaniem w okolicznych lasach, zwłaszcza że Pencroff miał już teraz kilka tuzinów strzał o ostrych końcach. Groty zawdzięczali Topowi, który pewnego razu przyniósł jeżozwierza<sup>104</sup>. Jeżozwierz niezbyt nadawał się na piecyste, lecz miał dla nich nieocenioną wartość z powodu kolców, którymi był pokryty. Kolce te zostały mocno przytwierdzone na jednym końcu strzał, a kierunek lotu utrzymywały osadzone na drugim końcu pióra kakadu. Reporter i Harbert w krótkim czasie wyćwiczyli się na bardzo celnych łuczniców. Toteż nie brakowało nigdy w Kominach zwierzyny i ptactwa: kapibar, gołębi, aguti, głuszców i innych. Większość tych zwierząt upolowali w lesie położonym na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia, który nazwali Lasem Złotopióra, na pamiątkę ptaka, za którym uganił się Pencroff z Harbertem na swej pierwszej wyprawie łowieckiej.

Zwierzynę jedli na świeżo, przechowywali tylko szynki z kapibary, uwędzone na wolnym ogniu z wilgotnego drzewa i przyprawione wonnymi ziołami. Jednak jedzenie, cho-

<sup>101</sup> *Hibiscus heterophyllus* (biol.) — jeden z gatunków ketmii (hibiskusa), występujący wyłącznie w Australii. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *refrakcja* — tu: refrakcja astronomiczna, zjawisko ugięcia promieni świetlnych w atmosferze ziemskiej spowodowane znaczącymi różnicami gęstości powietrza na różnej wysokości od powierzchni Ziemi; refrakcja atmosferyczna zmienia pozorne położenie obiektów na niebie, przesuując je w stronę zenitu. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *Pomiedzy tym zachodem a wschodem słońca upłynęło dokładnie dwanaście godzin i dwadzieścia cztery minuty* — rzeczywiście o tej porze roku i na tej szerokości słońce wschodziło o godz. 5:33 rano, a zachodziło o godz. 18:17. [przypis autorski]

<sup>104</sup> *jeżozwierz* (biol.) — kolczasty ssak z rzędu gryzoni, zamieszkujący pld. Europę, Afrykę i Azję od Indii po Borneo; niekiedy potocznie nazwą jeżozwierz określa się podobne z wyglądu, żyjące w Ameryce Płn. ursony. [przypis edytorski]

ciężko bardzo posilne, składało się ciągle tylko z pieczonego i koloniści tęsknili z całej duszy za słodką muzyką szumiącego garnka z rosółem i sztuką mięsa. Lecz na to trzeba było czekać, aż zostaną wyprodukowane garnki, a zatem aż zostanie postawiony piec.

Podczas wypraw, podejmowanych tylko w najbliższe okolice cegielni, myśliwi natykali nieraz świeże ślady wielkich zwierząt uzbrojonych w potężne pazury, których gatunku nie mogli rozpoznać. Cyrus Smith zalecał im więc jak największą ostrożność, gdyż prawdopodobnie las skrywał niebezpieczne drapieżniki.

Cyrus miał słuszną rację. Pewnego dnia Gedeon Spilett z Harbertem zobaczyli zwierzę bardzo podobne do jaguara. Drapieżnik jednak na szczęście zostawił ich w spokoju, gdyż w przeciwnym razie prawdopodobnie nie wyszliby z walki bez poważnych ran. Gedeon Spilett obiecał sobie, że gdy tylko będą mieli lepszą broń, to znowy przynajmniej jedną taką strzelbę, jakiej domagał się Pencroff, wyda zaciętą wojnę wszystkim drapieżnikom i oczyści z nich całą wyspę.

Przez tych kilka dni nie zajmowano się wcale wygodniejszym urządzeniem Kominów, gdyż inżynier zamierzał znaleźć lub w razie potrzeby zbudować lepsze chronienie. Poprzestano więc tylko na tym, że wyścielono korytarze świeżą podściółką z mchu i suchych liści i na tym nieco prymitywnym posłaniu zmordowani całodzienną pracą robotnicy zasypiali twardo i smacznie.

Obliczyli także dokładnie dni spędzone na Wyspie Lincoln, od chwili gdy po raz pierwszy na niej wylądowali, i odtąd regularnie je notowali. W środę 5 kwietnia upływało dwanaście dni od chwili, gdy huragan wyrzucił rozbitków na to wybrzeże.

6 kwietnia o świcie inżynier i jego towarzysze zebrali się na polanie, gdzie się miało odbywać wypalanie cegieł. Operacja ta miała oczywiście dokonać się pod wolnym niebem, a nie w piecu, albo raczej cały ten stos cegieł miał tworzyć jeden olbrzymi piec, który miał się sam wypalić. Rozłożyli na ziemi opał w postaci wiązek chrustu i otoczyli go kilkoma rzędami wysuszonych cegieł, które utworzyły wielki sześcian z prowadzącymi na zewnątrz otworami dla przewiewu. Praca trwała cały dzień i dopiero wieczorem podłożyli ogień pod wiązki drewna.

Tej nocy żaden nie kładł się spać, wszyscy czuwali pilnie nad tym, aby ogień nie przygasł.

Operacja trwała czterdzieści osiem godzin i powiodła się doskonale. Następnie trzeba było poczekać, aż dymiąca masa nieco ostygnie. Tymczasem zaś Nab i Pencroff pod kierunkiem Cyrusa Smitha naznosili na splecionych z gałęzi noszach bryły węgla wapnia<sup>105</sup>, pospolitego kamienia, który w wielkich ilościach występował na północ od jeziora. Bryły te, ulegające rozkładowi pod wpływem ciepła, zmieniały się w bardzo tłuste wapno niegaszone, silnie pęczniące podczas gaszenia, a do tego tak czyste, jak gdyby powstało z prażenia kredy lub marmuru. Po zmieszaniu z piaskiem, dzięki któremu masa mniej się kurczy podczas twardnienia, z wapna otrzymano doskonałą zaprawę.

Dzięki tym różnym zabiegom 9 kwietnia inżynier miał do dyspozycji pewną ilość gotowego wapna i kilka tysięcy cegieł.

Nie tracąc czasu, przystąpili natychmiast do stawiania pieca, mającego służyć do wypalania rozmaitych naczyń niezbędnych do domowego użytku. Przedsięwzięcie to powiodło się bez większych trudności. Pięć dni później napelnili piec węglem kamiennym, którego odkryte pokłady inżynier odkrył u ujścia Czerwonego Potoku, i z wysokiego na dwadzieścia stóp kominu wzbil się pierwszy dym. Polana przekształciła się w wytwornię, a Pencroff był bliski przekonania, że z tego pieca wyjdą wszystkie wyroby nowoczesnego przemysłu.

Na razie jednak koloniści wyprodukowali tylko zwykłe wyroby ceramiczne, bardzo przydatne do gotowania jedzenia. Surowcem była ta sama glina, do której Cyrus Smith dodał trochę wapna i kwarcu. Masa ta nie była niczym innym jak tylko prawdziwą gliną fajkową<sup>106</sup>. Zrobili z niej garnki, kubki, uformowane na kamieniach odpowiedniego kształtu, dalej talerze, duże dzbany i kadzie na wodę i inne. Wprawdzie były koślawe, lecz

<sup>105</sup>węglan wapnia (chem.) — sól kwasu węglowego i wapnia, podstawowy składnik wielu minerałów i niektórych skał; tu zamiast: wapień, skała zbudowana głównie z węgla wapnia. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>glina fajkowa — dawna potoczna nazwa plastycznej gliny wypalającej się na biało, używanej do produkcji fajansu, statuetek, cegieł ogniotrwałych itp. [przypis edytorski]

ich wypaleniu w wysokiej temperaturze stały się wyposażeniem kuchni w Kominach równie cennym, jak gdyby do ich wyrobu użyto najlepszego kaolinu<sup>107</sup>.

Trzeba dodać, że Pencroff, chcąc się przekonać, czy spreparowana w ten sposób glina zasługuje na nazwę gliny fajkowej, ulepił z niej sobie kilka niezgrabnych fajek. Wprawdzie uznał je za urocze, lecz niestety brakowało do nich tytoniu. Ten brak marynarz odczuwał bardzo dotkliwie.

— Ale będzie i tytoń, tak jak wszystko! — powtarzał w przyływach bezgranicznej ufności.

Prace te trwały aż do 15 kwietnia i nietrudno się domyślić, że czas ten został spżytkowany sumiennie. Koloniści, którzy przemienili się w garncarzy, nie zajmowali się niczym innym niż garncarstwem. Gdy Cyrus Smith zechce z nich zrobić kowali, będą kowalami. Ale ponieważ nazajutrz przypadała niedziela i to Niedziela Wielkanocna, postanowili jednogłośnie uświęcić ten dzień odpoczynkiem. Amerykanie ci byli ludźmi religijnymi i skrupulatnie przestrzegali przepisów Biblii, a sytuacja, w jakiej się znaleźli, jeszcze bardziej rozwinęła w nich uczucie ufności ku Stwórcy wszechrzeczy.

Tego wieczora więc, dnia 15 kwietnia, wrócili do Kominów. Zabrali ze sobą resztę naczyń, a piec wygasili do czasu jego nowego przeznaczenia. Podczas powrotu zdarzył się pomyślny przypadek: inżynier odkrył pewną substancję mogącą zastąpić hubkę. Jak wiadomo, ten gąbczasty, miękki materiał pochodzi z pewnego gatunku pasożytniczych grzybów nadrzewnych. Odpowiednio spreparowany staje się bardzo łatwo zapalny, zwłaszcza gdy się go uprzednio przesyci prochem armatnim lub wygotuje w roztworze azotanu lub chlorku potasu. Dotychczas jednak nie znaleźli takiego grzyba ani nawet żadnego ze smardzów<sup>108</sup>, które mogą go zastąpić. Otóż tego dnia inżynier spostrzegł pewną roślinę należącą do bylic<sup>109</sup>, których głównymi gatunkami są piołun, trawa cytrynowa<sup>110</sup>, estragon i inne. Uszczknął z niej kilka kępek i wskazując je marynarzowi, powiedział:

— Niech pan spojrzy, Pencroffie, to pana z pewnością ucieszy.

Pencroff przypatrzył się uważnie roślinie porośniętej długimi, jedwabistymi włoskami, z listkami pokrytymi puszkami podobnym do bawełny, i po chwili zapytał:

— Cóż to takiego, panie Cyrusie? Na miłość boską! Czy to tytoń?...

— Nie — odparł Cyrus Smith — to artemizja, dla uczonych to bylica chińska<sup>111</sup>, a dla nas będzie to hubka.

Rzeczywiście bylica, wysuszona jak należy, dała substancję łatwo zapalną, zwłaszcza gdy później inżynier przesycił ją azotanem potasu, którego kilka pokładów znajdowało się na wyspie, a który jest niczym innym jak po prostu saletrą.

Tego wieczora koloniści, zgromadzeni w środkowym pokoju Kominów, zjedli przyzwoitą kolację. Nab przygotował rosół z aguti, szynkę z kapibary przyprawioną wonnymi ziołami, do której dodał gotowane bulwy rośliny zwanej *Caladium macrobizum*<sup>112</sup>, z rodziny obrazkowatych<sup>113</sup>, która pod niebem południowym występuje w postaci krzewu. Kłącza te miały doskonały smak, były bardzo pożywne, przypominały przyprawę znaną w Anglii pod nazwą portlandzkiego sago<sup>114</sup> i mogły nawet do pewnego stopnia zastąpić chleb, którego brakowało jeszcze mieszkańcom Wyspy Lincoln.

Po kolacji, przed nocnym spoczynkiem, Cyrus Smith wyszedł ze swoimi towarzyszami na brzeg morza odetchnąć świeżym powietrzem. Była wówczas ósma wieczorem.

<sup>107</sup>kaolin — ilasta skała osadowa, składająca się głównie z kaolinitu, używana jako surowiec do produkcji szlachetnej ceramiki (stąd potocznie: glina porcelanowa). [przypis edytorski]

<sup>108</sup>smardz — rodzaj grzybów, których kapelusz ma formę dużej, pomarszczonej główki. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>bylica, *Artemisia* (biol.) — rodzaj roślin z rodziny astrowatych, liczący 300 gatunków, na ogół aromatycznych. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>trawa cytrynowa, *Cymbopogon nardus* (biol.) — aromatyczna trawa pochodząca z Azji, używana w kuchni oraz w przemyśle perfumeryjnym. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>bylica chińska — właśc. bylica roczna (*Artemisia annua*), pochodząca z Azji, zawleczona przez człowieka do innych części świata. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*Caladium macrobizum* — jeden z gatunków rodzaju *Caladium* (obraznica), wieloletnich roślin zielnych, którym daw. nadawano rozmaite nazwy; *macrobizum* oznacza „o dużych kłączach”. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>obrazkowate, *Araceae* (biol.) — rodzina roślin zielnych, rzadziej krzewów, występujących gł. w lasach tropikalnych. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>portlandzkie sago — pieczone bulwiaste kłącza rośliny *Arum maculatum*, z których dawniej wyrabiano mączkę skrobiową, używane też do wyrobu salepu, popularnego napoju przed upowszechnieniem się kawy i herbaty. [przypis edytorski]

Noc roztoczyła wszystkie swe czary. Przed pięcioma dniami była pełnia, tego dnia księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz już cały widnokrąg srebrzył się od łagodnej, bladej jasności, którą można by nazwać księżycowym świtem. Na południowym zenicie jaśniały konstelacje podbiegunowe, a pomiędzy wszystkich najbardziej Krzyż Południa, który kilka dni wcześniej inżynier powitał ze szczytu Góry Franklina.

Cyrus Smith przypatrywał się czas jakiś tej wspaniałej konstelacji, która na wierzchołku i u podstawy ma po dwie gwiazdy pierwszej wielkości<sup>115</sup>, na prawym ramieniu jedną drugiej wielkości, zaś na lewym jedną gwiazdę trzeciej wielkości.

Po czym zamyśliwszy się chwilę, zapytał, zwracając się do Harberta:

— Słuchaj Harbercie, czy nie mamy dziś przypadkiem 15 kwietnia?

— Tak jest, panie Cyrusie — odparł chłopak.

— Więc, jeśli się nie mylę, jutro przypada jeden z tych czterech dni w roku, w których czas prawdziwy pokrywa się z czasem średnim<sup>116</sup>, to znaczy, mój chłopcze, że jutro, z dokładnością do kilku sekund, słońce przejdzie przez południk dokładnie wtedy, kiedy na zegarkach będzie południe. Jeśli więc będzie dobra pogoda, to mam nadzieję oznaczyć długość geograficznej naszej wyspy z dokładnością do kilku stopni.

— Jak to, bez instrumentów, bez sekstantu<sup>117</sup>? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak jest — odparł inżynier. — A ponieważ noc taka pogodna, spróbuję więc jeszcze dziś wieczorem ustalić naszą szerokość geograficzną, wyznaczając wysokość Krzyża Południa, a tym samym i bieguna południowego, nad horyzontem. Rozumiecie przecież dobrze, przyjaciele, że zanim rozpoczniemy poważne prace nad osiedleniem się tutaj, nie wystarczy stwierdzić, że ta ziemia jest wyspą, potrzeba jeszcze w miarę możliwości przekonać się, jak daleko znajduje się od kontynentu amerykańskiego bądź od australijskiego, bądź też od głównych archipelagów Pacyfiku.

— Rzeczywiście — odezwał się reporter. — Może zamiast budować dom, wypadnie nam wybudować statek, jeśli przypadkiem od łądów zamieszkałych przez ludzi oddziela nas tylko sto mil.

— Dlatego właśnie — ciągnął dalej Cyrus — spróbuję dziś wieczorem ustalić szerokość geograficzną Wyspy Lincolna, a jutro w południe spróbuję obliczyć długość.

Gdyby inżynier posiadał sekstant, przyrząd za pomocą którego da się z dużą dokładnością obliczyć odległość kątową obiektów dzięki odbiciom w zwierciadłach, pomiar nie sprawiałby najmniejszej trudności. Tego wieczoru z wysokości bieguna, a nazajutrz z przejścia słońca przez południk otrzymałby obie współrzędne wyspy. Lecz nie mając takiego przyrządu, trzeba go było czymś zastąpić.

Cyrus Smith powrócił więc do Kominów. Tam przy świetle ogniska wystrugał dwie płaskie linijki i połączył je ze sobą na jednym końcu, tak że tworzyły rodzaj cyrkla, którego ramiona można było dowolnie rozsuwać i przybliżać ku sobie. Do połączenia użył twardego kolca akacji, znalezionego w stosie suchego drewna na ognisko.

Sporządziwszy ten instrument, inżynier powrócił na plażę. Ponieważ jednak potrzebował zmierzyć wysokość bieguna ponad horyzontem jasno i wyraźnie zarysowanym, to znaczy ponad horyzontem morza, a Przyłodek Szponu zasłaniał mu południową część widnokregu, musiał poszukać innego, odpowiedniejszego stanowiska. Najlepsze byłoby bez wątpienia wybrzeże zwrócone wprost na południe, lecz aby się do niego dostać, trzeba by było przejść na drugą stronę Rzeki Dziękczynienia, która o tej porze była dość głęboka, co powodowało pewne trudności.

<sup>115</sup>gwiazdy pierwszej wielkości — w astronomii używa się tzw. wielkości gwiazd, które odpowiadają sile ich blasku; od czasów Ptolemeusza najjaśniejsze gwiazdy mają wielkość 1, zaś najslabsze widoczne gołym okiem mają wielkość równą 6; tradycyjnie najjaśniejsza gwiazda w danym gwiazdozbiornie oznaczana jest małą grecką literą alfa, kolejna literą beta itd. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>jeden z tych czterech dni w roku, w których czas prawdziwy pokrywa się z czasem średnim — prawdziwy czas słoneczny, wynikający bezpośrednio z pozycji Słońca na niebie, jest czasem płynącym niejednostajnie, gdyż Ziemia porusza się po elipsie w płaszczyźnie nachylonej względem swojej osi obrotu. W zegarkach mechanicznych i w życiu codziennym używa się jednostajnie płynącego czasu średniego. Różnica pomiędzy tymi dwoma czasami wynosi do kilkunastu minut i jest zerowa cztery razy w roku: 15 kwietnia, 13 czerwca, 1 września i 25 grudnia. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>sekstant — przyrząd nawigacyjny do pomiaru wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, używany także do pomiaru kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na Ziemi. [przypis edytorski]

Cyrus Smith postanowił więc wykonać swoje obserwacje na Płaskowyżu Pięknego Widoku, uwzględniając przy tym jego wysokość nad poziomem morza, którą miał zamiar obliczyć nazajutrz prostym sposobem geometrycznym.

Koloniści, idąc lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, udali się na płaskowyż i zajęli stanowisko na jego skraju zorientowanym z północnego zachodu na południowy wschód, to jest wzdłuż linii fantastycznych urwisk, ciągnącej się wzdłuż brzegów rzeki.

Ta część płaskowyżu wznosiła się na jakieś pięćdziesiąt stóp ponad prawym brzegiem rzeki, którego jeden stok sięgał aż do końca Przylądka Szponu, a drugi aż do południowego wybrzeża wyspy. Żadna przeszkoda nie ograniczała pola widzenia, które ogarniało połowę widnokregu, począwszy przylądka aż po Cypel Jaszczurczy. Na południu horyzont, oświetlony pierwszymi promieniami księżyca, rysował się ostrą linią i był bardzo dobrze widoczny.

W tym momencie Krzyż Południa prezentował się oczom obserwatorów w pozycji odwróconej, gwiazda alfa tworzyła jego podstawę najbliższą bieguna południowego.

Konstelacja ta nie leży tak blisko bieguna południowego, jak Gwiazda Polarna bieguna północnego. Jej gwiazda alfa odległa jest od niego o blisko dwadzieścia siedem stopni; Cyrus Smith wiedział o tym i miał tę odległość uwzględnić w obliczeniach. Zamierzał też obserwować ją w chwili, w której będzie przechodzić przez południk poniżej bieguna, co upraszczało działania.

Cyrus Smith skierował więc jedno ramię swego drewnianego cyrkla na horyzont morza, a drugie ramię na gwiazdę alfa, podobnie jak zrobiłby z lunetami przyrządu mierniczego, a rozwarcie ramion dało mu odległość kątową między gwiazdą alfa a horyzontem. Ażeby utrwalić uzyskany w ten sposób kąt, obie linijki przyrządu przymocował kolcami do trzeciej, umieszczonej poprzecznie, tak że kąt rozwarcia ramion nie mógł się zmienić.

Potem pozostawało już tylko obliczyć właściwy kąt, sprowadzając obserwację do poziomu morza, tak aby uwzględnić obniżenie horyzontu, co oczywiście pociągało za sobą konieczność pomiaru wysokości płaskowyżu. Wielkość tego kąta dałaby wówczas wysokość gwiazdy alfa, a co za tym idzie także wysokość bieguna nad horyzontem, czyli szerokość geograficzną wyspy, gdyż szerokość geograficzna każdego punktu kuli ziemskiej jest zawsze równa wysokości bieguna nad horyzontem w tym punkcie.

Obliczenia odłożono do następnego dnia i o dziesiątej wszyscy już pogrążeni byli w głębokim śnie.

## ROZDZIAŁ XIV

*Pomiary granitowej ściany. — Zastosowanie twierdzenia o podobieństwie trójkątów. — Szerokość geograficzna wyspy. — Wycieczka na północ. — Ławica ostryg. — Plany na przyszłość. — Przejście słońca przez południk. — Współrzędne Wyspy Lincoln.*

Nazajutrz, 16 kwietnia — w niedzielę wielkanocną — koloniści o świcie opuścili Kominy i zabrali się do prania bielizny i czyszczenia ubrań. Inżynier zamierzał wyprodukować mydło, gdy tylko zdobędzie niezbędne surowce, to znaczy sodę lub potaż<sup>118</sup>, tłuszcz lub olej. We właściwym czasie mieli się też zastanowić nad równie ważną sprawą odnowienia garderoby. W każdym razie ubrania, które mieli na sobie, mogły wystarczyć jeszcze na pół roku, były bowiem mocne i wytrzymałe na zużycie przy pracy fizycznej. Wszystko jednak zależało od położenia wyspy w stosunku do zamieszkałych lądów. A tę ważną kwestię mieli rozstrzygnąć jeszcze tego samego dnia, jeśli pogoda będzie sprzyjać.

Słońce, wschodzące na czystym widnokregu, zapowiadało wspaniały dzień, jeden z tych pięknych dni jesiennych, które są jakby ostatnim pożegnaniem lata.

Wypadało teraz uzupełnić szczegóły wczorajszych obserwacji i zmierzyć wysokość Płaskowyżu Pięknego Widoku nad poziomem morza.

— Czy nie potrzebny panu instrument podobnego do tego, jakiego użył pan wczoraj? — zapytał Harbert inżyniera.

<sup>118</sup>potaż — popiół drzewny złożony głównie z węgla potasu, używany od starożytności do produkcji mydła, szkła, ceramiki i nawozów. [przypis edytorski]



— Nie, mój chłopcze — odpowiedział inżynier. — Użyjemy innego sposobu, ale prawie tak samo dokładnego.

Harbert, który lubił się uczyć wszystkiego, udał się za inżynierem. Ten, oddalając się od podnóża granitowej ściany, zatrzymał się prawie na samym końcu wybrzeża. Tymczasem Pencroff, Nab i reporter zajęci byli innymi pracami.

Cyrus Smith zaopatrzył się w prostą żerdź, długą na jakieś dwanaście stóp. Zmierzył ją możliwie jak najdokładniej, używając za miarę własnego wzrostu, który znał prawie co do linii<sup>119</sup>. Harbert niósł powierzony mu przez Cyrusa pion, czyli zwykły kamień uwiązany do giętkiego kawałka włókna.

Gdy znaleźli się o jakieś dwadzieścia kroków od brzegu morza i mniej więcej o pięćset od wznoszącej się pionowo granitowej ściany, Cyrus wbił żerdź na dwie stopy w piasek i starannie nakierowując, za pomocą pionu ustawił ją prostopadle do płaszczyzny horyzontu.

Po ukończeniu tych przygotowań cofnął się tak daleko, aby położywszy się na piasku, mieć na osi wzroku równocześnie koniec żerdzi i szczyt granitowej ściany. Następnie oznaczył dokładnie to miejsce, wbijając w ziemię kołek. Potem zwracając się do Harberta, zapytał:

— Znasz podstawowe zasady geometrii?

— Tak, trochę, panie Cyrusie — odparł Harbert, nie chcąc się zanadto zapędzać.

— Pamiętasz więc, jakie są własności dwóch trójkątów podobnych?

— Pamiętam — odparł Harbert. — Ich odpowiednie boki są do siebie proporcjonalne.

— Otóż, mój chłopcze, zbudowałem tu właśnie dwa trójkąty podobne, oba prostokątne: pierwszy, mniejszy, ma jako boki pionową żerdź i linię łączącą kołek z podstawą żerdzi, a jako przeciwprostokątną — linię na osi mojego wzroku, pociągniętą od kołka do górnego końca żerdzi; drugi, większy, ma jako boki pionową ścianę, o której wysokość nam chodzi, i linię łączącą kołek z podnóżem tej ściany, a jako przeciwprostokątną — także linię na osi mojego wzroku, pociągniętą od kołka do szczytu ściany, która jest przedłużeniem przeciwprostokątnej pierwszego trójkąta.

— Ach, rozumiem, panie Cyrusie! — zawołał Harbert. — Proporcja odległości kołka od żerdzi do odległości kołka od podnóża ściany jest taka sama jak proporcja wysokości żerdzi do wysokości tej ściany.

— Tak jest, Harbercie — odparł inżynier. — A gdy zmierzemy te dwie pierwsze odległości, to znając wysokość żerdzi, będziemy potrzebowali tylko rozwiązać prostą proporcję, by otrzymać wysokość ściany, co nam oszczędzi kłopotów z bezpośrednim jej mierzaniem.

Obie odległości poziome zmierzono za pomocą tej samej żerdzi, której wysokość powyżej piasku wynosiła dokładnie dziesięć stóp.

Pierwsza odległość, między kołkiem a punktem, w którym osadzona była żerdź, wynosiła piętnaście stóp.

Druga odległość, między kołkiem a podnóżem ściany, wynosiła pięćset stóp.

Ukończywszy ten pomiar, Cyrus z Harbertem wrócili do Kominów.

Tam Cyrus wziął do ręki płaski kamień, który przyniósł z jednej z poprzednich wycieczek, rodzaj lupka<sup>120</sup>, na którym można było pisać ostrą muszlą, i zestawil następującą proporcję:

$$15 : 500 = 10 : x$$

$$500 \times 10 = 5000$$

$$5000 : 15 = 333,33.$$

Stąd wynikało, że wysokość ściany granitowej wynosi trzysta trzydzieści trzy stopy<sup>121</sup>.

Następnie Cyrus Smith wziął sporządzony poprzedniego dnia instrument, którego rozchylenie ramion wyznaczało odległość kątową gwiazdy alfa od horyzontu. Zmierzył

<sup>119</sup>linia — anglosaska jednostka miary długości równa 1/10 cala, czyli 2,54 milimetra. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>lupka — ogólne określenie skał o budowie warstwowej, powodującej łatwość rozwarstwiania się ich na cienkie płytki; dawniej tabliczki lupkowe służyły do pisania i rysowania. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>trzysta trzydzieści trzy stopy — są to stopy angielskie, z których jedna wynosi 30 centymetrów. [przypis autorski]

dokładnie rozwarcie tego kąta na obwodzie koła, który podzielił na trzysta sześćdziesiąt równych części. Okazało się, że kąt ten, po dodaniu do niego dwudziestu siedmiu stopni, oddzielających gwiazdę alfa od bieguna południowego, i po zredukowaniu wysokości płaskowyzu, na którym prowadzono obserwację, do poziomu morza, wynosił około pięćdziesiąt trzy stopnie. Po odjęciu tych pięćdziesięciu trzech stopni od dziewięćdziesięciu, czyli odległości bieguna od równika, pozostawało trzydzieści siedem stopni. Z tego Cyrus Smith wywnioskował, że Wyspa Lincolna położona jest na trzydziestym siódmym stopniu szerokości południowej, albo raczej, biorąc pod uwagę niedokładności pomiarów i przyjmując odchylenie w granicach pięciu stopni, że położona jest pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym równoleżnikiem.

Pozostawało jeszcze obliczyć długość geograficzną, aby otrzymać obie współrzędne wyspy. Inżynier zamierzał zrobić to jeszcze tego samego dnia w południe, to jest w chwili, kiedy słońce miało przechodzić przez południk.

Tę niedzielę postanowiono poświęcić na przechadzkę, albo raczej na zwiedzenie części wyspy między północnym brzegiem jeziora a Zatoką Rekinów, a nawet, gdyby czas na to pozwolił, chcieli dojść aż do północnego krańca Południowego Przylądka Szczęki. Obiad mieli zjeść wśród wydm i dopiero wieczorem powrócić do domu.

O wpół do dziesiątej rano grupka ruszyła brzegiem cieśniny. Po jej drugiej stronie, na Wysepce Wybawienia, z powagą przechadzały się gromady ptaków. Były to ptaki nurkujące z rodziny bezłotków<sup>122</sup>. Łatwo je poznać po nieprzyjemnym głosie przypominającym ryk osła. Pencroff, który patrzył na nie z punktu widzenia czysto kuchennego, przyjął z niemalym zadowoleniem wiadomość, że mięso ich, chociaż czarne, jest całkiem smaczne.

Widać było także pełzające po piasku duże ziemnowodne zwierzęta, zapewne foki, które, jak się zdawało, obrały sobie tę wysepkę za schronienie. Nie można było upatrywać w nich pożywienia, gdyż ich tłuste mięso jest obrzydliwe; mimo to Cyrus Smith przypatrywał się im z wielką uwagą i nie ujawniając swoich planów, zapowiedział tylko towarzyszom, że wkrótce przyjdzie im odwiedzić wysepkę.

Brzeg, po którym szli koloniści, usiany był niezliczonymi muszlami, z których niejedne mogłyby wprawić w zachwyty miłośników malakologii<sup>123</sup>. Między innymi były tam pawiatki<sup>124</sup>, przewiertki<sup>125</sup>, trygonie<sup>126</sup> i inne. O wiele pożyteczniejsze odkrycie zrobił Nab. Wśród skał odkrytych przez odpływające właśnie morze znalazł ogromną ławicę ostryg. Miejsce to było oddalone mniej więcej o cztery mile od Kominów.

— Nab ma dziś szczęśliwy dzień! — zawołał Pencroff, przypatrując się wielkiej ławicy.

— To rzeczywiście bardzo szczęśliwe odkrycie — powiedział reporter. — Jeśli to prawda, co powiadają, że każda ostryga znosi rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy jaj, to będziemy mieli niewyczerpane zapasy.

— Zdaje mi się tylko, że ostrygi nie są bardzo pożywne — powiedział Harbert.

— Owszem — odparł Cyrus Smith. — Ostrygi zawierają bardzo mało białka i ktoś, kto chciałby się żywić wyłącznie nimi, musiałby ich zjadać co najmniej piętnaście do szesnastu tuzinów dziennie.

— Doskonale! — odpowiedział Pencroff. — Możemy je połykać tuzinami tuzinów, zanim wyczerpiemy ławicę. Gdybyśmy teraz zabrali ze sobą trochę na śniadanie?...

I nie czekając na odpowiedź, z góry wiedząc, że propozycja spotka się z uznaniem, marynarz razem z Nabem oderwali trochę tych mięczaków. Włożyli je do siatki uplecionej przez Naba z włókien ketmii<sup>127</sup>, zawierającej także inne zapasy żywności. Następnie grupa ruszyła dalej wzdłuż wybrzeża, między wydmami a morzem.

Cyrus Smith od czasu do czasu spoglądał na zegarek, aby być gotowym na czas do obserwacji, którą należało przeprowadzić dokładnie w południe.

<sup>122</sup>bezłotki (biol.) — pingwiny. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>malakologia (z gr. *malakós*: miękki) — nauka o mięczakach. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>pawiatka (daw. biol.) — *Phasianella*, rodzaj niewielkich ślimaków morskich o wzorzystych muszlach, występujących na zach. Pacyfiku oraz w pobliżu Australii. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>przewiertka (biol.) — tu: *Terebratula*, rodzaj ramienionogów morskich, podobnych do małży. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>trygonie, *Trigonia* — wymarły rodzaj prehistorycznych słonowodnych małży. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>ketmia (biol.) — hibiskus, rodzaj krzewów i roślin zielnych z rodziny ślazowatych. [przypis edytorski]

Cała ta część wyspy aż do punktu, gdzie się kończyła Zatoka Stanów Zjednoczonych, nazwanego Południowym Przylądkiem Szczęki, była zupełnie jałowa. Nie widać było nic, tylko piasek i muszle, zmieszane z okruchami lawy. Ten pustynny brzeg zamieszkiwały tylko ptaki morskie: mewy, duże albatrosy i dzikie kaczki, które wystawiały na ciężką próbę łakomstwo Pencroffa. Próbował strzelać do nich z łuku, lecz bez skutku, gdyż rzadko przysiadły na ziemi, a w locie nie mógł ich trafić.

To skłoniło marynarza do ponowienia wcześniejszej prośby:

— Widzi pan, panie Cyrusie — powiedział — dopóki nie będziemy mieli przynajmniej jednej lub dwóch strzelb, nasza kuchnia ciągle będzie pozostawiać sporo do życzenia.

— Bez wątpienia, panie Pencroff — odparł reporter — ale to tylko od pana zależy! Niech się pan wystara o żelazo na lufy, stal na zamki, saletrę, węgiel i siarkę na proch, rtęć i kwas azotowy na sponki i wreszcie ołów na kule, a Cyrus zrobi nam pierwszorzędną strzelbę.

— Cóż, wszystkie te surowce — odparł inżynier — na pewno znajdziemy na wyspie, ale broń palna to misterny przyrząd i wymaga precyzyjnych narzędzi. Zresztą, zobaczymy później.

— Czemu — wołał Pencroff — czemu wyrzuciliśmy całą broń, jaka była w koszu, i wszystkie narzędzia, nawet scyzoryki?!

— Ale gdybyśmy ich nie wyrzucili — odparł Harbert — to balon wyrzuciłby nas do morza.

— Nie ma co mówić, masz słuszność, chłopcze — powiedział marynarz.

A po chwili, przeskakując na inny temat, dodał:

— Ale wyobrażam sobie, jak Jonathan Forster i jego koledzy musieli zgłupieć, gdy następnego dnia rano zobaczyli, że plac jest pusty, a latająca machina poszła na cztery wiatry!

— To mnie najmniej obchodzi, co oni sobie pomyśleli — powiedział reporter.

— Trzeba przyznać, że miałem dobry pomysł — powiedział Pencroff z zadowoleniem.

— Świetny pomysł, Pencroffie — odparł Gedeon Spilett, śmiejąc się. — Właśnie dzięki niemu tu jesteśmy.

— Wolę być tutaj niż w rękach południowców! — zawołał marynarz. — Zwłaszcza od kiedy pan Cyrus był łaskaw dołączyć do nas!

— I ja także, na honor — odparł reporter. — Zresztą czego nam tu brakuje? Niczego.

— Chyba że.... wszystkiego! — zawołał Pencroff, wybuchając śmiechem, aż mu się trzęsły potężne barki. — Ale pewnego dnia znajdziemy sposób, żeby się stąd wydostać!

— Może nawet prędzej niż się spodziewacie, przyjaciele — odezwał się na to inżynier — jeżeli Wyspa Lincolnna znajduje się w miarę blisko jakiegoś zamieszkałego archipelagu lub kontynentu. Przekonamy się o tym najdalej za godzinę. Nie mam przy sobie mapy Pacyfiku, ale pamiętam dość dobrze, jak wygląda jego południowa część. Z wczorajszego obliczenia szerokości geograficznej wynika, że na wprost Wyspy Lincolnna leży na zachodzie Nowa Zelandia, a na wschodzie — brzegi Chile. Lecz odległość pomiędzy tymi dwoma krajami wynosi co najmniej sześć tysięcy mil. Pozostaje nam więc jeszcze ustalić, w którym miejscu tej olbrzymiej przestrzeni znajduje się nasza wyspa, a o tym przekonamy się niebawem, obliczywszy jej długość geograficzną z dostateczną, jak się spodziewam, dokładnością.

— Prawda, że najbliższej nas pod względem szerokości geograficznej jest archipelag Paumotu? — zapytał Harbert.

— Tak jest — odparł inżynier — ale dzieli nas od niego odległość co najmniej tysiąca dwustu mil.

— A tam? — zapytał Nab, który z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie, wskazując na południe.

— Tam nie ma nic — odparł Pencroff.

— Rzeczywiście, nic — dodał inżynier.

— No, a co będzie — zagadnął reporter — jeżeli Wyspa Lincolnna jest tylko o jakieś dwieście czy trzysta mil od Nowej Zelandii lub od Chile?

— W takim przypadku — odparł inżynier — zamiast budować dom, wybudujemy statek, a pan Pencroff obejmie jego ster...

— Na honor, panie Cyrusie — zawołał marynarz — gotów jestem zostać kapitanem... jeżeli pan wymyśli sposób zbudowania statku, który wytrzymałby na morzu!

— Zbudujemy go, jeśli będzie potrzeba — odparł Cyrus Smith.

Podczas gdy tak gawędzili ze sobą ci ludzie, którzy naprawdę w nic nie wątpili, zbliżała się godzina przeznaczona na obserwację. Jak Cyrus, nie mając żadnego instrumentu, potrafi stwierdzić przejście słońca przez południk wyspy? Tego Harbert w żaden sposób nie mógł się domyśleć.

Koloniści znajdowali się wówczas w odległości sześciu mil od Kominów, niedaleko wydm, w których znaleźli inżyniera po jego zagadkowym ocaleniu. Zatrzymali się więc tutaj, aby przyrządzić posiłek, gdyż było już wpół do dwunastej. Harbert pobiegł po słodką wodę do pobliskiego strumyka i przyniósł ją w dzbanku, który Nab wziął ze sobą.

W tym czasie Cyrus Smith rozpoczął przygotowania do obserwacji astronomicznej. Wybrał na plaży czyste miejsce, które cofające się morze dokładnie wyrównało. Warstwa drobniutkiego piasku była gładka jak lustro, zdawało się, iż żadne ziarenko nie wystawało ponad drugie. Zresztą nie miało znaczenia, czy powierzchnia jest całkiem pozioma, czy nie, podobnie jak obojętne było, czy długa na sześć stóp tyczka, którą osadził w piasku, wznosiła się pionowo. Przeciwnie, inżynier pochylił ją trochę w kierunku południowym, to znaczy w stronę przeciwną od słońca, nie zapominajmy bowiem, że dla kolonistów Wyspy Lincoln, położonej na półkuli południowej, słońce opisywało swój łuk dzienny ponad widnokretem północnym, a nie południowym.

Dopiero wtedy Harbert zrozumiał, w jaki sposób Cyrus zamierza ustalić punkt kulminacyjny słońca, czyli przejście przez południk wyspy, inaczej mówiąc: określić południe. Chciał wykorzystać cień, który tyczka rzucała na piasek, co przy braku dokładniejszych instrumentów, dawałoby odpowiednie przybliżenie wyniku, o który chodziło.

Otóż w chwili, w której cień osiągnie minimum swej długości, będzie dokładnie południe, wystarczy więc śledzić uważnie koniec cienia, aby uchwycić moment, w którym cień po ciągłym skracaniu się zacznie się na nowo wydłużać. Nachylając tyczkę na południe Cyrus Smith zwiększył długość cienia, dzięki czemu łatwiej było śledzić jego zmiany. Istotnie, im dłuższa jest wskazówka na zegarze, tym łatwiej śledzić jej poruszenia. Cień tyczki był tym samym, co wskazówka na tarczy zegara.

Gdy Cyrus Smith uznał, że nadeszła stosowna chwila, ukląkł na piasku i za pomocą patyczków, które wtykał w piasek, zaczął oznaczać stopniowe skracanie się cienia tyczki. Dokoła niego zgromadzili się towarzysze, przypatrując się z zainteresowaniem tym czynnościom.

Reporter trzymał w pogotowiu swój chronometr, aby odnotować godzinę, w której cień będzie najkrótszy. Poza tym, ponieważ Cyrus Smith przeprowadzał obserwacje w dniu 16 kwietnia, czyli w dniu, kiedy czas prawdziwy pokrywa się z czasem średnim, godzina podana przez Gedeona Spilettę byłaby ta sama, co godzina według prawdziwego czasu w Waszyngtonie, co miało ułatwić obliczenia.

Tymczasem słońce powoli przesunęło się po niebie. Cień tyczki skracał się coraz bardziej, aż wreszcie w chwili, kiedy Cyrusowi Smithowi wydawało się, że zaczął znowu się wydłużać, zapytał:

— Która godzina?

— Piąta i jedna minuta — odpowiedział natychmiast Gedeon Spilett.

Pozostało już tylko wykonać obliczenia. Był to rachunek bardzo prosty. Różnica między południkiem Waszyngtonu a południkiem wyspy wynosiła, jak widzimy, w zaokrągleniu pięć godzin, to znaczy, że na Wyspie Lincoln było południe wtedy, gdy w Waszyngtonie była już godzina piąta wieczorem. Otóż słońce w swym pozornym ruchu wokół ziemi przebiega jeden stopień w ciągu czterech minut, czyli piętnaście stopni w ciągu godziny. Piętnaście stopni pomnożone przez pięć godzin daje siedemdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ zaś Waszyngton leży na 77°3'11", czyli w przybliżeniu pod siedemdziesiątym siódmym stopniem licząc od południka Greenwich — który Amerykanie wspólnie z Anglikami przyjmują za punkt, od którego rozpoczynają liczyć stopnie długości geo-

graficznej<sup>128</sup> — zatem wynikało z tego, że wyspa znajduje się o siedemdziesiąt siedem plus siedemdziesiąt pięć stopni na zachód od południka Greenwich, to znaczy na sto pięćdziesiątym drugim stopniu długości zachodniej.

Cyrus Smith oznajmił rezultat obliczeń swoich towarzyszom, biorąc przy tym pod uwagę, podobnie jak to uczynił przy obliczaniu stopnia szerokości, możliwe niedokładności i usterki obserwacji. Na podstawie swoich obliczeń mógł więc twierdzić dość stanowczo, że Wyspa Lincolna położona była między trzydziestym piątym a trzydziestym siódmym równoleżnikiem oraz pomiędzy sto pięćdziesiątym a sto pięćdziesiątym piątym południkiem na zachód od południka Greenwich.

Odchylenie wynikające z niedokładności obserwacji mogło, jak widzimy, wynosić po pięć stopni w obu kierunkach, co licząc po sześćdziesiąt mil na stopień, dawało różnicę do trzystu mil na szerokości lub długości. Jednak ten ewentualny błąd nie mógł w żaden sposób wpłynąć na zamiary kolonistów. Było oczywiste, że Wyspa Lincolna była tak odległa od jakiegokolwiek ładu czy archipelagu, że szaleństwem byłoby odważyć się na pokonanie tej przestrzeni w zwykłej, kruchej łodzi.

W istocie obliczenia inżyniera pokazały, że wyspa znajduje się co najmniej tysiąc dwieście mil od Tahiti<sup>129</sup> i wysp archipelagu Paumotu, przeszło tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandii i około cztery tysiące pięćset mil od brzegów Ameryki.

Cyrus Smith pomimo wysiłków pamięci nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, by w tej części Pacyfiku istniała jakaś wyspa w miejscu, które według jego obliczeń miała zajmować Wyspa Lincolna.

## ROZDZIAŁ XV

*Zapada decyzja przezimowania. — Hutnictwo. — Badanie Wysepki Wybawienia. — Polowanie na foki. — Schwytanie kolczatki. — „Leniwiec”. — Tak zwana metoda katalońska. — Produkcja żelaza. — Jak się otrzymuje stal.*

Nazajutrz, 17 kwietnia, pierwsze słowa, które marynarz skierował do Gedeona Spilletta, były:

— Jak tam, proszę pana? Kim dziś będziemy?

— Tym, kim Cyrus zechce — odparł reporter.

Dotychczas byli ceglarzami i garncarzami, teraz przypadło im z kolei zostać hutnikami.

Poprzedniego dnia po śniadaniu dotarli aż do samego końca cypla Przylądka Szczęk, odległego o siedem mil od Kominów. Tam kończył się długi łańcuch wydm, a ziemia nabierała wyglądu wulkanicznego. Nie było tam tak wysokich urwisk jak na Płaskowyżu Pięknego Widoku, lecz dziwaczne, fantastyczne skały, które otaczały wąską zatokę ujętą pomiędzy dwa przylądki, składające się z substancji mineralnych wyrzuconych przez wulkan. Po dotarciu do tego miejsca koloniści tą samą drogą ruszyli z powrotem i o zmierzchu przybyli do Kominów. Nie udali się jednak na spoczynek, zanim nie rozstrzygnęli ostatecznie kwestii, czy należało w ogóle zastanawiać się nad opuszczeniem Wyspy Lincolna.

Tysiąc dwieście mil oddzielających wyspę od archipelagu Paumotu stanowiło niemałą odległość. Łodzią nie dałoby się przebyć tej przestrzeni, zwłaszcza podczas zbliżającej się pory burz. Pencroff oświadczył to stanowczo. Wybudowanie zwykłego czółna, nawet gdy się miało pod ręką wszystkie potrzebne do tego narzędzia, było trudnym zadaniem. A koloniści nie mieli tych narzędzi, trzeba więc było zaczynać od wyrobu młotów, siekier, toporków, pił, świdrów, hebli i tak dalej, co wymagało sporo czasu. Postanowili zatem stanowczo przezimować na Wyspie Lincolna i poszukać sobie na zimę wygodniejszego mieszkania niż Kominy.

Przed wszystkim należało wykorzystać rudę żelazną, której pokłady inżynier zauważył w północno-zachodniej części wyspy, i przemienić ją bądź w żelazo, bądź też w stal.

<sup>128</sup>od południka Greenwich, który Amerykanie wspólnie z Anglikami przyjmują za punkt, od którego rozpoczynają liczyć stopnie długości geograficznej — dawniej we Francji jako południka zerowego używano południka przechodzącego przez obserwatorium w Paryżu; południk przechodzący przez brytyjskie obserwatorium w Greenwich przyjęto jako standard międzynarodowy na konferencji w Waszyngtonie w 1884, 10 lat po napisaniu tej powieści. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>Tahiti — wulkaniczna wyspa w południowej części Oceanu Spokojnego, w archipelagu Wysp Towarzystwa; największa wśród wysp Polinezji Francuskiej. [przypis edytorski]

Ziemia zazwyczaj nie zawiera metali w stanie zupełnie czystym. Przeważnie występują one w postaci związków z tlenem albo z siarką. Właśnie jedna z próbek, które przyniósł Cyrus Smith, była żelazem magnetycznym<sup>130</sup>, bez domieszki węglanów, a druga pirytem, czyli siarczanem żelaza. Pierwsza więc z nich była tlenkiem żelaza, który należało zredukować za pomocą węgla, to znaczy uwolnić od tlenu, aby uzyskać czysty metal. Redukcję wykonuje się, poddając rudę działaniu bardzo wysokiej temperatury w obecności węgla, albo też za pomocą szybkiej i łatwej metody katalońskiej, mającej tę zaletę, że przemienia rudę bezpośrednio w żelazo, bądź też metodą wielkich pieców, w której rudę zmienia się najpierw w surówkę żelaza, a potem dopiero tę surówkę w czyste żelazo, pozbawiając ją w ten sposób trzech do czterech procent połączonego z nią węgla.

Czego potrzebował Cyrus Smith? Czystego żelaza, a nie surówki. Postanowił zatem zastosować szybszą metodę redukcji. Zresztą znaleziona przez niego ruda była sama w sobie bardzo czysta i bardzo bogata. Należała do tego gatunku rudy tlenkowej, która występuje w ciemnoszarych bryłach, daje czarny pył i tworzy kryształy w kształcie regularnych ośmiościanów. Z tej właśnie rudy pochodzą naturalne magnesy i służy ona w Europie do wyrobu najlepszego żelaza, z którego słyną Szwecja i Norwegia. Niedaleko pokładów rudy znajdowały się złoża węgla kamiennego, z których koloniści już korzystali. To znacznie ułatwiało proces przetapiania rudy, gdyż potrzebne składniki znajdowały się pod ręką. To właśnie ta okoliczność jest powodem tak bogatej eksploatacji rudy w Zjednoczonym Królestwie<sup>131</sup>, gdzie w tym samym czasie i w tym samym miejscu wydobywa się rudę i węgiel potrzebne do produkcji metalu.

— A więc, panie Cyrusie — odezwał się Pencroff — zabierzemy się za przerabianie rudy żelaznej?

— Tak jest, przyjacielu — odparł inżynier — i dlatego rozpoczniemy, co zapewne się panu spodoba, od polowania na fokę na wysepce.

— Od polowania na fokę! — zawołał marynarz, zwracając się do Gedeona Spiletta.

— Więc do produkcji żelaza potrzeba fok?

— Oczywiście, skoro Cyrus tak twierdzi — odparł reporter.

Tymczasem inżynier wyszedł już z Kominów, a Pencroff przygotował się do polowania na fokę, nie otrzymawszy innego wyjaśnienia.

Niebawem Cyrus Smith, Harbert, Gedeon Spilett, Nab i marynarz zgromadzili się nad brzegiem morza w miejscu, gdzie w czasie odpływu można było przebyć cieśninę w bród. A że była to właśnie chwila największego odpływu, więc myśliwi przeszli całą cieśninę, mocząc się tylko do kolan.

Cyrus Smith po raz pierwszy postawił stopę na wysepce, a jego towarzysze po raz drugi, gdyż jak wiemy, właśnie tam wyrzucił ich balon.

Gdy wyszli na brzeg, setki pingwinów przypatrywały się im spokojnie. Uzbrojeni w kije koloniści mogli z łatwością utłuc ich całe mnóstwo, lecz taka masakra nie przyniosłaby im żadnej korzyści, tym bardziej że mogłoby to spłoszyć fokę, leżące zapewne na piasku kilkaset sążni dalej. Oszczędzili także nieszkodliwe bezlotki, których skrzydła, zredukowane do kikutów, były spłaszczone jak płetwy i pokryte piórami podobnymi do łusek.

Koloniści ostrożnie posuwali się w kierunku północnego krańca wysepki, idąc po terenie usianym małymi rozpadlinami, w których gnieździły się ptaki wodne. Na krańcu wysepki widać było duże czarne punkty pływające na powierzchni wody. Wyglądały jak czubki poruszających się skał.

Były to fokę, cel ich łowów. Trzeba było zaczekać, aż wyjdą na brzeg, gdyż dzięki wąskim miednicom, krótkiej i gęstej sierści oraz wrzecionowatemu kształtowi fokę są doskonałymi pływakami i bardzo trudno je schwytać w morzu, podczas gdy na lądzie z powodu swoich krótkich, płetwiastych nóg mogą zaledwie powoli pełzać.

Polowanie

<sup>130</sup>żelazo magnetyczne — tu: magnetyt, minerał z gromady tlenków, zawierający ok. 70% żelaza, najbogatsza i najlepsza dla przemysłu ruda żelaza. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>Zjednoczone Królestwo — tu: Zjednoczone Królestwa Szwecji i Norwegii. Od 1814 do 1905 Szwecja i Norwegia były połączone unią personalną, miały wspólnego monarchę i wspólną politykę zagraniczną. [przypis edytorski]

Pencroff znalazł ich zwyczajnie i radził czekać, aż wyciągną się na piasku, gdzie ogrzewane promieniami słońca wkrótce głęboko zasną. Należy zatem odciąć im odwrót od morza i uderzać je po nozdrzach.

Pochowali się więc za nadbrzeżnymi skałami, czekając w milczeniu.

Minęła godzina, zanim foki wyszły na piasek. Naliczyli ich pół tuzina. Wtedy Pencroff z Harbertem odłączyli się od reszty drużyny, aby obejść cypel wysepki, wziąć foki w dwa ognie i odciąć im odwrót. Tymczasem Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Nab, czołgając się wzdłuż skał, podkradali się na miejsce walki.

Nagle zza skał wynurzyła się sążnista<sup>132</sup> postać marynarza. Pencroff wydał głośny okrzyk. Inżynier ze swymi dwoma towarzyszami rzucili się czym prędzej pomiędzy morze a foki. Dwie sztuki padły martwe na piasku pod silnymi uderzeniami kija, lecz reszta zdołała dotrzeć do morza i odpłynąć.

— Oto foki, których pan potrzebował! — odezwał się marynarz, podchodząc do inżyniera.

— Dobrze — odparł Cyrus Smith. — Zrobimy z nich miechy kowalskie.

— Miechy! — zawołał Pencroff. — Miały szczęście te foki!

Istotnie, inżynier ze skóry fok zamierzał sporządzić rodzaj miechów niezbędnych przy przeróbce rudy. Zwierzęta były średniej wielkości, gdyż ich długość nie przekraczała sześciu stóp, a z pyska podobne były do psów.

Ponieważ nie było potrzeby dźwigać dwóch ciężkich zwierząt, Nab z Pencroffem postanowili ściągnąć z nich skóry na miejscu. W tym czasie Cyrus Smith z reporterem mieli oglądać resztę wysepki.

Marynarz i Murzyn zrećnie wywiązali się ze swego zadania i trzy godziny później Cyrus Smith miał do dyspozycji dwie surowe skóry focze, które zamierzał użyć w tym stanie, bez garbowania<sup>133</sup>.

Koloniści musieli zaczekać, aż morze znów opadnie, po czym, przeszedłszy w bród przez cieśninę, powrócili do Kominów.

Kosztowało ich немало pracy i trudu porozpinać te skóry na drewnianych ramach, aby się rozciągnęły, a następnie pozszywać je włóknami, tak by móc je napęczyć powietrzem i żeby się zbyt nie ulatniało. Kilkakrotnie musieli rozpoczynać pracę od nowa. Cyrus Smith miał do dyspozycji tylko dwa kawałki zaostrzonej stali zrobione z obroży Topa, mimo to jednak posługiwał się nimi tak zrećnie, a jego towarzysze tak pojętnie mu pomagali, że trzy dni później warsztat małej kolonii powiększył się o miech kowalski, przeznaczony do wdmuchiwania powietrza w środek poddawanej działaniu gorąca rudy, co jest niezbędnym warunkiem powodzenia tej operacji.

20 kwietnia od rana rozpoczęła się „epoka metalurgiczna”, jak ją nazwał reporter w swoich zapiskach. Inżynier postanowił, jak wiemy, produkować żelazo na miejscu, tam, gdzie znajdowały się pokłady węgla i rudy. Według jego obserwacji złoża te leżały u podnóża północno-wschodnich zboczy Góry Franklina, to jest w odległości sześciu mil. Nie można było nawet myśleć o tym, żeby co wieczór powracać do Kominów. Postanowiono więc koczować w szałasie uplecionym z gałęzi, tak żeby ta ważna praca trwała bez ustanku dzień i noc.

Po ustaleniu planu działania rankiem wyruszyli w drogę. Nab z Pencroffem na plecach z gałęzi nieśli miech oraz trochę zapasów roślinnych i zwierzęcych, które zamierzali uzupełnić w drodze.

Szli prosto przez Las Żłotopióra, przecinając go ukośnie od południowego wschodu na północny zachód, przez największą gęstwinę. Musieli utorować sobie drogę, która potem miała stanowić najkrótsze połączenie pomiędzy Płaskowyżem Pięknego Widoku a Górą Franklina. Wokół rosły wspaniałe drzewa, należące od gatunków, które już poznali. Harbert odkrył kilka nowych, między innymi smokowce<sup>134</sup>, które Pencroff na-

<sup>132</sup>sążnisty — wysoki, długi; por. sążeń: daw. jednostka miary długości wynosząca ok. 2 m. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>garbowanie — proces poddawania surowych skór zwierzęcych działaniu garbników, w celu nadania im miękkości, elastyczności i trwałości, stanowiący najważniejszą część działań prowadzących do otrzymania skóry wyprawionej. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>smokowiec — tu: potoczna nazwa drzew o charakterystycznej parasolowatej koronie, należących do rodzaju dracena, występujących subtropikalnych i tropikalnych rejonach Azji, Afryki oraz na Wyspach Kanaryjskich. [przypis edytorski]

zwał „pretensjonalnym porami”, pomimo bowiem swej wielkości należały do tej samej grupy liliowców<sup>135</sup>, co cebula, czosnek, szalotka<sup>136</sup> czy szparagi. Drzewo to posiada korzonki, które po ugotowaniu mają doskonały smak, a gdy się im pozwoli przez jakiś czas fermentować, dają bardzo przyjemny trunek. Zrobili więc spory zapas tych korzeni.

Droga przez las była długa i uciążliwa. Trwała cały dzień, ale za to można się było dokładnie przypatrzeć jego florze i faunie. Top, którego zajmowała szczególnie fauna, biegł wśród traw i zarośli i wystawiał<sup>137</sup> każdą bez różnicy zwierzynę. Harbert i Gedeon Spilett ubili z łuków dwa kangury i jedno zwierzątko bardzo podobne i do jeża, i do mrówkojada. Do jeża, gdyż zwijało się w kulkę i najeżało kolcami, do mrówkojada zaś, gdyż miało pazury takie jak do grzebania w ziemi, długi, wąski pyszczyk, zakończony jak ptasi dziób, i elastyczny język otoczony dokoła drobnymi kolcami, którymi przytrzymywało owady.

— A w garnku do czego będzie podobny? — zapytał oczywiście Pencroff.

— Do kawałka wspaniałej wołowiny — odparł Harbert.

— Niczego więcej od niego nie wymagamy — powiedział marynarz.

Podczas wyprawy spostrzegli kilka dzików, które jednak bynajmniej nie myślały zaczepiać grupki ludzi. Wydawało się więc, że nie napotkają niebezpiecznych drapieżników, gdy nagle w gęstwinie leśnej reporter spostrzegł o kilka kroków od siebie, pomiędzy dolnymi gałęziami drzewa, zwierzę, które wziął za niedźwiedzia, i zaczął je spokojnie szkicować. Na szczęście dla Gedeona Spiletta nie należało ono do tej groźnej rodziny stopochodnych<sup>138</sup>. Był to tylko koala<sup>139</sup>, bardziej znany pod nazwą leniwca<sup>140</sup>, wielkości dużego psa, o najeżonej, brudnoszarej sierści i łapach uzbrojonych w silne pazury, co ułatwiało mu łażenie po drzewach i żywienie się liśćmi. Po rozpoznaniu gatunku zwierzęcia, nie naruszając jego spokoju, Gedeon Spilett wykreślił z opisu rysunku słowo „niedźwiedź”, napisał zamiast tego „koala”, po czym ruszyli dalej.

O piątej po południu Cyrus Smith zarządził postój. Znajdowali się wówczas już poza obrębem lasu, u podnóża olbrzymich pasm bocznych, które od wschodu zdawały się podparć Górę Franklina. O kilkaset kroków dalej płynął Czerwony Potok, więc niedaleko była woda do picia.

Natychmiast urządzono koczowisko. W niespełną godzinę na skraju lasu pomiędzy drzewami stanął szałas z gałęzi i wikliny, obrzuconych gliną, który dawał dostateczne schronienie. Poszukiwania geologiczne odłożono do następnego dnia. Przygotowano kolację, przed szalaszem zapłonęło wielkie ognisko i zaczął się kręcić rożen. O ósmej, podczas gdy jeden z nich czuwał, by podtrzymać ogień na wypadek, gdyby w pobliżu wałęsały się jakieś niebezpieczne drapieżniki, pozostali spali już głębokim snem.

Nazajutrz, 21 kwietnia, Cyrus Smith udał się w towarzystwie Harberta na poszukiwanie terenu starych formacji geologicznych, gdzie wcześniej znalazł próbkę rudy. Znaleźli jej pokłady na powierzchni ziemi, prawie przy samym źródle Czerwonego Potoku, u podnóża jednego z północno-wschodnich poprzecznych pasm Góry Franklina. Bogata w żelazo ruda, zawarta w łatwo topliwej skale płonnej<sup>141</sup>, doskonale nadawała się do metody, którą inżynier zamierzał zastosować, mianowicie do metody katalońskiej, tylko nieco uproszczonej, tak jak się jej używa na Korsyce.

<sup>135</sup>*liliowce, Liliales* (biol.) — rząd roślin jednoliściennych, obejmujący gł. rośliny wieloletnie, wytwarzające zwykle jako organy przetrwalnikowe kłącza, bulwy lub cebule; w miarę rozwoju systematyki skład i podział tego rzędu znacznie się zmieniał. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*szalotka a. czosnek askaloński* (biol.) — roślina z rodziny czosnkowatych, używana jako warzywo. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*wystawiać* — tu o psie łowieckim: wskazywać myśliwemu nieruchomym ciałem miejsce, gdzie znajduje się zwierzyna. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*stopochodne* (biol.) — ssaki, które podczas poruszania się opierają się na całych powierzchniach stóp i dłoni. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*koala* (biol.) — nadrzewny torbacznik żyjący we wsch. Australii, z wyglądu przypominający niewielkiego niedźwiadka, spędzający większość życia na gałęziach drzew eukaliptusowych, których liśćmi się odżywia; z powodu zapewniającej niewiele energii diety jest ospały i większość doby przesypia. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*koala, bardziej znany pod nazwą leniwca* — leniwce należą do zupełnie innej grupy ssaków niż koale, zamieszkują inny region świata (Amerykę Śr. i Płd.), ale tak samo prowadzą nadrzewny i roślinożerny tryb życia i powoli się poruszają. Opis podany przez autora pasuje do obu rodzajów zwierząt. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*skala płonna* — skała, która przy wydobywaniu danej kopaliny jest uważana za nieużyteczną. [przypis edytorski]



Pełna metoda katalońska wymaga bowiem pieców i tygli, w których ruda, przekładana kolejno warstwami węgla, przetapia się i ulega redukcji. Jednak Cyrus Smith chciał się obejść bez tych urządzeń, zamierzał po prostu ułożyć z rudy i węgla duży sześcienny stos i w jego środek tłoczyć powietrze z miecha. Bez wątpienia metody tej używał jeszcze Tubal-Kain<sup>142</sup> i pierwsi metalurdzy świata. Otóż co się udało wnukom Adama, co wciąż dawało pomyślne wyniki w okolicach obfitujących w rudę i opał, musiało także udać się kolonistom na Wyspie Lincolna.

Węgla, podobnie jak rudy, nazbierali bez trudu i blisko, z powierzchni ziemi. Najpierw rozbili rudę na drobne kawałki i oczyścili ręcznie powierzchowne zanieczyszczenia. Następnie ułożyli na przemian rudę i węgiel warstwami w pryzmę, jak to się robi z drewnem przy wypalaniu węgla drzewnego. Tym sposobem pod wpływem tłoczonego miechem powietrza węgiel miał zamienić się w kwas węglowy<sup>143</sup>, a następnie w tlenek węgla, który działa redukująco na tlenek żelaza, czyli uwalnia z niego tlen.

Tak też postępował inżynier. Miech uszyty z foczej skóry, zaopatrzony na końcu w rurkę z ogniotrwałej gliny, wypaloną wcześniej w piecu garncarskim, umieszczono tuż przy pryzmie rudy. Wprowadzany w ruch za pomocą mechanizmu składającego się z drewnianego stelażu, sznurów z włókien oraz przeciwwagi, wprowadzał w pryzmę masę powietrza, które podnosząc temperaturę, brało jednocześnie udział w reakcji chemicznej mającej dać czyste żelazo.

Było to trudne przedsięwzięcie i trzeba było całej cierpliwości i zręczności kolonistów, aby je doprowadzić do pożądanego skutku. W końcu jednak udało się, a namacalnym rezultatem jego była bryła żelaza w stanie gąbczastym, którą trzeba było dopiero wykuć, aby pozbawić ją innych składników skały płonnej. Oczywiście naszym domorosłym kowalom brakowało pierwszego młota. W końcu byli w takiej samej sytuacji jak pierwszy hutnik, postąpili więc tak samo, jak on musiał postąpić.

Pierwsza bryła, osadzona w drewnianym trzonku, posłużyła za młot do wykucia na granitowym kowadle drugiej bryły. W ten sposób otrzymali wprawdzie pośledni, ale nadający się do użytku metal.

Wreszcie po wielu wysiłkach i trudach udało im się 25 kwietnia wykuć kilka sztab żelaza i przekształcić je w rozmaite narzędzia jak obcęgi, kleszcze, kilofy, motyki, które Pencroff i Nab uważali za istne cacka.

Metal ten jednak największy pożytek mógł przynieść kolonistom nie w postaci czystego żelaza, lecz jako stal. Otóż stal jest stopem żelaza i węgla, który otrzymuje się bądź z surówki, pozbawiając ją nadmiaru węgla, bądź też z żelaza, przez dodanie brakującego węgla. Pierwsza metoda, przez odwęglanie surówki, daje stal naturalną, zaś druga, przez nawęglanie żelaza, daje stal cementową.

Ten drugi sposób najbardziej odpowiadał Cyrusowi Smithowi, ponieważ posiadał żelazo w stanie czystym. Osiągnął swój cel, podgrzewając żelazo wraz ze sproszkowanym węglem w tyglu wykonanym z ogniotrwałej gliny.

Uzyskaną w ten sposób stal, dającą się na zimno i na gorąco dowolnie giąć i kształtować, obrobił porządnie młotem. Nab i Pencroff pod fachowym kierownictwem inżyniera sporządzili kilka ostrzy do siekier, które doskonale zahartowali, rozgrzewając do czerwoności, a potem szybko zanurzając w zimnej wodzie.

Takim sposobem sporządzili także inne narzędzia, oczywiście o prostych kształtach, jak ostrza do hebli, siekiery, toporki, stalowe klingi do wyrobu pił, dłuta ciesielskie, metalowe części motyk, łopat, kilofów, młotów oraz gwoździe.

Wreszcie dnia 5 maja zakończyła się pierwsza epoka metalurgiczna, a kowale powrócili do Kominów. Wkrótce nowe prace miały ich pasować na wykonawców innych zawodów.

## ROZDZIAŁ XVI

<sup>142</sup>Tubal-Kain — biblijny pierwszy kowal z czasów przedpotopowych (Rdz 4, 22). [przypis edytorski]

<sup>143</sup>kwas węglowy — tu w znaczeniu używanym w dawnej terminologii chemicznej: dwutlenek węgla. [przypis edytorski]

*Powraca kwestia mieszkania. — Fantastyczne projekty Pencroffa. — Badanie północnych brzegów jeziora. — Północny kraniec płaskowyżu. — Węże. — Brzegi jeziora. — Niepokój Topa. — Top wskakuje do wody. — Walka podwodna. — Diugon.*

Był dzień 6 maja, który odpowiada dniowi 6 listopada na półkuli północnej. Niebo od kilku dni było zachmurzone, należało więc pomyśleć o sposobie przezimowania. Co prawda temperatura nie obniżyła się jeszcze bardzo znacznie i termometr Celsjusza przeniesiony na Wyspę Lincolna wskazywałby dziesięć do dwunastu stopni powyżej zera. Ta temperatura nie powinna dziwić, gdyż Wyspa Lincolna, leżąca prawdopodobnie między trzydziстым piątym a czterdziстым równoleżnikiem, powinna na półkuli południowej znajdować się w takich samych warunkach klimatycznych, jak Sycylia lub Grecja na półkuli północnej. Lecz podobnie jak Grecja lub Sycylia doświadczają silnych chłódów, sprowadzających nieraz śnieg i zamarzanie wód, tak samo niewątpliwie i na Wyspie Lincolna w pełni zimy mogła się znacznie obniżyć temperatura, przeciw czemu trzeba się było z góry zabezpieczyć.

W każdym razie nawet jeśli na razie nie zagrażało zimno, to zbliżała się pora deszczowa, a na tej samotnej wyspie na środku Pacyfiku, wystawionej na morskie wichry, burze musiały być częste i straszne.

Należało więc poważnie rozważyć i niezwłocznie rozstrzygnąć kwestię znalezienia mieszkania odpowiedniejszego niż Kominy.

Pencroff miał oczywiście pewną słabość dla schronienia, które sam wyszukał, mimo to zgadzał się, że trzeba poszukać innego. Już raz morze wtargnęło do Kominów, w kamiennych okolicznościach, nie można więc było narażać się na powtórny taki wypadek.

— Zresztą — dodał Cyrus Smith, który tego dnia rozmawiał o tym z towarzyszami — musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— A to czemu? — zagadnął reporter. — Przecież wyspa nie jest zamieszkała.

— Możliwe — odparł inżynier — chociaż nie zbadaliśmy jej jeszcze w całości. Ale nawet jeśli ma na niej innych ludzi, obawiałbym się dzikich zwierząt. Musimy więc zabezpieczyć się przed możliwą napaścią, tak żeby co noc jeden z nas nie musiał czuwać przy rozpalonym ognisku. Poza tym, przyjaciele, trzeba wszystko przewidzieć. Znajdujemy się w tej części Pacyfiku, którą często odwiedzają piraci malajscy.

— Jak to? — odezwał się Harbert. — Tak daleko od jakiegokolwiek kawałka ziemi?

— Tak jest, mój chłopcze — odparł inżynier. — Ci piraci są równie śmiałymi żeglarzami, jak niebezpiecznymi złoczyńcami, więc musimy się podjąć odpowiednie środki ostrożności.

— Dobrze więc — odparł Pencroff — obwarujemy się tu przed dzikimi czworonogami i dwunogami. Ale czy nie byłoby dobrze, panie Cyrusie, zbadać najpierw całą wyspę, zanim coś postanowimy?

— Tak byłoby lepiej — dodał Gedeon Spilett. — Kto wie, czy na przeciwległym wybrzeżu nie znajdziemy jakiejś jaskini, której daremnie szukaliśmy tutaj?

— To prawda — odpowiedział inżynier — lecz nie zapominajcie o tym, przyjaciele, że musimy zamieszkać w pobliżu słodkiej wody i że patrząc z Góry Franklina, nie dostrzegliśmy na zachodzie żadnego strumienia ani rzeki. Tutaj natomiast mamy po jednej stronie Rzekę Dziękczynienia, a po drugiej Jezioro Granta, co stanowi znaczną zaletę, której nie należy lekceważyć. Co więcej, ta część wybrzeża, zwrócona na wschód, jest mniej niż tamta wystawiona na pasaty<sup>144</sup> wiejące na tej półkuli z północnego zachodu.

— A więc, panie Cyrusie — odezwał się marynarz — wybudujemy dom nad brzegiem jeziora. Nie brakuje nam teraz ani cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarnami, garniarzami, hutnikami i kowalami, to, do licha, możemy też zostać murarzami!

— Owszem, przyjacielu, ale zanim się na to zdecydujemy, trzeba się najpierw rozejrzeć. Mieszkanie zbudowane przez samą naturę oszczędziłoby nam sporo pracy i niewątpliwie byłoby znacznie bezpieczniejszym schronieniem, gdyż chroniłoby nas równie skutecznie przed wrogami z wnętrza wyspy, jak i przed przybyszami z zewnątrz.

— Bez wątpienia, Cyrusie — odparł reporter — ale przeszukaliśmy już cały ten granitowy masyw wybrzeża i nie znaleźliśmy nigdzie ani żadnej dziury, ani nawet szczeliny.

<sup>144</sup>pasat — ciepły, stały wiatr o umiarkowanej sile, wiejący w strefie międzyzwrotnikowej; na półkuli północnej pasaty wieją z północnego wschodu, zaś na południowej z południowego wschodu. [przypis edytorski]

— Ani jednej! — dodał Pencroff. — A gdybyśmy tak wykuli sobie mieszkanie w tej skale, na pewnej wysokości, tak żeby nie było do niego znikąd dostępu... O, to by było świetnie! Już je widzę, właśnie w tej fasadzie od strony morza, pięć lub sześć pokoiów.

— Z oknami, które by je oświetlały! — zawołał, śmiejąc się, Harbert.

— I ze schodami, po których by się wchodziło! — dodał Nab.

— Z czego się śmiejecie?! — zawołał marynarz. — Co jest w mojej propozycji niemożliwego? Czyż nie mamy kilofów i motyk? Czy pan Cyrus nie potrafiłby zrobić prochu, żeby wysadzić skały? Prawda, panie Cyrusie, że sporządzi pan proch, jeśli będzie nam potrzebny?

Cyrus Smith przysłuchiwał się, jak Pencroff z entuzjazmem rozwija swoje nieco fantastyczne projekty. Rozsadzić te masy granitowe, nawet za pomocą min prochowych, byłoby pracą iście herkulesową<sup>145</sup> i doprawdy należało ubolewać, że sama przyroda nie wykonała chociaż najuciążliwszej części. Inżynier jednak w odpowiedzi marynarzowi zaproponował tylko, aby dokładniej zbadać granitowe urwisko, poczynawszy od ujścia rzeki aż do północnej krawędzi.

Wyszli więc i podjęli staranne poszukiwania na przestrzeni blisko dwóch mil. Ale zbita i gładka ściana nie miała nigdzie najmniejszego wgłębienia. Gniazda skalnych gołębi okrążających jej szczyt były po prostu dziurami wyżłobionymi na samym jej szczycie i na nieregularnie poszarpanej krawędzi.

Była to niefortunna okoliczność, a o tym, by bądź to za pomocą kilofa, bądź też min prochowych, uzyskać w masywie dostateczne wydrążenie, nie można było nawet myśleć. Tylko przez przypadek Pencroff odkrył jedyne w całej tej części wybrzeża miejsce mogące posłużyć za tymczasowe schronienie, a miejscem tym były Kominy, które teraz trzeba było porzucić.

Ukończywszy poszukiwania, koloniści znaleźli się na północnej krawędzi granitowej ściany, gdzie przechodziła ona w stoki stopniowo opadające aż do piaszczystego wybrzeża. Poczynawszy od tego miejsca aż po najdalszy zachodni kraniec ściana zmieniała się w rodzaj skarpy, utworzonej z nagromadzonych stosów kamieni, ziemi i piasku, porośniętej tu i ówdzie krzewami, drzewkami i trawami, której nachylenie wynosiło tylko czterdzieści pięć stopni. Miejscami przeświecał nagi granit, tworząc ostre występy. Grupy drzew wznosiły się na stokach pokrytych dość gęstym kobiercem traw. Lecz tu kończyła się wszelka roślinność i od podnóża skarpy zaczynała się długa piaszczysta równina, ciągnąca się aż do samego brzegu morza.

Cyrus Smith sądził nie bez podstaw, że właśnie z tej strony powinna znajdować się kaskada, którą woda wypływa z jeziora. Nadmiar wody napływającej ustawicznie z Czerwonego Potoku musiał w którymś miejscu uchodzić. Tymczasem inżynier nie mógł znaleźć tego odpływu na żadnym z odwiedzonych już brzegów jeziora, to jest poczynawszy od ujścia potoku na zachód aż do Płaskowyzu Pięknego Widoku.

Inżynier zaproponował zatem towarzyszom wspięcie się na szczyt tej skarpy, której się właśnie przypatrywali, i powrót jej grzbietem do Kominów, przy czym po drodze zbadaliby północne i wschodnie brzegi jeziora.

Propozycja została przyjęta i w kilka minut później Harbert z Nabem stanęli na szczycie skarpy, a za nimi statecznym krokiem zdążali Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Pencroff.

O dwieście kroków stamtąd przez gałęzie drzew połyskiwała w słonecznych promieniach wspaniała płaszczyzna wodna. Krajobraz w tym miejscu był cudowny. Pożółkłe drzewa porozstawiane w malowniczych kępach zachwycaly oko. Tu i ówdzie pnie sędziwych drzew powalonych pod ciosami wieków odcinały się czarną korą od świeżej zieloności. Rozlegał się świergot hałaśliwych papużek kakadu, które jak barwne pryzmaty skakały z gałęzi na gałąź. Wydawało się, że to promienie słońca, przedzierając się przez listowie, rozprysnęły się we wszystkie barwy tęczy.

Zamiast udać się wprost ku północnym brzegom jeziora koloniści obeszlą dokoła skraj płaskowyzu, tak aby dostać się lewym brzegiem Czerwonego Potoku do jego ujścia. Tym sposobem nadłożyli najwyżej półtorej mili drogi. Droga była łatwa, gdyż rzadko rosnące drzewa pozostawiały wolne przejście. Widocznie tutaj kończyła się żyzna strefa, a roślin-

Natura

<sup>145</sup>*Herkules* (mit. gr.) — bohater słynny z ogromnej siły i wykonania 12 trudnych i niebezpiecznych zadań. [przypis edytorski]

ność była tu mniej obfita niż na całym obszarze pomiędzy Czerwonym Potokiem a Rzeką Dziękczynienia.

Cyrus Smith i jego towarzysze posuwali się ostrożnie po tej nieznaną sobie ziemi. Całe ich uzbrojenie stanowiły luki, strzały i okute żelazem kije. Nie spotkali jednak żadnego dzikiego zwierzęcia, widocznie wszystkie zamieszkiwały gęste lasy rozpościerające się na południu. Mieli niemiłą niespodziankę, gdy spostrzegli, że Top zatrzymał się przed potężnym wężem, mającym czternaście do piętnastu stóp długości. Nab jednym uderzeniem kija zabił go na miejscu. Cyrus Smith oglądając gada i oświadczył, że nie jest jadowity i że należy do gatunku węży diamentowych<sup>146</sup>, którymi żywią się mieszkańcy Nowej Południowej Walii<sup>147</sup>. Jednak na wyspie mogły istnieć także inne gady, których ukąszenie jest śmiertelne, na przykład żmija głucha<sup>148</sup> z rozwidlonym ogonem, która nagle rozwija się pod nogami człowieka, lub wąż latający<sup>149</sup>, mający parę jakby nauszników, które pozwalają mu osiągnąć niezwykłą szybkość. Top, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rozpoczął polowanie na gady z taką zaciekłością, że obawiali się o niego. Jego pan nieustannie przywoływał go do nogi.

Niebawem dotarli do miejsca, gdzie Czerwony Potok wpadał do jeziora. Na przeciwnym brzegu koloniści poznali okolicę, którą już odwiedzili, schodząc z Góry Franklina. Cyrus Smith stwierdził, że potokiem płynęły znaczne ilości wody, nie ulegało zatem wątpliwości, że gdzieś musiało istnieć naturalne ujście, którym wypływał nadmiar wody z jeziora. Chodziło o to, aby znaleźć ten odpływ, musiał on bowiem tworzyć wodospad, którego siłę mechaniczną można by było spożytkować.

Koloniści, idąc wolno, lecz nie oddalając się zbyt od siebie, zaczęli okrążyć urwisty brzeg jeziora. Wyglądało na pełne ryb, a Pencroff obiecywał sobie sporządzić jakiś sprzęt rybacki, aby móc je łowić do woli.

Przed wszystkim trzeba było obejść stromą skałę na północnym wschodzie. Można się było spodziewać, że właśnie tu znajduje się odpływ, gdyż skraj jeziora sięgał prawie aż do krańca płaskowyżu. Oczekiwania jednak zawiodły i koloniści podążyli dalej brzegiem jeziora, który po łagodnym zakręcie ciągnął się równoległe do wybrzeża morskiego.

Z tej strony brzegi jeziora były mniej lesiste, lecz porozrzucane tu i ówdzie kępy drzew dodawały krajobrazowi malowniczości. Jezioro Granta ukazywało się stąd w całej swojej rozciągłości, a żaden podmuch wiatru nie marszczył gładkiego zwierciadła wody. Top, buszując w krzakach, ploszył chmary rozmaitego ptactwa, do których Gedeon Spilett i Harbert wysłali strzały z luków. Jeden z tych ptaków, raniony celną strzałą Harberta, spadł w bagniste zarośla. Top rzucił się w tę stronę i przyniósł po chwili pięknego wodnego ptaka, popielatej barwy, o krótkim dziobie, silnie rozwiniętej kości czołowej, o palcach z szeroką festonową<sup>150</sup> obwódka i skrzydłach obwiedzionych białym obramowaniem. Była to łyska, wielkości dużej kuropatwy, należąca do grupy makrodaktyli<sup>151</sup>, stanowiącej grupę pośrednią między ptakami czaplowatymi a pletwonogimi. Nędzna to zdobycz i jej smak pozostawia wiele do życzenia. Ponieważ jednak Top był mniej wybredny od swoich panów, postanowiono uraczyć go tą łyską na kolację.

Następnie koloniści podążyli wschodnim brzegiem jeziora i niebawem mieli dojść do znanych sobie okolic. Inżynier był bardzo zdziwiony, nie spotkawszy nigdzie żadnego śladu zdradzającego odpływ wody z jeziora. Reporter i marynarz rozmawiali z nim o tym, a on nie ukrywał przed nimi swego zdumienia.

W tej chwili Top, dotąd całkiem spokojny, zaczął okazywać jakieś zaniepokojenie. Mądre zwierzę biegało tam i z powrotem wzdłuż brzegu, zatrzymywało się nagle i wlepiało

<sup>146</sup>wąż diamentowy, *Morelia spilota* (biol.) — średniej wielkości pyton z pld.-wsch. Australii, mający na ciemnym ciele liczne żółtawe plamki, stąd nazwa. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*Nowa Południowa Walia* — stan Australii położony w pld.-wsch. części kontynentu. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>żmija głucha z rozwidlonym ogonem — zapewne *Acanthophis*, rodzaj niezwykle jadowitych węży występujących w Australii. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>wąż latający — węzółot (*Chrysopelea ornata*), gatunek węży z pld. Azji, które potrafią rzucić się z drzewa i szybować lotem ślizgowym, szeroko rozszerzając żebra, dzięki czemu powierzchnia brzucha staje się wklęsłą; jad węzółotów jest niegroźny dla ludzi. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>feston — rodzaj wiszącej dekoracji z roślin bądź z tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>makrodaktyle, *Macroductiles* (daw. biol.) — dosł.: długopalce, rząd ptaków w dawnej klasyfikacji fr. zoologa Cuviera, charakteryzujący się długimi palcami stóp niepołączonymi ze sobą lub złączonymi błoną w niewielkim stopniu. [przypis edytorski]

wzrok w powierzchnię wody, podniósłszy jedną łapę do góry, jak gdyby wystawiając jakąś niewidzialną zwierzynę. Pies to zapalczywie szczekał, jak gdyby był na jakimś tropie, to znowu nagle milknął.

Początkowo ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali uwagi na zachowanie się psa, lecz w końcu ujadanie stało się tak zaciekle, że zaniepokoiło inżyniera.

— Co się dzieje, Top? — zapytał.

Pies w kilku susach powrócił do swojego pana, zdradzając widoczne zaniepokojenie, lecz wkrótce popędził znów nad brzeg jeziora. Nagle rzucił się do wody.

— Top, do nogi! — zawołał Cyrus Smith, obawiając się puszczać psa do tej podejrzanej wody.

— Co się tam dzieje pod wodą? — zapytał Peacroff, patrząc na powierzchnię jeziora.

— Pewnie Top zwierzył jakieś ziemnowodne zwierzę — odparł Harbert.

— Może aligatora? — powiedział reporter.

— Nie sądzę — odparł Cyrus Smith. — Aligatory występują tylko w krajach o niższej szerokości geograficznej.

Top tymczasem zawrócił na głos swojego pana i wylazł na brzeg, ale w żaden sposób nie mógł się uspokoić. Skakał w wysokiej trawie i sprawiał wrażenie, jakby wiedziony instynktem gonił za jakimś niewidzialnym stworzeniem płynącym pod wodą wzdłuż brzegów jeziora. Powierzchnia wody jednak była całkiem gładka, bez żadnej zmarszczki. Koloniści kilkakrotnie zatrzymywali się nad brzegiem, przypatrując się uważnie wodzie. Niczego nie zauważyli. Kryła się w tym jakaś tajemnica.

Inżynier był mocno zaciekawiony.

— Doprowadźmy nasze poszukiwania do końca — powiedział do swoich kolegów.

W pół godziny później doszli do południowo-wschodniego krańca jeziora i znaleźli się na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Tym samym badanie brzegów jeziora należało uznać za zakończone, a jednak inżynier nie zdołał w żaden sposób odkryć, którędy i w jaki sposób woda odpływa z jeziora.

— A jednak ten przelew musi się gdzieś istnieć — powtarzał inżynier — a ponieważ nie widać go z zewnątrz, to woda musiała go wyżłobić wewnątrz granitowego masywu wybrzeża.

— Ale czy to dla pana takie ważne, drogi Cyrusie? — zapytał Gedeon Spilet.

— Bardzo ważne — odparł inżynier — gdyż jeśli woda przewierciła sobie odpływ przez granitowy masyw, to być może istnieje tam jakaś pieczara, którą można by wykorzystać na mieszkanie po skierowaniu biegu wody w inną stronę.

— Ale czy nie jest też możliwe, panie Cyrusie — odezwał się Harbert — że woda odpływa dnem jeziora, uchodząc do morza przez jakiś podziemny kanał?

— Być może tak jest — odparł inżynier — a jeśli tak, to będziemy musieli sami wybudować sobie dom, bo natura nie wykonała za nas wstępnych prac.

Koloniści zamierzali przejść Płaskowyżem Pięknego Widoku, aby dostać się do Kominów, gdyż była już piąta po południu, gdy nagle Top zaczął znowu zaczął przejawiać niepokój. Szczekał zajadle i zanim jego pan zdołał powstrzymać, wskoczył po raz drugi do jeziora.

Wszyscy pobiegli na brzeg. Pies odpłynął już tymczasem o jakieś dwadzieścia stóp, a Cyrus przywoływał go ostro, gdy nagle olbrzymi łeb wynurzył się z wody, która w tym miejscu nie wydawała się zbyt głęboka.

Harbert od razu poznał ziemnowodne zwierzę, do którego należał ten wydłużony łeb z dużymi ślepiami, ozdobiony długimi, jedwabistymi wąsami.

— To manat<sup>152</sup>! — zawołał.

Nie był to manat, lecz zwierzę z gatunku należącego do tego samego rzędu waleni, zwane diugoniem<sup>153</sup>, mające nozdrza w górnej części pyska.

<sup>152</sup>*manat* — duży roślinożerny ssak wodny, żyjący w przybrzeżnych rejonach Atlantyku w strefie tropikalnej; w obecnej klasyfikacji manaty razem z diugoniem tworzą odrębny rząd brzegowców (syren), dawniej uznawanych za „roślinożerne walenie”. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*diugon* — duży roślinożerny ssak wodny zaliczany do rzędu brzegowców (syren), żyjący w lagunach, rzekach, zatokach i przybrzeżnych wodach mórz tropikalnych i subtropikalnych Oceanu Indyjskiego i zach. części Pacyfiku. [przypis edytorski]

Olbrzymie zwierzę rzuciło się na psa, który na próżno usiłował uciec przed nim na brzeg. Jego pan nie mógł mu w niczym dopomóc i zanim Spilettowi lub Harbertowi przyszło na myśl, by chwycić za luki, już pochwycony przez diugonia Top zniknął pod wodą.

Nab, trzymając w rękę okutą żelazem włócznię, chciał rzucić się na ratunek psu, gotów zaatakować groźne zwierzę w jego własnym żywiole.

— Nie, Nabie — powiedział inżynier, powstrzymując śmiałka.

Tymczasem pod wodą toczyła się walka, walka niepojęta, gdyż w tych warunkach Top nie mógł przecież stawiać oporu. Walka musiała być straszliwa, co było widać po spienionej powierzchni wody, a nie mogła zakończyć się inaczej jak tylko śmiercią psa! Wtem wśród spienionych fal pojawił się Top. Wyrzucony w powietrze jakąś nieznaną siłą, wznosił się na dziesięć stóp ponad powierzchnię wody, wpadł w nią z powrotem i wkrótce dopłynął do brzegu, bez żadnych cięższych obrażeń, ocalony doprawdy cudem.

Cyrus Smith i jego towarzysze patrzyli zdumieni, nie mogąc nic pojąć. W dodatku działo się coś jeszcze dziwniejszego! Wyglądało na to, że pod wodą wciąż trwa walka. Zapewne diugon, napadnięty przez jakieś inne potężne zwierzę, wypuścił psa i walczył teraz o własne życie.

Nie trwało to jednak długo. Woda zabarwiła się krwią, a ciało diugonia, otoczone rozszerzającą się szkarłatną plamą, wynurzyło się na powierzchnię i niebawem zatrzymało się na małej mieliźnie na południowym krańcu jeziora.

Koloniści pobiegli w to miejsce. Diugon nie żył. Było to olbrzymie zwierzę, długości piętnastu do szesnastu stóp, ważące trzy do czterech tysięcy funtów<sup>154</sup>. Na karku miał szeroką ranę, zadaną jakby ostrzem topora.

Co to mógł być za potwór, który tak strasznym ciosem powalił potężnego diugonia? Nikt nie mógł tego odgadnąć i przejęci tym zdarzeniem Cyrus Smith i jego towarzysze powrócili do Kominów.

## ROZDZIAŁ XVII

*Wycieczka do jeziora. — Prąd wody przewodnikiem. — Projekty Cyrusa Smitha. — Tłuszcz diugonia. — Użytek z łupków pirytowych. — Siarczan żelaza. — Jak się przyrządza glicerynę. — Mydło. — Saletra. — Kwas siarkowy. — Kwas azotowy. — Nowy wodospad.*

Nazajutrz, 7 maja, Cyrus Smith i Gedeon Spilett, zostawiwszy Naba zajętego gotowaniem śniadania, wyszli na Płaskowyż Pięknego Widoku, podczas gdy Harbert z Pen-croffem wyruszyli od ujścia rzeki w górę, aby uzupełnić zapas drewna.

Inżynier z reporterem przybyli niebawem do niewielkiej plaży na południowym końcu jeziora, gdzie zostało wyrzucone olbrzymie cielsko. Gromady ptaków obsiadły już tę górę mięsa i trzeba je było odpędzać kamieniami. Cyrus Smith bowiem chciał zachować tłuszcz diugonia i wykorzystać go na potrzeby kolonii. Także i mięso zwierzęcia powinno być wyśmienitym pożywieniem, gdyż w niektórych okolicach Malajów<sup>155</sup> podaje się je tylko do stołów miejscowych książąt. Ale to była sprawa Naba.

W tej chwili Cyrusowi krążyły po głowie inne myśli. Zdarzenie poprzedniego dnia utkwiło mu głęboko w pamięci i nie przestało go nurtować. Chciał przeniknąć tajemnicę podwodnej walki i przekonać się, co za krewniak mastodontów<sup>156</sup> czy innych morskich potworów zadał diugoniowi tak straszliwą, a dziwną ranę.

Stał więc nad brzegiem jeziora, obserwując i przypatrując się uważnie, ale nic nie dostrzegł pod powierzchnią wody, spokojnej i gładkiej, połyskującej w porannych promieniach słońca.

Na mieliźnie, gdzie leżało ciało diugonia, woda była dość płytka, lecz od tego miejsca dno jeziora stopniowo się obniżało i prawdopodobnie na samym środku było bardzo głę-

<sup>154</sup>*funt* — dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg; 4000 funtów to ok. 1800 kg, w rzeczywistości diugonie osiągają maksymalnie połowę tej wagi. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*Malaje* — nazwa stosowana do dawnych posiadłości brytyjskich na Półwyspie Malajskim, czyli w płd. części Półwyspu Indochińskiego. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*mastodont amerykański* — wymarły ssak z rodziny słoniowatych. [przypis edytorski]

bokie. Można je było uważać za rodzaj olbrzymiej niecki wypełnionej wodą z Czerwonego Potoku.

— Cóż, Cyrusie — zagadnął reporter — nie ma, zdaje mi się, w tej wodzie nic podejrzanego?

— Owszem, drogi Spilett — odparł inżynier — i doprawdy nie wiem, jak sobie wytłumaczyć wczorajsze zdarzenie.

— Przyznaję sam — ciągnął dalej Gedeon Spilett — że rana zadana temu zwierzęciu jest co najmniej dziwna. Nie umiem też wytłumaczyć, jak to możliwe, że Top z taką siłą wyleciał ponad wodę. Można by naprawdę uwierzyć, że to jakaś potężna ręka wyrzuciła go na powierzchnię i że ta sama ręka uzbrojona w sztylet uśmierciła następnie diugonia!

— Tak — odparł inżynier w zamyśleniu. — Jest w tym coś, czego w żaden sposób nie mogę zrozumieć. Ale czy zrozumiałe jest dla ciebie, drogi Spilett, w jaki sposób ja sam zostałem ocalony, wydobyty z fal morskich i przeniesiony pomiędzy wydmy? Prawda, że nie? Otóż i w tym widzę jakąś tajemnicę, którą niewątpliwie kiedyś się odkryjemy. Zaostrzmy więc naszą czujność, ale przy naszych towarzyszach nie wspominajmy więcej o wczorajszym zdarzeniu. Zachowajmy swoje spostrzeżenia dla siebie i róbmy dalej, co do nas należy.

Jak wiemy, inżynierowi nie udało się jeszcze odkryć, którędy uchodzi nadmiar wody z jeziora, a ponieważ nigdzie nie było śladów, żeby kiedyś przelała się wierzchem, zatem gdzieś musiał istnieć odpływ. Mocno się więc zdziwił, zauważywszy w tym miejscu dość wyraźny prąd. Wrzucił do wody kilka drobnych kawałków drzewa i stwierdził, że popłynęły w stronę południowego rogu. Idąc brzegiem, podążył za tym prądem i doszedł do południowego krańca jeziora.

Tutaj powierzchnia jeziora zdradzała pewną wklęsłość, jak gdyby woda wpadała nagle przez szczelinę w ziemi.

Cyrus Smith, przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał wyraźnie jakby szum podziemnej kaskady.

— To tutaj — powiedział, wpatrując się. — To właśnie tu uchodzi woda, tędy odpływa do morza podziemnym kanałem wyżłobionym w granicie, przez jakieś wydrążenia, które moglibyśmy zużytkować na naszą korzyść! Zresztą, przekonamy się zaraz!

Inżynier wyciął długą gałąź, ogołocił ją z liści i zanurzywszy ją w wodę w samym rogu kąta między obydwoma brzegami, natrafił na szeroki otwór, położony zaledwie o stopę pod powierzchnią wody. Był to otwór tego odpływu, którego dotąd na próżno szukali, a prąd wody był tak silny, że wydarł gałąź z rąk Cyrusa i pochłonął ją w swych nurtach.

— Teraz nie ma już żadnej wątpliwości — powtórzył Cyrus Smith. — W tym miejscu jest odpływ wody, a jego otwór muszę odsłonić.

— W jaki sposób? — zapytał Gedeon Spilett.

— Obniżając poziom wody w jeziorze o trzy stopy.

— Ale jak pan to zrobi?

— Dając wodzie inne ujście, szersze od tego.

— W którym miejscu, Cyrusie?

— W części brzegu położonej najbliżej morza.

— Ale tam jest brzeg granitowy! — zauważył reporter.

— No cóż, więc wysadzę ten granit — odparł Cyrus Smith — a woda w jeziorze opadnie i odsłoni ten otwór...

— A spadając na plażę, utworzy wodospad — dodał reporter.

— Którego siłę wykorzystamy! — odparł Cyrus. — A teraz chodźmy, chodźmy!

Tymi słowami porwał za sobą swego towarzysza, który obdarzał go takim zaufaniem, że nie wątpił w powodzenie jego zamiarów. A jednak jak zrobić otwór w ścianie z granitu, jak rozbić skały, bez prochu i mając tylko prymitywne narzędzia? Czy przedsięwzięcie, którego postanowił dokonać inżynier, nie przekraczało jego siły?

Cyrus Smith i reporter, powróciwszy do Kominów, zastali Harberta i Pencroffa zajętych wyładowywaniem przywiezionego drzewa.

— Drwale już skończyli robotę, panie Cyrusie — powiedział, śmiejąc się, marynarz — a jeżeli potrzeba panu będzie murarzy....

— Murarzy nie, ale chemików — odparł inżynier.

— Tak — dodał reporter. — Zamierzamy wysadzić wyspę w powietrze....

- Wysadzić wyspę! — zawołał Pencroff.
- Przynajmniej część — odparł Gedeon Spilett.
- Posłuchajcie, przyjaciele — powiedział inżynier.

Po czym zapoznał ich z wynikami swoich obserwacji. Według jego przypuszczenia w granitowej skale dźwigającej Płaskowyż Pięknego Widoku musiało istnieć mniejsze lub większe wydrążenie, do którego zamierzał dotrzeć. W tym celu należało przede wszystkim odsłonić otwór, którym odpływała woda, i w tym celu obniżyć jej poziom w jeziorze, dając jej szersze ujście. Wynikało stąd, że trzeba sporządzić materiał wybuchowy, mogący zrobić duży wyłom w innym punkcie brzegu jeziora. Tego zaś Cyrus Smith zamierzał dokonać za pomocą bogactw naturalnych, których mu dostarczała sama przyroda.

Nie trzeba dodawać, z jakim entuzjazmem wszyscy, a szczególnie Pencroff, przyjęli ten projekt. Używać potężnych środków, rozsadzać granity, tworzyć wodospady — marynarzowi było w to graj! Ponieważ inżynier potrzebował chemików, więc gotów był zostać chemikiem, tak jak gotów był zostać szewcem czy murarzem. Chętnie byłby wszystkim, czym tylko zechcą, nawet, jak się wyraził do Naba, „nauczycielem tańca i salonowych manier”, gdyby tego było potrzeba.

Nab z Pencroffem otrzymali przede wszystkim polecenie wydobywania tłuszczu z diugonia i zabezpieczenia mięsa przeznaczonego na pożywienie. Niezwłocznie udali się do swej pracy, nie pytając o dalsze wyjaśnienia. Mieli do inżyniera bezgraniczne zaufanie.

Wkrótce po nich Cyrus Smith, Harbert i Gedeon Spilett, zabrawszy ze sobą nosze z gałęzi, wyruszyli brzegiem rzeki w stronę pokładów węgla, gdzie znajdowała się wielka ilość łupków pirytowych, które spotyka się w najmłodszych formacjach przejściowych<sup>157</sup> i których próbkę Cyrus Smith znalazł wcześniej.

Cały dzień minął na znoszeniu pirytu do Kominów. Pod wieczór mieli już kilka ton.

Nazajutrz, 8 maja, inżynier rozpoczął swoje zabiegi. Łupki pirytowe składają się głównie z węgla, krzemu, glinu i dużych ilości siarczku żelaza. Chodziło o to, aby oddzielić siarczek żelaza i jak najprędzej przekształcić go w siarczan. Z uzyskanego siarczanu można było wydobyć kwas siarkowy.

To był cel całego przedsięwzięcia. Kwas siarkowy jest jednym z najczęściej używanych surowców i jego zużyciem można mierzyć przemysłowe znaczenie narodu. Ten kwas miał się później przydać kolonistom do wyrobu świec, do garbowania skór i tym podobnych celów, obecnie jednak inżynier potrzebował go do czego innego.

Cyrus Smith wybrał za Kominami stosowne miejsce, które starannie wyrównano. Tu ułożył stos z gałęzi i porąbanego drewna, a na nim poukładał kawałki łupku pirytowego, jedne na drugich, następnie po wierzchu przysypał je cienką warstwą pirytów potłuczonych na kawałki wielkości orzecha.

Po tych przygotowaniach podpalono drzewo. Żar przeniósł się na łupki, które zawierając węgiel i siarkę, rozżarzyły się płomieniem. Wtedy narzucono nowe warstwy potłuczonego pirytu, a z wierzchu przykryto cały ten wielki stos ziemią i trawą, pozostawiając tylko kilka otworów dla przewiewu, podobnie jak się postępuje przy wypalaniu węgla drzewnego.

Następnie zostawiono wszystko w spokoju do czasu, aż dokona się reakcja chemiczna, gdyż potrzeba było nie mniej niż dziesięć do dwunastu dni na to, by siarczek żelaza przemienił się w siarczan żelaza, zaś glin w siarczan glinu; obydwie te związki są rozpuszczalne, w przeciwieństwie do reszty, czyli do krzemu, wypalonego węgla i popiołu.

W czasie gdy dokonywał się ten proces chemiczny, Cyrus zarządził inne prace. Zabrali się do nich już nie z gorliwością, ale wręcz z zaciekłością.

Nab i Pencroff zebrali tłuszcz z diugonia i włożyli w duże kadzie z wypalanej gliny. Teraz z tłuszczu trzeba było przez zmydlenie wydzielić jeden ze składników, mianowicie glicerynę. Chcąc osiągnąć ten rezultat, wystarczyło potraktować go sodą<sup>158</sup> lub wapnem. Obie te substancje, działając na tłuszcz, tworzą z niego mydło, wytrącając równocześnie glicerynę, której właśnie potrzeba było inżynierowi. Wapna, jak wiemy, miał pod

<sup>157</sup>formacje przejściowe a. pośrednie (daw. geol.) — warstwy geologiczne z okresu pomiędzy „pierwotnymi” skalami ery archaiku a „drugorzędowymi” skalami z mezozoiku. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>soda — zwyczajowa nazwa różnych substancji chemicznych zawierających węgiel, wodorowęglan lub wodorotlenek sodu; tu: soda kalcynowana, czyli węglan sodu, Na<sub>2</sub>CO<sub>3</sub>. [przypis edytorski]



dostatkiem; lecz używając do tego procesu wapna, otrzymaliby mydło wapienne, nierozpuszczalne, a tym samym bezużyteczne, podczas gdy stosując sodę, otrzymuje się mydło rozpuszczalne, którego można używać w gospodarstwie domowym. Jako człowiek praktyczny Cyrus Smith powinien postarać się raczej o sodę. Czy to było trudne? Bynajmniej, gdyż wybrzeże obfitowało w rośliny morskie, solirody<sup>159</sup>, przypołudnikowate<sup>160</sup> i rozmaite wodorosty. Nagromadzili więc wielką ilość tych roślin, wysuszyli je, a następnie spalili w dołach na otwartym powietrzu. Ogień podtrzymywali przez kilka dni, aby żar osiągnął temperaturę potrzebną do stopienia popiołów. Rezultatem tego spalania była popielata, spoista masa znana od dawna pod nazwą naturalnej sody.

Po otrzymaniu sody inżynier dodał ją do tłuszczu, skutkiem czego otrzymał zarówno rozpuszczalne mydło, jak i substancję obojętną, glicerynę.

Ale to nie wszystko. Ze względu na swoje przyszłe plany Cyrus Smith potrzebował jeszcze innej substancji, mianowicie azotanu potasu, znanego bardziej pod nazwą saletry potasowej, czy po prostu saletry.

Cyrus Smith mógłby otrzymać tę substancję, poddając węglan potasu, dający się łatwo uzyskać z popiołu roślinnego, chemicznemu działaniu kwasu azotowego. Ale nie miał kwasu azotowego i chodziło mu koniec końców o uzyskanie właśnie tego kwasu. Powstało zatem błędne koło, z którego nigdy by nie wyszedł. Na szczęście sama przyroda przyszła mu z pomocą, dostarczając mu gotowej saletry, tak że wystarczyło po nią sięgnąć i nazbierać. Harbert odkrył jej pokłady na północy wyspy, u stóp Góry Franklina; trzeba było tylko ją oczyścić.

Te różnorodne prace trwały około tygodnia. Uwinęli się więc z nimi, zanim jeszcze dokonana się przemiana siarczku w siarczan żelaza. Resztę czasu koloniści poświęcili na wyprodukowanie z miękkiej gliny ogniotrwałych naczyń i na postawienie z cegieł specjalnego pieca, mającego służyć do późniejszej destylacji siarczanu żelaza. Wszystkie te prace zostały zakończone 18 maja, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy skończyła się przemiana chemiczna. Pod umiejętnym kierownictwem inżyniera Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff stali się najrzęczniejszymi robotnikami na świecie. Zresztą konieczność bywa najlepszą nauczycielką.

Gdy już przyma pirytu należycie się wypaliła, wówczas cały przetwór chemiczny, składający się z siarczanu żelaza, siarczanu glinu, krzemu, osadu węglowego i popiołu, zsypano do dużej kadzi napełnionej wodą. Po czym należycie wymieszano, a gdy się ustał, przedczono i otrzymano przejrzysty płyn, zawierający roztwór siarczanu żelaza i siarczanu glinu; inne składniki, jako nierozpuszczalne, pozostały w stanie stałym. Gdy płyn częściowo odparował, osadziły się kryształki siarczanu żelaza, a macierzysty roztwór, czyli nieodparowany płyn, zawierający siarczan glinu, wylano.

Cyrus Smith miał teraz do swojej dyspozycji znaczną ilość siarczanu żelaza w stanie skryształizowanym, chodziło więc tylko o to, aby wyciągnąć z niego kwas siarkowy.

W praktyce przemysłowej produkcja kwasu siarkowego wymaga kosztownych urządzeń. Potrzebne są duże fabryki, specjalne narzędzia, aparaty z platyny, ołowiane, kwasoodporne komory, w których zachodzi reakcja chemiczna i tak dalej. Inżynier nie miał do dyspozycji takiego sprzętu, wiedział jednak, że zwłaszcza w Czechach fabrykuje się kwas siarkowy w sposób dużo prostszy i z tą dodatkową korzyścią, że otrzymuje go się w większym stężeniu. Tak wytwarza się kwas zwany pod nazwą kwasu nordhauseńskiego<sup>161</sup>.

Do otrzymania kwasu siarkowego Cyrus potrzebował jeszcze tylko jednego zabiegu, a mianowicie należało prażyć kryształki siarczanu żelaza w zamkniętym naczyniu, tak by kwas siarkowy zamienił się w parę, z której następnie przez kondensację powstanie płynny kwas.

<sup>159</sup>*soliród*, *Salicornia* (biol.) — rodzaj roślin rosnących na zalewanych okresowo słoną wodą wybrzeżach mórz, na zasolonych moczarach itp.; popioły z saliródów przez długi czas wykorzystywano jako źródło sody do produkcji mydła i szkła. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*przypołudnikowate* — rodzina sukulentów liściowych, rosnących w strefie tropikalnej i subtropikalnej w miejscach suchych i silnie nasłonecznionych, często zasolonych, na pustyniach i wybrzeżach morskich. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*nordhauseński kwas* — kwas siarkowy dymiący, zwany także oleum, roztwór tlenku siarki (SO<sub>3</sub>) w bezwodnym kwasie siarkowym, uzyskiwany zwykle w trakcie produkcji kwasu siarkowego; dawniej największa produkcja oleum pochodziła z zakładów w Nordhausen, w Turynii, w środkowych Niemczech. [przypis edytorski]

Do tej właśnie czynności miały służyć ogniotrwałe naczynia, w których umieszczono kryształki, oraz piec, którego żar miał spowodować parowanie kwasu siarczanego.

Prace przeprowadzono perfekcyjnie i 20 maja, po dwunastu dniach od rozpoczęcia dzieła, inżynier stał się posiadaczem składnika, z którego zamierzał w przyszłości skorzystać na najrozmaitsze sposoby.

Do czego więc potrzebował tego składnika? Po prostu do wytworzenia kwasu azotowego, co mu przyszło z łatwością, gdyż saletra pod wpływem kwasu siarkowego daje drogą destylacji właśnie kwas azotowy.

Ale koniec końców co czego chciał użyć tego kwasu azotowego? To dla jego towarzyszy było tajemnicą, inżynier bowiem nie wyjawiał im ostatecznego celu swej pracy.

Cyrus tymczasem osiągnął swój cel, a ostatni proces dał mu wreszcie substancję, która wymagała tylu zabiegów.

Połączywszy kwas azotowy z gliceryną, zagęszczoną uprzednio przez odparowanie w łaźni wodnej<sup>162</sup>, otrzymał, nawet bez użycia mieszaniny oziębiającej, kilka kwart oleistego żółtawego płynu.

Ostatniej operacji Cyrus dokonał sam, na uboczu, z dala od Kominów, gdyż groziła ona eksplozją. A przyniósłszy ze sobą butelkę płynu, powiedział swoim przyjaciołom z prostotą:

— Oto mamy nitroglicerynę!

Był to istotnie ów straszliwy produkt, którego siła wybuchowa jest dziesięć razy większa od zwykłego prochu i który spowodował już tyle wypadków. Zresztą od kiedy wynaleziono sposób przekształcenia nitrogliceryny w dynamit, czyli połączenia jej z innym ciałem stałym, glinką lub cukrem, dość porowatym, aby ją wchłonąć, można było bezpiecznie używać tego groźnego płynu. Ale w owym czasie, kiedy koloniści znajdowali się na Wyspie Lincoln, nie znano jeszcze dynamitu.

— Więc to ten płyn ma porozsadzać skały? — zapytał Pencroff niedowierzająco.

— Tak jest, mój przyjacielu — odparł inżynier — a działanie nitrogliceryny będzie tym potężniejsze, że granit jest nadzwyczaj twardy i będzie stawiał większy opór sile wybuchu.

— A kiedy to zobaczymy, panie Cyrusie?

— Jutro, gdy tylko wydrążymy otwór do założenia miny — odparł inżynier.

Nazajutrz, 21 maja, minierzy udali się skoro świt na wschodni brzeg Jeziora Granta, który tworzył róg oddalony tylko o pięćset kroków od wybrzeża. W tym miejscu płaskowyż schodził poniżej poziomu wody w jeziorze, którą wężyla w nim tylko wąska granitowa grobla. Było zatem oczywiste, że po rozbiciu tego obramowania, woda ucieknie przez wyrwę, wartkim potokiem popłynie przez pochyłość płaskowyżu, a potem runie na plażę. Wskutek tego obniży się powierzchnia wody w całym jeziorze i odsłoni się otwór odpływowy — co było ostatecznym celem całego przedsięwzięcia.

Chodziło więc o to, aby rozsadzić to granitowe obramowanie. Pencroff pod kierownictwem inżyniera, uzbrojony w kilof, którym władał równie zręcznie jak dzielnie, zabrał się do granitu od zewnętrznej strony grobli. Dziura, którą zamierzał wydrążyć, rozpoczynała się na poziomej krawędzi zbocza i miała bieć ukośnie w głąb, tak aby jej koniec leżał znacznie poniżej poziomu wody w jeziorze. W ten sposób siła wybuchu, rozsadzisz skały, pozwoliłaby wodzie wylać się szerokim potokiem na zewnątrz, a wskutek tego znacznie obniżyłby się poziom wody w jeziorze.

Praca trwała długo, gdyż inżynier, chcąc wywołać potężny efekt, zamierzał poświęcić na ten cel najmniej dziesięć litrów nitrogliceryny. Ale Pencroff z Nabem pracowali na przemian tak dzielnie, że około godziny czwartej po południu otwór na minę był gotowy.

Pozostawała tylko do rozwiązania kwestia zapalenia substancji wybuchowej. Zazwyczaj nitroglicerynę zapala się za pomocą zapalników z piorunianu<sup>163</sup>, których wybuch pociąga

<sup>162</sup>łaźnia wodna — sprzęt laboratoryjny w postaci naczynia, za pośrednictwem którego ogrzewa się lub oziębia zanurzone w nim naczynia laboratoryjne wraz z ich zawartością; zaletą stosowania łaźni zamiast bezpośredniego podgrzewania naczynia z substancją chemiczną jest równomierne doprowadzanie ciepła i lepsza kontrola nad temperaturą podgrzewania. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>piorunian rtęci (chem.) — sól kwasu piorunowego i rtęci, Hg(CNO)<sub>2</sub>, najwcześniej poznany inicjujący materiał wybuchowy, stosowany od lat 20. XIX w. w detonatorach i spłonkach różnego rodzaju amunicji pistoletowej i karabinowej. [przypis edytorski]

za sobą główną eksplozję. Do wywołania eksplozji potrzebny jest bowiem silny wstrząs, gdyż zapalona nitrogliceryna wprawdzie będzie się palić, lecz nie wybuchnie.

Cyrus Smith z pewnością mógłby zrobić taki zapalnik. Nie mając piorunianu rtęci, mógł z łatwością, posiadając kwas azotowy, otrzymać substancję zbliżoną do bawełny strzelniczej<sup>164</sup>. Z takiej substancji można by zrobić nabój, wsunąć go w otwór napełniony nitrogliceryną, zapalić lontem i w ten sposób wywołać eksplozję.

Cyrus Smith wiedział jednak, że do wybuchu nitrogliceryny wystarczy wstrząs. Postanowił więc skorzystać z tej właściwości, gotów zresztą użyć innego sposobu, gdyby ten zawiódł.

Rzeczywiście do wywołania eksplozji wystarczy uderzyć młotem w kilka krople nitrogliceryny rozlanej na twardym kamieniu. Lecz ten, który by się podjął takiego uderzenia, musiałby sam paść ofiarą wybuchu. Cyrus Smith wymyślił zatem inny sposób. Na lince ze splecionych włókien roślinnych postanowił zawiesić ponad wydrążonym otworem bryłę żelaza, ważącą kilka funtów. Druga podobna, choć znacznie dłuższa linka z włókien, przesycona siarką, miała być jednym końcem przywiązana pośrodku pierwszej, podczas gdy jej drugi koniec miał zostać odprowadzony po ziemi na odległość kilkunastu stóp od otworuminy. Gdy zapali się tę linkę, będzie się palić, aż ogień sięgnie do połączenia z pierwszą, która z kolei zapali się i przerwie, wskutek czego bryła żelaza spadnie na krople nitrogliceryny.

Gdy wszystko przygotowano, inżynier, odesławszy swoich towarzyszy, napełnił otwór nitrogliceryną tak, że sięgała aż po same brzegi, i wylał kilka kropli na skałę, tuż pod zawieszoną nad nią bryłą żelaza.

Następnie Cyrus Smith chwycił koniec nasyconej siarką linki, zapalił go i powrócił do swych towarzyszy oczekujących go w Kominach.

Linka miała się palić przez dwadzieścia pięć minut i rzeczywiście po dwudziestu pięciu minutach nastąpił wybuch, którego nie sposób opisać. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała w posadach. W powietrze wystrzelił stos kamieni, jak gdyby wyrzucony przez wulkan. Podmuch powietrza spowodowany wybuchem był tak silny, że skały Kominów zachwiały się. Kolonistów powaliło na ziemię, chociaż znajdowali się o ponad dwie mile od miejsca wybuchu.

Podnieśli się, wspięli na płaskowyż i pobiegli do miejsca, gdzie brzeg jeziora miał być rozsadzony przez eksplozję...

Potrójne „hurra” wydarło się z ich piersi! W granitowej grobli ziała szeroka wyrwa. Woda buchała wartkim potokiem, pieniąc się, pędziła płaskowyżem, docierała do krawędzi i kaskadą spadała z wysokości trzystu stóp na plażę.

## ROZDZIAŁ XVIII

*Pencroff przestaje wątpić. — Dawny odpływ jeziora. — Wyprawa w głąb ziemi. — Droga przez granit. — Top znika. — Środkowa pieczara. — Podziemna studnia. — Tajemnica. — Przewiercenie granitowej ściany. — Powrót.*

Projekt Cyrusa Smitha powiódł się całkowicie, lecz sam jego twórca według swego zwyczaju nie okazywał najmniejszego zadowolenia i z zaciśniętymi ustami, z bystro wytężonym wzrokiem stał nieruchomy. Harbert wpadł w zachwyt, Nab skakał z radości, Pencroff kiwał swą dużą głową to w jedną, to w drugą stronę i mruczał pod nosem.

— Chwat z naszego inżyniera!

Istotnie skutki wybuchu nitrogliceryny były potężne. Powstała wyrwa była tak wielka, że wypływało przez nią co najmniej trzy razy więcej wody niż przez dawny odpływ. Należało się spodziewać, że wkrótce poziom wody w jeziorze obniży się co najmniej o dwie stopy.

Kolonisci pospieszyli do Kominów po kilofy, okute żelazem oszczepy, liny z włókien, krzesiwo i hubkę, po czym powrócili znów na płaskowyż. Towarzyszył im Top.

<sup>164</sup>bawełna strzelnicza — rodzaj nitrocelulozy o wysokiej zawartości azotu, stosowanej do produkcji materiałów wybuchowych; odkryta w 1845, otrzymywana przez działanie mieszanki kwasu siarkowego i azotowego na włókna bawełny. [przypis edytorski]

Po drodze marynarz nie mógł się dłużej powstrzymać i odezwał się do inżyniera.

— A wie pan, panie Cyrusie, że tą prześliczną miksturą, którą pan sfabrykował, można by wysadzić w powietrze całą naszą wyspę?

— Bez wątplenia — odparł Cyrus Smith — i wyspę, i wszystkie łądy, i nawet całą kulę ziemską. To tylko kwestia ilości.

— A czy nie można by użyć tej nitrogliceryny do nabijania broni palnej? — zagadnął marynarz.

— Nie, Pencroffie, jest to substancja zbyt gwałtowna. Moglibyśmy jednak z łatwością wytworzyć bawełnę strzelniczą, a nawet proch, gdyż mamy kwas azotowy, saletrę, siarkę i węgiel. Ale niestety nie mamy broni — w tym sęk.

— O, panie Cyrusie — odparł marynarz — przy odrobinie dobrej woli!...

Nie ulegało wątpliwości, że marynarz wykreślił całkiem słowo „niemożliwe” ze słownika używanego na Wyspie Lincolna.

Przybywszy na Płaskowyż Pięknego Widoku, koloniści niezwłocznie udali się na cypel jeziora, gdzie znajdował się otwór dawnego odpływu, który teraz powinien być odsłonięty. Ponieważ woda już tamtędy nie spływała, można by było zapewne wejść do środka kanału odpływowego i zbadać jego wewnętrzną konstrukcję.

Po kilku minutach koloniści dotarli do dolnego końca jeziora i jeden rzut oka przekonał ich, że cel został osiągnięty.

Istotnie ukazał się im w granitowym brzegu jeziora wystający teraz ponad powierzchnię wody, tak gorąco poszukiwany otwór. Dostęp do niego ułatwiał kawał skały, który odsłoniła opadająca woda. Wlot miał około dwudziestu stóp szerokości, ale tylko dwie stopy wysokości. Podobny był do otworów ściekowych umieszczanych wzdłuż chodników. Niełatwo byłoby więc wcisnąć się do niego. Ale Nab z Pencroffem chwycili za kilofy i w niespełną godzinę rozszerzyli go do należytych rozmiarów.

Wtedy inżynier, zbliżywszy się do otworu, przekonał się, że nachylenie ścian kanału odpływowego, przynajmniej w jego górnej części, nie wynosi więcej niż trzydzieści do trzydziestu pięciu stopni. Można było zatem zejść i byle nachylenie potem nie wzrastało, dotrzeć kanałem aż do samego poziomu morza. Jeśli zaś, co było bardzo prawdopodobne, wewnątrz masywu granitowego istnieje jakaś obszerniejsza pieczara, może da się ją wykorzystać.

— A zatem, panie Cyrusie, na co czekamy? — odezwał się marynarz, który pragnął jak najprędzej zapuścić się w wąski korytarz. — Widzi pan, Top już nas wyprzedził!

— Dobrze — odparł inżynier. — Ale nie możemy iść po omacku. Nabie, pobiegnij wyciąć kilka smolnych gałęzi.

Nab z Harbertem pobiegli nad brzeg jeziora, który ocieniały sosny i inne zielone drzewa, i wkrótce powrócili z gałęziami powiązаныmi w rodzaj pochodni. Zapalono je za pomocą krzesiwa i koloniści z Cyrusem na czele zapuścili się w ciemne czeluście, które jeszcze niedawno wypełniała woda.

Wbrew wszelkim przypuszczeniom średnica podziemnego kanału rozszerzała się coraz bardziej, tak że koloniści, zstępując na dół, niebawem mogli się wyprostować. Granitowe ściany, od wieków podmywane wodą, były bardzo śliskie i trzeba było uważać, by nie upaść. Toteż koloniści poprzywiązywali się jeden do drugiego linką, tak jak to robią alpinści wspinający się w górach. Na szczęście powyżłabiane w granicie występy skalne tworzyły rodzaj schodów, dzięki czemu schodzenie było mniej niebezpieczne. Kropelki wody, zwisające jeszcze na skałach, połyskiwały tysiącem barw przy blaskach pochodni. Zdawało się, że ściany pokryte są nieprzeliczoną ilością stalaktytów<sup>165</sup>. Inżynier przyjrzał się uważnie czarnemu granitowi. Nie było w nim widać żadnego uwarstwienia ani żadnych rys. Skała była zbita, spoista i drobnoziarnista. A zatem kanał istniał od samego początku wyspy. To nie woda wydrążyła go z wolna i stopniowo. Nie Neptun<sup>166</sup>, lecz Pluton<sup>167</sup> wykuł go swą dłonią i widać było na ścianach ślady jego podziemnej roboty, wciąż jeszcze nie całkiem zatarte, pomimo tak długiego działania wody.

Koloniści schodzili bardzo wolno. Trudno zaprzeczyć, że doznawali wszyscy pewnego wzruszenia, zapuszczając się w głąb masywu, gdzie nigdy jeszcze nie powstała stopa ludzka.

<sup>165</sup>stalaktyt — naciek wapienny w postaci sopła zwisającego ze stropu jaskini. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>Neptun (mit. rzym.) — bóg wód. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>Pluton (mit. rzym.) — bóg świata podziemnego. [przypis edytorski]

Milczeli i rozmyślali, i niejednemu z nich przyszło na myśl, że być może w wewnętrznych pieczarach, mających połączenie z morzem, mieszka jakaś ośmiornica lub inny gigantyczny głowonóg. Należało więc posuwać się z pewną ostrożnością.

Zresztą na czele grupki biegł Top, więc można było polegać na zmyślnym psie, który w razie jakiegoś niebezpieczeństwa bez wątpienia zaalarmowałby wszystkich.

Po zejściu stu stóp dość krętym korytarzem idący na przedzie Cyrus Smith zatrzymał się, a towarzysze dołączyli do niego. Miejsce, w którym się zatrzymali, tworzyło rodzaj średniej wielkości pieczary. Ze sklepienia spadały krople wody, nie pochodzącej jednak z przesiąkania przez granit. Były to po prostu ostatnie ślady potoku, który tak długo huczał w tej pieczarze, a powietrze, lekko wilgotne, nie zawierało żadnych cuchnących wyciewów.

— No cóż, drogi Cyrusie? — odezwał się Gedeon Spilett. — Oto mamy schronienie nikomu nieznanne, głęboko ukryte w skale, ale krótko mówiąc nie nadaje się do zamieszkania.

— Dlaczego nie nadaje się? — zapytał marynarz.

— Bo jest za małe i za ciemne.

— Czyż nie możemy go powiększyć, wydrążyć, porobić w nim otworów, którymi by docierało powietrze i słońce? — odparł Pencroff, który teraz w nic już nie powątpiewał.

— Idźmy dalej — odezwał się Cyrus Smith. — Może gdzieś niżej przyroda oszczędzi nam tej pracy.

— Jesteśmy dopiero na jednej trzeciej wysokości — zauważył Harbert.

— Mniej więcej na jednej trzeciej — odparł Cyrus Smith — gdyż zesliśmy na głębokość jakichś stu stóp od wylotu, więc bardzo możliwe, że sto stóp poniżej...

— Gdzie Top? — zapytał Nab, przerywając swojemu panu.

Przeszukano pieczarę. Psa nie było.

— Zapewne pobiegł naprzód — powiedział Pencroff.

— Chodźmy za nim — odparł Cyrus Smith.

Ruszyli więc dalej w głąb. Inżynier przypatrywał się uważnie wszystkim zakrętom i pomimo że było ich dużo, zapamiętał z łatwością ogólny kierunek, którym kanał zmierzał w stronę morza.

Koloniści zeszli jeszcze jakieś o pięćdziesiąt stóp niżej, gdy ich uwagę zwróciły dalekie odgłosy, dochodzące z głębi podziemia. Zatrzymali się więc, wyęzając słuch. Dźwięki te, wychodząc z korytarza niby z tuby akustycznej<sup>168</sup>, docierały wyraźnie do ich uszu.

— To szczekanie Topa! — zawołał Harbert.

— Tak — odparł Pencroff — i to zaciekle ujada nasz pocziwy pies.

— Mamy przy sobie okute oszczepy — powiedział Cyrus Smith. — Miejmy się na baczności i naprzód!

— To staje się coraz ciekawsze — szepnął Gedeon Spilett do ucha marynarzowi, który kiwnął potakująco głową.

Cyrus Smith i jego towarzysze pobiegli więc na pomoc psu. Szczekanie Topa stawało się coraz wyraźniejsze. W jego urywanym głosie brzmiała jakaś niezwykajna wściekłość. Może walczył z jakimś zwierzęciem, które wypłoszył z kryjówek? Kolonistów opanowała niepohamowana ciekawość, tak że zapomnieli zupełnie o niebezpieczeństwie, na jakie się narażali. Już nie schodzili, lecz wręcz ześlizgiwali się wzdłuż pochyłości kanału, i w kilka minut później, o sześćdziesiąt stóp niżej dotarli do miejsca, gdzie znajdował się Top.

Tu korytarz rozszerzał się nagle i tworzył obszerną, wspaniałą pieczarę. Po niej wzdłuż i wszerz biegał Top, zajadłe szczekając. Pencroff i Nab, machając pochodniami, oświetlali chropowate ściany granitowe szerokimi strugami światła, podczas gdy Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Harbert stali w pogotowiu z najeżonymi oszczepami.

Olbrzymia pieczara była jednak całkiem pusta. Koloniści przeszukali ją starannie wzdłuż i wszerz. Nie było w niej nic, ani żadnego zwierzęcia, ani żadnej innej żywej istoty! A jednak Top nie przestawał szczekać i ani prośby, ani groźby nie zdołały go uciszyć.

— Musi tu być gdzieś szczelina lub otwór, przez który woda odpływała do morza — powiedział inżynier.

<sup>168</sup>tuba akustyczna a. głosowa — urządzenie złożone z dwóch stożków połączonych rurą powietrzną, przez które mowę można przemieszczać pomiędzy pomieszczeniami; w XIX w. używane do komunikacji wewnętrznej na statkach i w biurach; wyparte przez telefon. [przypis edytorski]

— Rzeczywiście — odparł Pencroff — uważajmy, żeby do niego nie wpaść.

— Szukaj, Top, szukaj! — zawołał Cyrus Smith.

Pies, zachęcony słowami swego pana, pobiegł na sam koniec pieczary i tam zaczął szczekać ze zdwojoną zapalczewością.

Poszli za nim i tu, w świetle pochodni, zobaczyli otwór studni ciemniejszy w granicie. Tędy właśnie woda odpływała do morza; lecz nie był to już ukośny korytarz, którym by można było iść, ale studnia o pionowych ścianach, po których nie dało się zejść.

Nachylnono pochodnie nad otworem. Nic nie było widać. Cyrus Smith odłamał palącą się gałązkę i rzucił ją w przepaść. Płonąca żywica wskutek szybkiego lotu buchnęła jeszcze jaśniejszym płomieniem i oświetliła wnętrze studni. Mimo to nadal nie było nic widać. Potem płomień zgasł z lekkim sykiem, co świadczyło o tym, że gałąź wpadła do wody, czyli dosięgła poziomu morza.

Inżynier obliczył czas spadania i oszacował głębokość studni na dziewięćdziesiąt stóp.

Z tego wynikało, że dno pieczary, w której się znajdowali, znajdowało się dziewięćdziesiąt stóp ponad poziomem morza.

— Oto nasze mieszkanie — powiedział Cyrus Smith.

— Ale przedtem zamieszkiwało je jakieś stworzenie — odparł Gedeon Spilet, który jeszcze nie zaspokoił swojej ciekawości.

— Jakikolwiek to było stworzenie — odparł inżynier — dość że umknęło tym otworem i ustąpiło nam miejsca.

— Bądź co bądź — dodał marynarz — chciałbym kwadrans temu być w skórze Topa, bo na pewno nie czekał bez powodu!

Cyrus Smith spoglądał na psa i gdyby w tej chwili któryś z jego towarzyszy stał bliżej niego, usłyszałby, jak mruknął pod nosem:

— Wierzę, że Top niejedną rzecz lepiej wie od nas!

Marzenia kolonistów zostały zatem w znacznej części spełnione. Przysłużył im się szczęśliwy traf, któremu przysłała z pomocą niezwykła mądrość ich przywódcy. Mieli teraz do dyspozycji obszerną pieczarę, której wielkości nie byli jeszcze w stanie ocenić przy słabym świetle pochodni, ale z pewnością nietrudno byłoby podzielić ją ściankami z cegieł na pokoje i dostosować jeśli już nie na porządną dom, to przynajmniej na obszerne mieszkanie. Woda opuściła ją i nie mogła powrócić. Miejsce zatem było wolne.

Pozostawały do usunięcia dwie trudności: po pierwsze, oświetlenie pieczary wydrążonej w litym masywie granitowym, po drugie zaś ułatwienie dostępu do niej. Nie sposób było myśleć o oświetleniu jej z góry, gdyż granitowe sklepienie miało ogromną grubość, ale być może dałoby się przebić przednią ścianę zwróconą w stronę morza. Cyrus Smith który podczas schodzenia obliczył w przybliżeniu nachylenie, a stąd i długość kanału, miał podstawy, by sądzić, że przednia część ściany nie powinna być zbyt gruba. Gdyby dało się oświetlić pieczarę od tej strony, rozwiązałyby się także sprawa dostępu, bo równie łatwo można przebić drzwi, jak i okna, i postawić na zewnątrz drabinę.

Cyrus Smith podzielił się swoim pomysłem z towarzyszami.

— A zatem do dzieła, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff. — Mam swój kilof i spróbuję przebić tę ścianę. Gdzie trzeba walić?

— Tu — odparł inżynier, wskazując dzielnemu marynarzowi dość znaczne zagłębienie w ścianie, które powinno zmniejszać jej grubość w tym miejscu.

Pencroff przypuścił atak na skałę i przez pół godziny pracował przy świetle pochodni tak, że odłamki granitu latały dokoła. Skała pod ciosami kilofa sypała iskry. Potem zastąpił go Nab, a po nim Gedeon Spilet.

Praca trwała już dwie godziny i zaczęli się już obawiać, czy grubość skały w tym miejscu nie przewyższa długości kilofa, gdy wtem, przy ostatnim uderzeniu wymierzonym przez Gedeona Spileta, kilof przebił ścianę na wylot i wypadł na zewnątrz.

— Hurra! Hurra! — zawołał Pencroff.

Ściana miała w tym miejscu tylko trzy stopy grubości.

Cyrus Smith przyłożył oko do otworu znajdującego się dziewięćdziesiąt stóp ponad ziemią. Przed nim rozpościerał się brzeg morski, wysepka, a dalej za nią nieskończony ocean.

Przez ten dość szeroki otwór, gdyż skała znacznie się rozpadła, wpłynęła struga światła i oblewając wspaniałą pieczarę, wywołała magiczny efekt. Po lewej stronie pieczara

miała nie więcej jak trzydzieści stóp wysokości, tyle samo szerokości i sto stóp długości, natomiast po prawej stronie była olbrzymia, a jej zaokrąglone sklepienie wznosiło się na wysokości osiemdziesięciu stóp. Tu i ówdzie nieregularnie stojące filary podtrzymywały łuki sklepienia jak w nawie katedry. Sklepienie, wsparte na tych podporach, tu obniżając się łagodnie, ówdzie strzelając w górę gałęziami arkad, to znów gubiąc się w ciemnych kruzgankach, których fantastycznie wygięte łuki majaczyły w cieniu, ozdobione licznymi występami tworzącymi wiszące ornamenty, stanowiło malowniczą mieszaninę wszystkich stylów architektury bizantyjskiej, romańskiej i gotyckiej, jakie kiedykolwiek stworzyła ręka ludzka. A jednak było to tylko dzieło natury. To ona wykuła w granitowych masach tę czarodziejską Alhambę<sup>169</sup>!

Koloniści zamarli z zachwytem. Tam, gdzie spodziewali się zastać ciasną jamę, znaleźli cudowny pałac. Nab odkrył głowę, jak gdyby znalazł się nagle w świątyni.

Ze wszystkich ust wydarły się okrzyki zachwytem. Kilkakrotne „hurra” zagrzmiało i rozpryszy się w echem, stopniowo zamarło w głębi mrocznych naw.

— Przyjaciele! — zawołał Cyrus Smith. — Kiedy oświetlimy dostatecznie wnętrze tego masywu i podzielimy lewą część na pokoje mieszkalne, składy i spichrze, pozostanie nam jeszcze ta wspaniała grota, którą przeznaczymy na salę naukową i muzeum.

— A jak ją nazwiemy? — zapytał Harbert.

— Nazwiemy ją Granitowym Pałacem — odparł Cyrus Smith, a jego towarzysze powitali tę nazwę nowymi okrzykami radości.

Pochodnie dopalały się, a ponieważ, aby wrócić na płaskowyż, trzeba było przejść z powrotem ciemnym korytarzem, postanowili odłożyć pracę nad urządzeniem nowego mieszkania do następnego dnia.

Na odchodnym Cyrus Smith jeszcze raz nachylił się nad otworem ciemnej studni, biegnącej prostopadle do poziomu morza. Przysłuchiwał się z wielką uwagą. Nie usłyszał jednak żadnego dźwięku, nawet szmeru fal, które wzburzone morze musiało rozkołysać czasem w tych głębinach. Wrzucił jeszcze jedną zapaloną gałązkę. Ściany studni oświetliły się na chwilę, ale tak jak za pierwszym razem nie dostrzegł nic podejrzanego. Jeśli jakiś potwór morski został tu zaskoczony przez nagły odpływ wody, musiał już zapewne schronić się do morza podziemnym korytarzem ciągnącym się pod wybrzeżem, to znaczy kanałem, którym odpływała woda z jeziora, zanim została skierowana do nowego ujścia.

Inżynier stał nieruchomo, wytyżając słuch, ze wzrokiem wlepionym w otchłań, nie mówiąc ani słowa.

Marynarz zbliżył się do niego i dotykając jego ramienia, powiedział:

— Panie Smith!

— Czego sobie życzysz, przyjacielu? — odparł inżynier, jakby zbudzony ze snu.

— Pochodnie niebawem zgasną.

— A więc w drogę! — odparł Cyrus Smith.

Grupka kolonistów opuściła pieczarę i zaczęła wspinać się pod górę ciemnym korytarzem. Top zamykał pochód, warcząc jeszcze od czasu do czasu. Droga była dość uciążliwa. Zatrzymali się chwilę w górnej grocie, która tworzyła rodzaj półpietra w połowie długich granitowych schodów. Potem ruszyli dalej.

Wkrótce owiało ich świeże powietrze. Kropelki wody zdążyły wyparować i nie pływowały już na ścianach. Pełgające światło pochodni bladło coraz bardziej. Pochodnia Naba całkiem zgasła i trzeba się było spieszyć, żeby nie błądzić w zupełnych ciemnościach.

Tak też zrobili i nieco przed czwartą, w chwili gdy z kolei zgasła pochodnia marynarza, Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli do otworu odpływowego.

## ROZDZIAŁ XIX

*Plan Cyrusa Smitha. — Fasada Granitowego Pałacu. — Drabina sznurowa. — Marzenia Pencroffa. — Aromatyczne zioła. — Naturalna królikarnia. — Doprowadzenie wody na potrzeby nowego mieszkania. — Widok z okien Granitowego Pałacu.*

<sup>169</sup>Alhambra (od arab. *al hamra*: czerwona) — obronny zespół pałacowy, zbudowany jako siedziba emirów w XIII–XIV w. na wzgórzu nad Grenadą; arcydzieło architektury muzułmańskiej w Hiszpanii. [przypis edytorski]

Nazajutrz, 22 maja, rozpoczęto prace nad przygotowaniem nowego mieszkania. Kolonistom spieszo było zamienić niewygodne schronienie w Kominach na obszerne i zdrowe mieszkanie, wydrążone głęboko w skale, osłonięte zarówno od wody morskiej, jak i od deszczu. Jednak Kominów nie zamierzali całkiem porzucić, lecz zgodnie z planem inżyniera przeznaczyć je na warsztaty do większych prac.

Pierwszą troską inżyniera było przekonać się, w którym dokładnie miejscu znajdowała się fasada Granitowego Pałacu. Udał się więc na wybrzeże, do samego podnóża granitowej ściany, a ponieważ kilof, wymknąwszy się reporterowi z ręki, musiał spaść pionowo, wystarczyło go tylko odszukać, aby zarazem znaleźć miejsce, gdzie została wybita dziura w granicie.

Kilof znaleźli z łatwością. I rzeczywiście o osiemdziesiąt stóp w linii pionowej ponad miejscem, gdzie ugrzązł w piasku, czerniał otwór. Kilka gołębi skalnych wlatło i wylatło przez ciasną dziurę, jak gdyby Granitowy Pałac został odkryty właśnie dla nich.

Inżyniera plan był taki, aby prawą część pieczary podzielić na kilka izb z przedsionkiem i oświetlić je pięcioma oknami i drzwiami wybitymi w fasadzie. Pencroff ze swej strony zgadzał się na okna, lecz nie rozumiał, po co potrzebne są drzwi, skoro dawny kanał odpływowy tworzył naturalne schody, którymi zawsze łatwo będzie dostać się do Granitowego Pałacu.

— Przyjacielu — odparł na to Cyrus Smith — skoro nam łatwo dostać się tym korytarzem do mieszkania, to równie łatwe będzie to dla innych. Mam zamiar zawalić ten wylot kawałkami skał, zatkać go szczelnie, a nawet, gdyby trzeba było, zupełnie go zasłonić, podnosząc za pomocą tamy poziom wody w jeziorze.

— A jak będziemy wchodzić? — zapytał marynarz.

— Po zewnętrznej drabinie — odparł Cyrus Smith. — Po drabince sznurowej, którą będziemy mogli w każdej chwili wciągnąć do góry, odcinając dostęp do naszego mieszkania.

— Po co taka ostrożność? — odpowiedział Pencroff. — Dotychczas zwierzęta nie wyglądały zbyt groźnie. A co do ludzi, to na naszej wyspie ich nie ma.

— Czy jest pan tego pewny, Pencroffie? — zapytał inżynier, mierząc marynarza wzrokiem.

— Nie będziemy oczywiście pewni, dopóki nie zbadamy wszystkich części wyspy — odparł Pencroff.

— Tak jest — powiedział Cyrus Smith — a dotychczas znamy tylko niewielką jej część. W każdym razie nawet jeśli nie mamy nieprzyjaciół wewnątrz wyspy, mogą nadciągnąć z zewnątrz, a ta część Pacyfiku nie jest bezpieczna. Przygotujmy się więc na wszelki wypadek.

Cyrus Smith mówił mądrze, więc Pencroff, nie spierając się dłużej, gotów był odtąd na wszelkie jego rozkazy.

W fasadzie Granitowego Pałacu postanowiono zatem zrobić drzwi oraz pięć okien oświetlających część mieszkalną, podczas gdy do wspaniałej nawy przeznaczonej na salę zamierzali wpuścić światło przez jeden przestronny otwór i kilka okrągłych okienek. Fasada, wznosząca się osiemdziesiąt stóp ponad ziemią, skierowana była na wschód, tak że padały na nią pierwsze poranne promienie słońca. Znajdowała się w granitowym murze pomiędzy występem skalnym przy ujściu Rzeki Dziękczynienia a linią biegnącą pionowo od zwalisk skał tworzących Kominy. W ten sposób nieznosne wichry północno-wschodnie uderzały w nią tylko z ukosa, gdyż zasłaniał ją od tej strony występ skalny. Zresztą, dopóki nie będą gotowe futryny okien, inżynier zamierzał zasłonić otwory grubymi okiennicami, które nie przepuszczałyby ani wiatru, ani deszczu i które w razie potrzeby można by było przemykać.

Pierwszym zadaniem było przebicie otworów. Kucie kilofem w tej twardej skale zajęłoby zbyt wiele czasu, a Cyrus Smith, jak wiemy, był miłośnikiem radykalnych środków. Posiadał jeszcze trochę nitrogliceryny i zrobił z niej odpowiedni użytek. Substancję wybuchową umieszczono gdzie należy i granit rozpękał się w miejscach wyznaczonych przez inżyniera. Następnie za pomocą kilofów i oskardów nadali ostrołukowe kształty pięciu oknom, wykończono szeroką niszę nawy, okrągłe okienka i drzwi, z grubsza wyciosali rami o dziwnie poszarpanym profilu i w kilka dni później Granitowy Pałac został ob-



ficie oświetlony promieniami wschodzącego słońca, które zakradły się do najskrytszych zakamarków pieczary.

Według planu Cyrusa Smitha mieszkanie miało zostać podzielone na pięć pomieszczeń z widokiem na morze: na prawo przedpokój z drzwiami, przy których miała być przymocowana drabinka sznurowe, za nim pierwsza izba — szeroka na trzydzieści stóp kuchnia, pokój jadalny szerokości czterdziestu stóp, sypialnia tej samej szerokości, a na końcu, na żądanie Pencroffa, pokój bawialny przylegający do dużej sali.

Pokoje te, albo raczej szereg pokoi stanowiących część mieszkalną Granitowego Pałacu, nie miały zajmować całej szerokości pieczary. W tyle za nimi, oddzielony korytarzem, miał ciągnąć się długi magazyn, w którym będą mieściły się narzędzia i zapasy żywności. Wszystkie produkty zebrane na wyspie, tak roślinne, jak i zwierzęce, mogły tam być przechowywane w doskonałych warunkach, zabezpieczone przed wilgocią. Przestrzeni nie brakowało i każda rzecz mogła leżeć w odpowiednim miejscu. Zresztą koloniści mieli jeszcze do dyspozycji małą grootę, położoną powyżej głównej pieczary, która mogła w nowym mieszkaniu spełniać rolę strychu.

Po nakreśleniu planu pozostawało tylko wprowadzić go w życie. Koloniści z minerów przedzierzgnęli się w celgarzy; następnie poznosili cegły i ułożyli je u podnóża Granitowego Pałacu.

Dotychczas Cyrus Smith i jego towarzysze mieli dostęp do pieczary tylko przez dawny kanał odpływowy. Wskutek tego zmuszeni byli za każdym razem wspinać się Płaskowyż Pięknego Widoku, iść dokoła brzegiem rzeki, schodzić dwieście stóp w głąb podziemnym korytarzem, a potem przebywać tę samą trasę, aby powrócić na płaskowyż. Powodowało to stratę czasu i wymagało sporo trudu. Cyrus Smith postanowił zatem niezwłocznie przystąpić do sporządzenia mocnej drabinki sznurowej, po usunięciu której Granitowy Pałac stawałby się całkowicie niedostępny.

Drabinka sporządzona została z wielką starannością, a jej sznury, splecione z włókien ketmii za pomocą kołowrotka, były mocne jak grube liny. Materiału na szczeble dostarczył rodzaj czerwonego cedru o lekkich i mocnych gałęziach, a Pencroff po mistrzowsku wykonał całą drabinę.

Przygotowano więcej takich sznurów z włókien roślinnych, a przy drzwiach Granitowego Pałacu zamontowano coś w rodzaju prymitywnego kołowrotu. Za pomocą tego urządzenia z łatwością wyciągano cegły do góry aż do samych drzwi Pałacu. Transport materiałów został przez to znacznie uproszczony, toteż natychmiast przystąpiono do urządzenia wnętrza Pałacu. Wapna nie brakło, a przy tym mieli także kilka tysięcy gotowych cegieł. Z łatwością wzniesiono drewniany szkielet przepierzenia, zresztą bardzo prymitywny, i w krótkim czasie całe mieszkanie zostało podzielone na pokoje i magazyn, zgodnie z planem.

Pod kierunkiem inżyniera, który własnoręcznie dzierżył młot i kielnię, praca postępowała bardzo szybko. Żaden rodzaj rzemiosła nie był obcy Cyrusowi, który dawał przykład zdolnym i gorliwym pracownikom. Pracowali z zapałem, a nawet wesoło. Pencroff w każdym charakterze, czy to cieśli, czy powoźnika, czy też murarza, zawsze miał żart na ustach, a jego dobry humor udzielał się pozostałym. Jego zaufanie do inżyniera było bezgraniczne. Nic nie było w stanie go zachwiać. Wierzył, że jest zdolny podjąć się wszystkiego i że wszystko mu się uda. Sprawa ubrania i obuwia — niewątpliwie poważna, sprawa oświetlenia podczas długich zimowych nocy, wykorzystania urodzajnych części wyspy, przeobrażenia dzikiej roślinności w uprawną, wszystko to wydawało mu się łatwe i wierzył, że przy pomocy Cyrusa zostanie wykonane we właściwym czasie. Marzył już o spławnych rzekach, ułatwiających transport bogactw naturalnych, o eksploatacji kamieniołomów i kopalń, o maszynach do rozmaitych wyrobów przemysłowych, ba, o kolejach żelaznych, tak jest, o kolejach, które gęstą siecią miały kiedyś pokryć wyspę Lincolnna.

Inżynier nie przeszkadzał mu w tych marzeniach, nie burzył napowietrznych zamków, jakie budowała fantazja dzielnego marynarza. Wiedział, jak łatwo jego zaufanie udziela się pozostałym. Uśmiechał się więc tylko, nie zdradzając ani słowem niepokoju, który czasem wzbudzała w nim myśl o przyszłości. W tej części Pacyfiku, z dala od szlaków uczęszczanych przez statki, słuszenie można się było obawiać, że nigdy nie zostaną uratowani. Mogli zatem liczyć tylko na siebie i na własne siły, gdyż odległość Wyspy Lincolnna

od najbliższego lądu była tak wielka, że zaryzykowanie pokonania jej stateczkiem o słabej z konieczności konstrukcji byłoby sprawą poważną i niebezpieczną.

— A jednak — mówił marynarz — przewyższamy o niebo dawniejszych Robinsonów, dla których wszystko działo się cudem.

Rzeczywiście, oni mieli wiedzę, a człowiek, który wie, da sobie radę tam, gdzie inny musi wegetować i zginie bez ratunku.

Harbert wyróżniał się w pracy. Był inteligentny i aktywny, szybko wszystko pojmował i dobrze wykonywał, a Cyrus Smith coraz bardziej przywiązywał się do chłopca. Harbert żywił dla inżyniera serdeczne i pełne szacunku uczucie. Pencroff zauważył sympatię, jaka zawiązała się między tymi dwoma, ale nie był o to wcale zazdrosny.

Nab był Nabem. Był tym, kim miał pozostać zawsze: uosobieniem odwagi, gorliwości, oddania i samozaparcia. Miał do swego pana takie samo zaufanie jak Pencroff, lecz objawiał je w sposób mniej hałaśliwy. Gdy marynarz był pełen entuzjazmu, Nab miał zawsze minę taką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Przecież to całkiem naturalne”. Bardzo się polubili z Pencroffem i wkrótce mówili sobie po imieniu.

Gedeon Spilett wziął udział we wspólnej pracy i radził sobie wcale nie mniej zręcznie od innych, co ciągle trochę dziwiło marynarza. Dziennikarz, który nie tylko wszystko rozumie, ale i wszystko umie wykonać!

Drabina została ostatecznie założona 28 maja. Na długości osiemdziesięciu stóp liczyła ponad sto szczebli. Na szczęście Cyrus Smith mógł podzielić ją na dwie części, korzystając z występu skalnego, sterczącego na wysokości czterdziestu stóp ponad ziemią. Występ, starannie wyrównany kilofem, utworzył rodzaj podestu, do którego przytwierdzono pierwszą drabinę, dzięki czemu jej wychylenia zmniejszyły się o połowę; za pomocą sznura można ją było podciągnąć do poziomu Granitowego Pałacu. Drugą drabinę przymocowano zarówno za dolny koniec, spoczywający na występie, jak i za górny, przy drzwiach. W ten sposób wchodzenie stało się znacznie łatwiejsze. Zresztą Cyrus Smith zamierzał zainstalować później windę hydrauliczną, która mieszkańcom Granitowego Pałacu zaoszczędziłaby zmęczenia i straty czasu.

Koloniści szybko przyzwyczaili się do korzystania z drabiny. Byli zwinni i zręczni, a Pencroff, jako marynarz przyzwyczajony do biegania po wyblinkach want<sup>170</sup>, udzielał im lekcji. Trzeba było nauczyć wspinaczki także i Topa. Biedne psisko ze swymi czterema łapami nie było stworzone do tego rodzaju akrobacji. Pencroff jednak był tak gorliwym nauczycielem, że pies w końcu opanował sztukę wspinaczki i wlaźł po drabinie równie biegle, jak jego bracia w cyrkach. Trudno powiedzieć, czy marynarz był zadowolony ze swego ucznia. To tylko pewne, że nieraz dźwigał go na górę na plecach, na co zresztą Top nigdy się nie uskarżał.

Podczas tych robót, prowadzonych z wielkim pośpiechem, gdyż zbliżała się już pora deszczowa, nie zapomniano też o zaopatrzeniu w żywność. Codziennie reporter i Harbert, którzy stali się dostawcami kolonii, spędzali kilka godzin na polowaniu. Dotychczas polowali tylko w Lesie Złotopióra, po lewej stronie rzeki, gdyż z powodu braku mostu, nie mając łodzi, nie mogli przepłynąć na drugą stronę Rzeki Dziękczynienia. Cały ten olbrzymi obszar leśny, nazwany przez nich Lasami Dalekiego Zachodu, pozostał niezbadany. Tę ważną wyprawę odłożyli do pierwszych dni wiosny. Ale i Las Złotopióra obfitował w zwierzynę, pełno w nim było kangurów i dzików, a okute żelazem oszczepy, łuki i strzały myśliwych dokonywały cudów. W dodatku Harbert odkrył w pobliżu południowo-zachodniego rogu jeziora naturalną królikarnię, rodzaj lekko wilgotnej łączki, porośniętej wierzbami i aromatycznymi ziołami, których woń rozchodziła się w powietrzu; rósł tam tymianek, macierzanka, bazylija, cząber i rozmaite wonne gatunki z rodziny roślin wargowych<sup>171</sup>, na które króliki są niezmiernie łakome.

Reporter zauważył, że skoro stół nakryty dla królików, byłoby dziwne, gdyby nie było w pobliżu królików. Obaj myśliwi zaczęli uważnie rozglądać się po łące. Rosło na

<sup>170</sup>wyblinka want — wanty to stalowe liny stabilizujące maszt na żaglowcu, zaś wyblinka to krótkie, poziome linki łączące sąsiednie wanty, tworzące szczeble drabiny przeznaczonej do wspinania się na maszt. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>wargowe a. jasnnotowe (biol.) — rodzina roślin zielnych licząca ponad 3500 gatunków, występujących na całym świecie; wiele z nich zawiera olejki eteryczne i znalazły zastosowanie w medycynie, kosmetyce oraz jako przyprawę. [przypis edytorski]

niej wiele pożytecznych roślin i przyrodnik miałby okazję poznać niejedną ciekawą okazję świata roślinnego. Harbert nabierał sporo bazylii, rozmarynów, melisy, bukwicy i innych roślin o rozmaitych własnościach leczniczych: były wśród nich zioła na płuca, inne działające ściągająco, przeciwgorączkowo, przeciwskurczowo lub przeciwreumatycznie. A kiedy później Pencroff zapytał go, na co się przyda ten zbiór ziół, odpowiedział:

— Będziemy się nimi leczyć w razie choroby.

— Dlaczego mielibyśmy chorować, skoro na wyspie nie ma żadnych lekarzy? — odparł bardzo poważnie Pencroff.

Na to nie było co odpowiedzieć, lecz mimo to Harbert nie przestał zbierać ziół, co zostało bardzo życzliwie przyjęte w Granitowym Pałacu. Tym bardziej że oprócz ziół leczniczych przyniósł ze sobą także znaczną ilość monardy dwoistej<sup>172</sup>, znanej w Ameryce Północnej pod nazwą herbaty Oswega, z której można sporządzać doskonały napój.

Wreszcie, po uważnych poszukiwaniach, pewnego dnia trafili na prawdziwą króliarnię. Ziemia była w tym miejscu podziurawiona jak durszlak.

— To nory! — zawołał Harbert.

— Tak — odparł reporter — widzę je.

— Ale czy zamieszkane?

— To jest właśnie pytanie.

Pytanie zostało natychmiast rozstrzygnięte. W tej samej bowiem chwili setki zwierzątek podobnych do królików pierzchło w różne strony, i to z taką szybkością, że nawet Top nie zdołałby ich dopędzić. Na próżno myśliwi i pies uganiał się za nimi — gryzonie wymykały się im z łatwością. Jednak reporter postanowił nie ruszyć się z tego miejsca, dopóki nie schwyta przynajmniej z pół tuzina zwierzątek. Chciał nimi na początek zaopatrzyć spiżarnię, a następnym razem nałapać trochę do hodowli. Gdyby rozpostrzeć kilka sieci nad wejściami do nor, połów byłby łatwy. W tej chwili jednak ani nie mieli sieci, ani też nie było ich z czego zrobić. Trzeba więc było poprzestać na rozkopywaniu kijem pojedynczych nor i cierpliwością starać się dopiąć tego, czego nie można było w inny sposób.

Wreszcie po godzinie kopania schwytali cztery gryzonie. Były to króliki dość podobne do swych europejskich współplemińców, znane pod nazwą królików amerykańskich<sup>173</sup>.

Zdobyc zanieśli do Granitowego Pałacu, gdzie posłużyła za kolację. Okazało się że była to zwierzyna nie do pogardzenia, wręcz wyśmienita. W ten sposób koloniści zyskali cenne i jak się zdawało niewyczerpane źródło żywności.

31 maja przegrody były gotowe. Pozostało tylko umeblować pokoje, czym mieli się zająć podczas długich zimowych dni. W pierwszym pomieszczeniu, służącym za kuchnię, postawiono komin. Trochę kłopotu sprawiło domorosłym zdunom wykonanie przewodu, przez który dym miał ulatywać na zewnątrz. Cyrus Smith zdecydował, że najłatwiej będzie sporządzić rurę z wypalanej gliny. Ponieważ nie dało się jej wyprowadzić przez sklepienie, wykuto w kuchni otwór nad oknem i przeciągnięto do niego ukośnie rurę od komina, jak od żelaznego piecyka. Bez wątplenia przy silnym wietrze wschodnim, wiejącym wprost na fasadę, komin będzie dymił, ale takie wiatry były rzadkie, a zresztą kuchmistrz Nab nie zwracał uwagi na takie drobiazgi.

Gdy zakończono urządzenie wnętrza Granitowego Pałacu, inżynier zabrał się do zaważenia otworu dawnego kanału odpływowego, by uniemożliwić dostęp z tej strony. Przytoczono więc do otworu olbrzymie bryły skalne i mocno je pospajano. Cyrus Smith na razie nie wykonał jeszcze swojego projektu zatopienia otworu przez budowę tamy i podniesienie wody w jeziorze do pierwotnego poziomu. Zadowolił się zamaskowaniem miejsca, gdzie był dawny otwór, w szparach pomiędzy głazami zasadzając trawę i niewielkie krzewy, które na wiosnę powinny się bujnie porozrastać.

Dawny odpływ inżynier wykorzystał na doprowadzenie do nowego mieszkania strumienia słodkiej wody z jeziora. Zadanie to spełniał mały rowek wyżłobiony poniżej poziomu wody w jeziorze, a czyste i niewyczerpane źródło wody dostarczało dwadzie-

<sup>172</sup>monarda dwoista a. pysznogłówka szkarlatna, *Monarda didyma* (biol.) — roślina z rodziny jasnotowatych, z której liści sporządza się napój o cierpkim cytrynowym aromacie. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>królik amerykański, właśc. królik, *Sylvilagus* (biol.) — rodzaj ssaków z rodziny zajacowatych, występujących w Ameryce Północnej, Środkowej i Południowej. [przypis edytorski]

ścia pięć do trzydziestu galonów<sup>174</sup> dziennie. A zatem wody w Granitowym Pałacu nie powinno nigdy zabraknąć.

Wreszcie wszystko było gotowe i to w sam czas, gdyż pora deszczowa była tuż za pasem. Na razie, dopóki inżynier nie wyprodukuje szyb, do zamykania okien służyły mocne okiennice.

Gedeon Spilett bardzo artystycznie poustawiał na występach skalnych dookoła okien rozmaite rośliny i długie, wijące się trawy; okolone malowniczą zielenią otwory okien wyglądały wprost uroczo.

Mieszkańcy solidnego, zdrowego i bezpiecznego mieszkania mogli więc być dumni ze swojego dzieła. Dzięki oknom mogli swobodnie sięgać wzrokiem aż po widnokrąg, który od północy zamykał Przylądek Obu Szczęk, a od południa Przylądek Szponu. Zatoka Stanów Zjednoczonych rozpościerała się przed nimi w całej swej okazałości. Doprawdy dzielni koloniści mieli prawo do zadowolenia, a Pencroff nie szczędził pochwał temu, jak go żartobliwie nazywał, „apartamentowi na piątym piętrze nad antresolą<sup>175</sup>”.

## ROZDZIAŁ XX

*Pora deszczowa. — Sprawa ubrania. — Polowanie na foki. — Wyrób świec. — Prace uwnętrz Granitowego Pałacu. — Dwa mostki. — Wyprawa po ostrygi. — Co Harbert znalazł w kieszeni.*

Zima rozpoczęła się na dobre w czerwcu, który odpowiada grudniowi na półkuli północnej. Rozpoczęła się od ciągłych ulew i wichur, następujących po sobie bez chwili przerwy. Mieszkańcy Granitowego Pałacu mogli teraz ocenić korzyści mieszkania chroniącego od burz i śloty. Kominy nie byłyby wystarczającym schronieniem przed srogością zimy, a poza tym obawiali się ponownego zalania wnętrza przez wzburzone wichrami fale przypyływu. Cyrus Smith przedsięwziął nawet pewne środki ostrożności, aby, o ile się da, zabezpieczyć urządzoną w Kominach kuźnię i piec.

Cały czerwiec upłynął na rozmaitego rodzaju pracach, nie wyłączając polowania ani rybołówstwa, tak że spiżarnia była zawsze obficie zaopatrzona. Pencroff zamierzał w wolnym czasie sporządzić pułapki, po których wiele sobie obiecywał. Porobił sidła z włókien drzewnych i nie było dnia, żeby królikarnia nie dostarczyła do kuchni pewnej ilości gryzoni. Nab prawie cały czas spędzał na soleniu i na wędzeniu mięsa, dzięki czemu doskonale się konserwowało.

Teraz zaczęli poważnie zastanawiać się nad sprawą odzieży. Koloniści mieli tylko te ubrania, w których balon wyrzucił ich na wysepkę. Były ciepłe i solidne, dbali o nie i o bieliznę z największą troskliwością, utrzymywali we wzorowej czystości, mimo to jednak należało się spodziewać, że wkrótce trzeba je będzie wymienić. W dodatku, gdyby trafiła się ostra zima, musieliby cierpieć z powodu zimna.

W tej sprawie pomysłowość Cyrusa Smitha zawiodła. Musiał myśleć o najpilniejszych potrzebach, stworzeniu mieszkania, zaopatrzeniu się w żywność; toteż mrozy mogłyby ich zaskoczyć przed załatwieniem sprawy odzieży. Trzeba się więc jakoś wytrzymać i spędzić tę pierwszą zimę bez zbyteń narzekania. Z nadejściem wiosny mieli urządzać wielkie polowanie na muflony, które zauważyli podczas wyprawy na Górę Franklina, a gdy się nagromadzi dość wełny, inżynier na pewno da sobie radę, żeby sporządzić z niej ciepłe i mocne tkaniny... W jaki sposób? O tym jeszcze pomyśli.

— No cóż, najwyżej będziemy opiekac sobie łydki przy ogniu w Granitowym Pałacu! — powiedział Pencroff. — Opału mamy pod dostatkiem, nie ma powodu, żeby go oszczędzać.

— Zresztą — odparł Gedeon Spilett — Wyspa Lincoln nie leży na zbyt dużej szerokości geograficznej, więc i zimy prawdopodobnie nie są tu zanadto ostre. Czy nie mówił nam pan, Cyrusie, że trzydziesty piąty równoleżnik odpowiada mniej więcej szerokości geograficznej Hiszpanii na naszej półkuli?

<sup>174</sup>galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon amerykański to ok. 4 litry. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>antresola — półpiętro lub międzypiętro, zwłaszcza między parterem a pierwszym piętrem. [przypis edytorski]

— Bez wątpienia — odparł inżynier — jednak i w Hiszpanii bywają czasem ostre zimy. Nie brak tam wtedy śniegu ani lodu, więc i Wyspa Lincolnna może być równie dotkliwie doświadczana. Jednak ponieważ jest to wyspa, więc sądzę, że temperatura będzie bardziej umiarkowana.

— A to dlaczego, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Ponieważ morze, mój chłopcze, można uważać za rodzaj olbrzymiego zbiornika przechowującego w sobie ciepło nagromadzone w okresie letnim. W zimie oddaje je z siebie, wskutek czego w okolicach nadmorskich panuje zawsze bardziej umiarkowana temperatura, niezbyt wysoka w lecie, lecz za to niezbyt niska w zimie.

— Zobaczmy — odparł Pencroff. — Na razie nie martwmy się, czy będzie zimno, czy ciepło. Jedno jest pewne: dni są już krótkie, a wieczory długie. Dlatego warto się zastanowić nad sprawą oświetlenia.

— Nic łatwiejszego — odparł Cyrus Smith.

— Niż zastanowić się nad nią? — zapytał marynarz.

— Niż ją załatwić.

— A kiedy się za to zabierzemy?

— Jutro, a zaczniemy od polowania na foki.

— Żeby zrobić lojówki<sup>176</sup>?

— Ależ skąd, Pencroffie! Świece!

Taki był rzeczywiście projekt inżyniera, projekt wykonalny, gdyż mieli już wapno i kwas siarkowy, a foki miały im tłuszczu dostarczyć potrzebnego do wytworzenia świec.

Był to 4 czerwca, zarazem niedziela Zielonych Świątek, postanowili zatem jednogłośnie uroczystie obchodzić święto. Zawiesili więc wszystkie prace, a modlitwy kolonistów wzniosły się ku niebu. Ale teraz były to modlitwy dziękczynne. Koloniści Wyspy Lincolnna już nie byli nędznymi rozbitkami, wyrzuconymi na odludną wysepkę. Nie prosili już o nic, lecz dziękowali.

Nazajutrz, 5 czerwca, w dość niepewną pogodę wyruszyli na wysepkę. Trzeba było korzystać z odpływu, żeby przejść kanał w bród. Przy tej okazji postanowili zbudować jakąś łódź, która ułatwiałaby im komunikację i którą mogliby popłynąć w górę Rzeki Dziękczynienia podczas wielkiej wyprawy badawczej na południowy zachód, którą zamierzali przedsięwziąć w pierwszych dniach wiosny.

Fok było mnóstwo i myśliwi, uzbrojeni w okute żelazem oszczepy, ubili ich z łatwością z pół tuzina. Nab z Pencroffem odarli je na miejscu ze skór i zabrali do Granitowego Pałacu tylko tłuszcz i skóry, które im miały posłużyć na obuwiu.

Owoce polowania było około trzystu funtów tłuszczu, który w całości miał posłużyć do wyrobu świec.

Proces ten był całkiem prosty, a chociaż powstałe produkty nie były doskonałe, to w każdym razie nadawały się do użytku. Gdyby Cyrus Smith dysponował jedynie kwasem siarkowym, to mieszając go z obojętnym tłuszczem, na przykład z tłuszczem fok, i ogrzewając mieszaninę, mógłby wyodrębnić glicerynę<sup>177</sup>, a następnie za pomocą wrzątku oddzielić oleinę, margarynę i stearynę<sup>178</sup>. Jednak dla uproszczenia tego procesu wołał zmydlić tłuszcz za pomocą wapna. W ten sposób otrzymał mydło wapienne, łatwe do rozłożenia pod wpływem kwasu siarkowego, który wytrąca wapno w postaci siarczanu i uwalnia kwasy tłuszczowe.

Z tych trzech kwasów: oleinowego, margarynowego i stearynowego, pierwszy, będący cieczą, usunięto przez odpowiednie wyciskanie, dwa pozostałe zaś stanowiły substancję, z której miało się formować świece. Cała ta praca trwała niecałą dobę. Po kilku próbach udało się zrobić knoty z włókien roślinnych. Po zatopieniu ich w roztopionej

<sup>176</sup>lojówka (pot.) — świeca z loju. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>gliceryna (chem.) — organiczna, bezbarwna ciecz, tłusta w dotyku, produkowana z tłuszczu roślinnych i zwierzęcych; ze względu na bardzo wysoką skłonność do łączenia się z wodą stosowana przy produkcji kremów i in. produktów kosmetycznych; wykorzystywana także do produkcji płynów hamulcowych i chłodniczych. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>oleina, margaryna i stearyna — dawniej uważano w nauce, że tłuszcze zwierzęce są mieszaninami trzech kwasów tłuszczowych: oleinowego, margarynowego i stearynowego. W 1853 odkryto, że kwas margarynowy stanowi mieszaninę kwasu stearynowego oraz nieznanego wcześniej kwasu palmitynowego. Obecnie słowo *margaryna* oznacza tłuszcz spożywczy produkowany od XIX w. jako zamiennik masła, początkowo z loju wołowego (oleomargaryna), od XX w. z utwardzanych olejów roślinnych. [przypis edytorski]

substancji otrzymano prawdziwe świece stearynowe, formowane ręcznie; brakowało im tylko wybielenia i wypolerowania. Oczywiście ich knoty nie miały tych zalet co knoty nasycone kwasem bornym, które roztopiają się w miarę palenia i wypalają się doszczętnie, ale Cyrus Smith sporządził parę pięknych szczypiec do obcinania knotów i świece dobrze służyły kolonistom podczas długich wieczorów w Granitowym Pałacu.

Przez cały miesiąc nie brakowało również pracy w nowym mieszkaniu. Ciesłe mieli pełne ręce roboty. Udoskonalono prymitywne narzędzia i uzupełniono ich zestaw o nowe.

Między innymi wykonano nożyczki, którymi koloniści mogli wreszcie obciąć sobie włosy, a brody, jeżeli nie ogolić, to przynajmniej przystrzyć według upodobania. Harbert nie miał wcale zarostu, zaś Nab niewielki, lecz ich towarzysze tak obrośli, że zrobienie nożyczek było zupełnie uzasadnione.

Sporządzenie małej, ręcznej piły kosztowało ich wiele trudu, ostatecznie jednak otrzymali narzędzie, którym pracując w pocie czoła, można było piłować drewno na deski. Korzystając z niego, porobili stoły, krzesła i szafy, którymi umeblowali główne pokoje, wreszcie ramy łóżek, na których położyli materace z trawy morskiej. Kuchnia z półkami, gdzie stały naczynia z wypalanej gliny, z paleniskiem z cegieł i wyszorowaną kamienną podłogą robiła doskonale wrażenie, a Nab urzędował w niej z taką powagą, jakby było to laboratorium chemiczne.

Wkrótce jednak stolarzy z powrotem musieli zastąpić ciesle. Nowy odpływ wody z jeziora, utworzony przez wysadzenie skały, stworzył konieczność zrobienia dwóch mostków: jednego na Płaskowyżu Pięknego Widoku, a drugiego na samym wybrzeżu. Teraz bowiem tak płaskowyż, jak i wybrzeże przecinał potok, który trzeba było przebyć, chcąc się dostać do północnej części wyspy. Aby go ominąć, koloniści musieliby znacznie zbaczając z drogi i obchodzić go od zachodu daleko za źródłem Czerwonego Potoku. Najprościej zatem było postawić na płaskowyżu i na wybrzeżu dwa mostki, mające dwudziestu do dwudziestu pięciu stóp długości, wykonane z kilku drzew z grubsza ociosanych siekierą. Cała ta praca zajęła tylko parę dni. Nab i Pencroffem od razu skorzystali z mostków, by udać się do ławicy ostryg, którą odkryli wcześniej na wprost wydm. Zabrali ze sobą coś w rodzaju prymitywnego wózka, który miał zastąpić dawne, niewygodne nosze. Przyciągnęli na nim kilka tysięcy ostryg, które bardzo prędko zaaklimatyzowały się wśród skał tworzących jakby naturalne parki przy ujściu Rzeki Dziękczynienia. Mięczaki były wspaniałe i koloniści raczyli się nimi prawie codziennie.

Jak widzimy, Wyspa Lincoln, mimo że mieszkańcy zbadali tylko niewielką jej część, zaspokajała prawie wszystkie ich potrzeby. A przecież możliwe, że po zbadaniu najskrytszych zakątków, znajdujących się na tym zalesionym obszarze ciągnącym się pomiędzy Rzeką Dziękczynienia a Cyplem Jaszczurczym, odkryją nowe skarby.

Jednego tylko produktu brakowało kolonistom. Mieli pod dostatkiem żywności bogatej w białko oraz produktów roślinnych, które równoważyły jego nadmiar. Drzewiaste korzenie smokowca, poddane fermentacji, dostarczały im kwaskowatego napoju, czegoś w rodzaju piwa, dużo lepszego od czystej wody. Udało im się nawet wyprodukować cukier, i to bez trzciny cukrowej i bez buraków — zbierali w naczynia sok wydzielany przez *Acer saccharinum*<sup>179</sup>, rodzaj klonu rosnącego we wszystkich strefach umiarkowanych, którego także na wyspie było pod dostatkiem. Z monardy zebranej w królikarni parzyli smaczną herbatę. Mieli wreszcie pod dostatkiem soli, która jest jedynym produktem mineralnym wchodzącym w skład pożywienia... Ale brakowało im chleba.

Być może później koloniści potrafiliby zastąpić chleb jakimś zbliżonym produktem, na przykład z mąki z sagowca lub z drzewa chlebowego, i bardzo możliwe, że te cenne drzewa rosły gdzieś w lasach południowej części wyspy, ale dotychczas ich nie napotkali.

Tym razem Opatrzność bezpośrednio przysłała im z pomocą, co prawda w nieskończenie małym stopniu, ale bądź co bądź Cyrus Smith pomimo całej swojej mądrości i pomysowości nie zdołałby być nigdy wytworzyć tego, co pewnego dnia Harbert przypadkiem znalazł w podszewce kamizelki, którą właśnie reperował.

Tego dnia deszcz lał strumieniami, koloniści siedzieli w dużej sali Granitowego Pałacu, gdy nagle Harbert zawołał:

<sup>179</sup>*Acer saccharinum* (biol.) — klon cukrowy, drzewo występujące we wsch. części Ameryki Północnej; sok wypływający wiosną z jego naciętych pni zawiera kilka procent cukru, służy do wyrobu syropu klonowego. [przypis edytorski]

— Niech pan spojrzy, panie Cyrusie! Ziarnko zboża!

I pokazał towarzyszom ziarnko, jedno jedyne ziarnko, które przez dziurawą kieszeń kamizelki wpadło pod podszewkę.

Podczas pobytu w Richmond Harbert karmił zbożem parę gołębi grzywaczy otrzymanych w prezencie od Pencroffa. Stąd w kieszeni znalazło się ziarnko.

— Ziarnko zboża? — zapytał z ożywieniem inżynier.

— Tak, panie Cyrusie, ale tylko jedno, jedyne!

— Ech, mój chłopcze — zawołał, śmiejąc się, Pencroff — bardzo ważne, na honor! Co mielibyśmy zrobić z jednym ziarnkiem zboża?

— Zrobimy chleb — odparł inżynier.

— Chleb? Może ciastka, a może i torty! — zaśmiał się marynarz. — No, no! Żebyśmy się nie pochorowali z przedjedzenia się chlebem z tego ziarnka!

Harbert, nie przywiązując wielkiej wagi do swojego odkrycia, chciał już wyrzucić ziarnko, gdy Cyrus Smith wziął je do ręki, przypatrzył mu się dokładnie, a przekonawszy się, że jest w dobrym stanie, utkwiał wzrok w marynarza i odezwał się spokojnie:

— Czy wie pan, Pencroffie, ile kłosów może wyrosnąć z jednego ziarnka?

— Przypuszczam, że jeden — odparł marynarz, zaskoczony pytaniem.

— Dziesięć kłosów. A wie pan, ile ziarenek jest w kłosie?

— Na honor, nie.

— Przeciętnie osiemdziesiąt — powiedział Cyrus Smith. — Otóż jeśli zasadzimy to ziarnko, to pierwszy plon z niego da nam osiemset ziaren, drugi plon, z zasadzenia tych ziaren, wyniesie sześćset czterdzieści tysięcy ziaren, trzeci — pięćset dwanaście milionów, a czwarty plon — ponad czterysta miliardów ziaren. Taka jest proporcja.

Towarzysze Cyrusa słuchali go w milczeniu. Liczby zdumiewały ich, a przecież były dokładne.

— Tak, przyjaciele — ciągnął dalej inżynier. — Tak wygląda postęp arytmetyczny<sup>180</sup> w płodności natury. A czymże jest to rozmnażanie się ziarnka zboża, którego kłosy dają zaledwie osiemset ziaren, w porównaniu z makówką, zawierającą trzydzieści dwa tysiące ziaren, lub z tytoniem, który daje ich trzysta sześćdziesiąt tysięcy? Gdyby nie liczne przyczyny, które je niszczą i ograniczają ich rozrost, te rośliny w ciągu kilku lat opanowałyby całą ziemię.

Ale inżynier nie zakończył jeszcze swojego wypytywania.

— A teraz niech mi pan powie, Pencroffie — ciągnął dalej — czy wie pan, ile będzie to buszli<sup>181</sup> z tych czterystu miliardów ziaren zboża?

— Nie wiem — odparł marynarz — wiem tylko, że jestem osio!

— Otóż przeszło trzy miliony, licząc sto trzydzieści tysięcy ziaren na jeden buszel.

— Trzy miliony buszli! — zawołał Pencroff.

— Trzy miliony.

— W cztery lata?

— W cztery lata — odparł Cyrus Smith — a może nawet tylko w dwa, jeśli, jak sądzę po szerokości geograficznej naszej wyspy, będziemy mieli żniwa dwa razy w roku.

Usłyszawszy to, Pencroff swoim zwyczajem odpowiedział głośnym „hurra!”.

— Tak więc, Harbercie, znalazłeś dziś coś, co ma dla nas wyjątkowe znaczenie — dodał inżynier. — Wszystko, przyjaciele, w naszej sytuacji wszystko może się przydać. Bardzo proszę, nie zapominajcie o tym.

— Nie, panie Cyrusie, na pewno nie zapomnimy — odparł Pencroff — i jeśli kiedykolwiek znajdzie ziarnko tego tytoniu, co to się mnoży trzysta sześćdziesiąt tysięcy razy, to może pan być całkiem pewny, że go nie wyrzucę! A teraz co mamy zrobić?

— Zasadzić to ziarnko — odparł Harbert.

— Tak jest — dodał Gedeon Spilett — i to z całą pieczołowitością, na jaką zasługuje, gdyż ukrywa w sobie nasze przyszłe żniwo.

— Oby tylko wzeszło! — zawołał marynarz.

<sup>180</sup>postęp arytmetyczny — według terminologii matematycznej liczba ziaren rośnie w postępie geometrycznym (w którym występuje stała mnożnik), a nie w arytmetycznym (w którym występuje przyrost o stałą wielkość). [przypis edytorski]

<sup>181</sup>buszel — anglosaska jednostka objętości produktów sypkich (ziarna, mąki itp.), równa ok. 36 litrów. [przypis edytorski]

— Wszędzie — odparł Cyrus Smith.

Było to 20 czerwca, a więc w porze odpowiedniej do zasiania tego jednego, drogiego ziarenka. Początkowo chcieli je wsadzić do doniczki, ale po namyśle postanowili zaufać przyrodzie i powierzyć je ziemi. Zrobili to jeszcze tego samego dnia, a zbyteczne byłoby dodawać, że nie zaniedbano niczego, co mogłoby zapewnić pomyślny wzrost.

Kiedy się nieco przejaśniło, koloniści weszli na szczyt Granitowego Pałacu. Tu wybrali miejsce zasłonięte przed wiatrem i wystawione na działanie południowych promieni słońca. Oczyszczili grunt, starannie wyplewili chwasty, a nawet przetrząsnęli glebę, aby wypłoszyć owady i robaki, położyli na wierzchu warstwę żyznej ziemi zmieszanej z odrobiną wapna, ogrodzili miejsce, po czym wetknęli ziarenko w wilgotną glebę.

Wyglądało to tak, jakby koloniści kładli kamień węgielny pod budowę jakiegoś gmachu. Przypomniało to Pencroffowi dzień, kiedy zapalał jedyną zapalną, jaką mieli, i ostrożność, z jaką to robił. Jednak tym razem sprawa była poważniejsza. Istotnie, koloniści w taki czy inny sposób uzyskaliby ogień, ale żadna ludzka siła nie zdołałaby odtworzyć ziarenka zboża, gdyby nieszczęśliwym trafem miało zmarnieć.

## ROZDZIAŁ XXI

*Kilka stopni poniżej zera. — Badania bagnistej południowo-wschodniej części wyspy. — Kolpeo. — Widok morza. — Rozmowa o przyszłości Pacyfiku. — Nieustająca praca polipów. — Co się stanie z kulą ziemską. — Polowanie. — Bagno Kazarek.*

Od tej chwili było dnia, żeby Pencroff nie szedł odwiedzić miejsca, które całkiem poważnie nazywał swoim „polem zboża”. Biada owadom, które się tam zapędziły! Nie było dla nich miłosierdzia.

Pod koniec czerwca, po niekończących się deszczach, powietrze wyraźnie się oziębiło i 29 czerwca termometr Fahrenheita niewątpliwie wskazałby już tylko dwadzieścia stopni powyżej zera (około sześciu stopni Celsjusza poniżej zera).

Nazajutrz, 30 czerwca, który odpowiada 31 grudnia na półkuli północnej, przypadał piątek. Nab zauważył, że stary rok kończy się pechowym dniem, ale Pencroff odpowiedział mu, że za to naturalnie nowy rok zaczyna się od pomyślnego — co jest ważniejsze.

W każdym razie rok rozpoczął się od ostrego mrozu. Przy ujściu Rzeki Dziękczynienia nagromadziła się kora, a wkrótce całe jezioro zamarzło.

Musieli kilkakrotnie odnawiać zapas opału. Pencroff nie czekał, aż rzeka zamarźnie, tylko pospieszył się z dostarczeniem wielkich tratw drzewa. Prąd rzeki był niestrudzoną siłą napędową, toteż korzystali z niego przy spławianiu drewna aż do chwili, gdy lód skuł rzekę. Do tego opału, tak obficie dostarczanego przez las, dodali jeszcze kilka wózków węgla, po który trzeba było chodzić aż do podnóża Góry Franklina. Wielką siłą ciepłą węgla mogli w pełni ocenić, kiedy 4 lipca temperatura spadła do ośmiu stopni Fahrenheita (trzydzieści stopni Celsjusza poniżej zera). W jadalni postawiono drugi kominek i wszyscy pracowali tam razem.

Podczas tych mrozów Cyrus Smith mógł sobie pogratulować, że doprowadził do Granitowego Pałacu strumyczek wody z Jeziora Granta. Woda, ujęta pod lodową pokrywą i doprowadzona dawnym podziemnym kanałem, utrzymywała się w stanie ciekłym i dopływała do wewnętrznego zbiornika, wykutego w rogu magazynu; jej nadmiar spływał przez studnię do morza.

W tym czasie, korzystając z wyjątkowo suchego powietrza, koloniści, ubrani możliwie jak najcieplej, postanowili poświęcić dzień na zbadanie obszaru na południowym wschodzie, pomiędzy Rzeką Dziękczynienia a Przylądkiem Szponu. Była to rozległa, bagnista przestrzeń, na której można było liczyć na udane polowanie, gdyż musiało się tam roić od ptactwa wodnego.

Trzeba było przebyć w jedną stronę osiem do dziewięciu mil i tyle samo z powrotem, więc wyprawa trwałaby cały dzień. Ponieważ chodziło także o zbadanie nieznanego obszaru wyspy, w wyprawie miała wziąć udział cała kolonia. Dlatego też 5 lipca, o szóstej rano, gdy ledwie zaczęło świtać, Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Pencroff, uzbrojeni w oszczepy, sidła, łuki i strzały oraz zaopatrzeni w zapas żywności, opuścili Granitowy Pałac, poprzedzani przez Topa, podskakującego przed nimi wesoło.



Wybrano najkrótszą drogę, jaką było przejście przez Rzekę Dziękczynienia po skuwającym ją lodzie.

— Jednak — zauważył słusznie reporter — to nie może zastąpić porządnego mostu!

W ten sposób do listy przyszłych prac zostało dopisane zbudowanie „porządnego” mostu.

Po raz pierwszy noga kolonistów stanęła na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Zapuścili się pomiędzy olbrzymie, piękne drzewa iglaste, pokryte teraz śniegiem.

Nie przeszli nawet mili, gdy nagle z gęstych zarośli, wypłoszona ujadaniem Topa, wyskoczyła cała rodzina jakichś czworonogów, które widocznie tam mieszkały.

— Ach, wyglądają jak lisy! — zawołał Harbert, widząc umykającą co tchu gromadę.

Były to rzeczywiście lisy, ale bardzo duże, wydające odgłosy podobne do szczekania, co Topa wprowadziło w takie zdziwienie, że zatrzymał się w pogoni, co dało im czas uciec i zniknąć. Pies miał prawo się zdziwić, gdyż nie znał nauk przyrodniczych. Właśnie tym szczekaniem lisy te, o szaroburzych futrach i czarnych ogonach zakończonych białą kitką, zdradzały swoje pochodzenie. Harbert bez wahania wymienił ich właściwą nazwę: kolpeo<sup>182</sup>, czyli lisy andyjskie. Spotyka się je często w Chile, na Malwinach<sup>183</sup> oraz we wszystkich krajach Ameryki pomiędzy trzydziestym a czterdziestym równoleżnikiem. Harbert bardzo żałował, że Top nie złapał żadnego z tych drapieżników.

— A dają się one jeść? — zapytał Pencroff, zawsze oceniający przedstawicieli fauny tylko z tego szczególnego punktu widzenia.

— Nie — odpowiedział Harbert — ale zoologowie nie ustalili jeszcze, czy mają wzrok dzienny, czy nocny, i czy w związku z tym nie należałoby ich zaliczyć do kategorii psów właściwych.

Cyrus Smith nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, słysząc tę uwagę, dowodzącą poważnego umysłu chłopca. Co zaś do marynarza, to od chwili, kiedy dowiedział się, że lisów nie można zaliczyć do kategorii rzeczy jadalnych, nic go nie obchodziło. Zauważył tylko, że kiedy w Granitowym Pałacu założą hodowlę psów, trzeba będzie zabezpieczyć się przeciwko odwiedzinom tych czworonożnych rabusiów. Nikt temu nie zaprzeczył.

Gdy koloniści obeszlą cypel, ujrzeni przed sobą długi pas wybrzeża oblewanego falami rozległego oceanu. Była ósma rano. Niebo było bardzo czyste, jak to się zdarza przy silnych i długotrwałych mrozach, ale rozgrzani marszem Cyrus Smith i jego towarzysze nie odczuwali zbyt dotkliwie uszczypnięć ostrego powietrza. Zresztą pogoda była bezwietrzna, co pomagało znosić niską temperaturę. Świecące, ale nie ogrzewające słońce wynurzało się właśnie z oceanu i jego olbrzymi krąg płynął nad horyzontem. Powierzchnia morza była spokojna, a jej błękit przypominał wody śródziemnomorskiej zatoki pod jasnym niebem. Na południowym wschodzie, w odległości około czterech mil, rysował się wyraźnie Przylądek Szponu, zakrzywiony jak jatagan<sup>184</sup>. Na lewo skraj bagien raptownie kończył się niewielkim cypłem, który promienie słoneczne stroiły w tej chwili właśnie ognistą smugą. Z pewnością w tej części Zatoki Stanów Zjednoczonych, gdzie nie było żadnej osłony od strony morza, nawet ławicy piasku, smagane wschodnimi wichrami statki nie znalazłyby schronienia. Spokojna powierzchnia morza, którego wód nie mąciła żadna mielizna, jednolita barwa wody, nigdzie niewpadającej w odcień żółtawy, wreszcie brak skał podwodnych — wszystko to wskazywało, że brzeg musiał tu być urwisty i że ocean kryje w tym miejscu głębokie otchłanie. W oddali na zachodzie, w odległości czterech mil, rysowały się pierwsze szeregi drzew Lasów Dalekiego Zachodu. Miało się wrażenie, że się jest na jakimś niegościnnym wybrzeżu wyspy z okolic podbiegunowych, otoczonym lodami. Rozpalono ognisko z gałązek i wyschniętych wodorostów, a Nab przygotował posiłek z zimnego mięsa oraz herbaty Oswega.

<sup>182</sup>kolpeo, nibylis a. lis andyjski, *Lycalopex culpaeus* — gatunek drapieżnego ssaka z rodziny psowatych, zamieszkujący tereny zach. i płd. części Ameryki Południowej. Jego międzynarodowa nazwa rodzajowa *Lycalopex* jest połączeniem dwóch greckich słów oznaczających wilka i lisa; w systematyce taksonomicznej nie jest zaliczany do lisów, ale do psów właściwych, a swoim zachowaniem i wyglądem przypomina bardziej kojoty i wilki. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>Malwiny a. *Falklandy* — wyspy na płd.-zach. Atlantyku, ok. 500 km na wsch. od wybrzeży Argentyny. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>jatagan — broń sieczna o zakrzywionym ostrzu, używana od XVI w. przez Turków, Arabów i Persów. [przypis edytorski]

Jedząc, rozglądali się wkoło. Ta część Wyspy Lincoln była naprawdę nieurodzajna i kontrastowała z całym jej zachodnim regionem. Reporter zauważył, że gdyby los rzucił ich najpierw na to wybrzeże, mieliby jak najgorsze wyobrażenie o swojej przyszłej siedzibie.

— Zdaje mi się, że tędy w ogóle nie dotarlibyśmy na wyspę — powiedział inżynier — gdyż morze jest tu głębokie i nie ma żadnej skały, której można by się chwycić. Przed Granitowym Pałacem są przynajmniej ławice piasku i wysepka, które zwiększają szanse uratowania się. Tutaj — tylko otchłań.

— To dość ciekawe — zauważył Gedeon Spilett — że tak stosunkowo niewielka wyspa posiada tak urozmaicone tereny. Logicznie rzecz biorąc, taka różnorodność zwykle jest cechą lądów stałych, mających znaczną powierzchnię. Można by sądzić, że część zachodnią Wyspy Lincoln, tak bogatą i żyzną, opływa ciepły prąd z Zatoki Meksykańskiej, a wybrzeża północne i południowo-wschodnie są na jakimś Morzu Arktycznym.

— Ma pan słuszność, drogi panie Spilett — odpowiedział Cyrus Smith — ja też to zauważyłem. Ta wyspa wydaje mi się dziwna i co do kształtu, i co do przyrody. Wygląda, jakby przeplatały się tu wszelkie tereny występujące na kontynencie, i nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że była kiedyś częścią kontynentu...

— Co takiego? Kontynent na środku Pacyfiku?! — wykrzyknął Pencroff.

— Dlaczegożby nie? — odparł Cyrus Smith. — Dlaczego Australia, Nowa Irlandia<sup>185</sup>, to wszystko, co angielscy geografowie nazywają Australazją, nie miałyby łącznie z archipelagami Pacyfiku tworzyć niegdyś szóstej części świata, równie wielkiej jak Europa lub Azja, jak Afryka czy obie Ameryki? Mój umysł bynajmniej nie broni się przez hipotezę, że wszystkie wyspy wynurzające się z tego rozległego oceanu są tylko wierzchołkami zatopionego lądu, który w epokach przedhistorycznych wznosił się nad wodami.

— Takiego, jak niegdyś Atlantyda — wtrącił Harbert.

— Tak jest, mój chłopcze... jeżeli rzeczywiście istniała.

— I Wyspa Lincoln miałyby stanowić część tego kontynentu? — spytał Pencroff.

— Być może — odparł Cyrus Smith — to wyjaśniałoby różnorodność płodów natury na jej powierzchni.

— I wielką ilość zamieszkujących ją okazów fauny — dodał Harbert.

— Tak jest, mój chłopcze — odpowiedział inżynier — dostarczasz mi kolejnego argumentu na poparcie mojego przypuszczenia. Sądząc po tym, co widzieliśmy, z pewnością na wyspie jest wiele zwierząt, a co jeszcze dziwniejsze, bardzo różnorodnych gatunków. Musi to mieć jakąś przyczynę i według mnie wynika to stąd, że Wyspa Lincoln stanowiła część jakiegoś obszernego kontynentu, który stopniowo zanurzył się w Pacyfiku.

— A więc pewnego pięknego dnia — zapytał Pencroff, który nie wydawał się jeszcze zupełnie przekonany — to, co pozostało z dawnego kontynentu, może także zniknąć pod wodą i nic już nie zostanie pomiędzy Ameryką i Azją?

— Owszem — odparł Cyrus Smith — będą nowe lądy stałe, nad których wzniesieniem pracują teraz miliardy miliardów żyjątek.

— A co to za budowniczości? — zapytał Pencroff.

— Polipy<sup>186</sup> koralowe — odpowiedział Cyrus Smith. — To właśnie one nieustanną pracą utworzyły wyspę Clermont-Tonnerre<sup>187</sup>, atole i niezliczone wyspy koralowe rozrzucone po Pacyfiku. Na jeden gran<sup>188</sup> wagi potrzeba czterdziestu siedmiu milionów tych polipów, a jednak z soli morskich i stałych składników wody, które wchłaniają, te żyjątka wytwarzają wapień, który z kolei tworzy ogromne podwodne budowle, twarde i trwałe jak granit. Niegdyś, w pierwszych epokach stworzenia, przyroda do dźwignia lądów w górę używała ognia, obecnie zaś mikroskopijne zwierzątka zastępują ogień, którego siła dynamiczna wewnątrz globu widocznie osłabła, o czym świadczy duża ilość wygasłych wulkanów na powierzchni ziemi. Sądzę, że po wielu, wielu wiekach, po setkach pokoleń

<sup>185</sup> *Nowa Irlandia* — duża wyspa w Archipelagu Bismarcka, na zach. od Nowej Gwinei; na północ i wschód od niej rozciąga się otwarty ocean. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *polipy* — osiadła forma życiowa parzydełkowców. Morskie, skalotwórcze polipy koralowe żyją zwykle kolonijnie, na niewielkich głębokościach, przytwierdzone do dna; wiele gatunków wytwarza wapienne szkielety, z których powstają rafy i wyspy koralowe. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *Clermont-Tonnerre* — daw. nazwa atolu Reao (Natupe) w należącym do Polinezji Francuskiej archipelagu Tuamotu na Oceanie Spokojnym. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *gran* (z ang. *grain*: ziarno) — niewielka jednostka masy używana w krajach anglosaskich, równa 1/7000 funta, tj. ok. 1/15 grama. [przypis edytorski]

polipów Pacyfik może kiedyś zamienić się w rozległy kontynent, na którym zamieszkają nowe pokolenia ludzkie i będą tam z kolei krzewić cywilizację.

— O, długo to potrwa! — powiedział Pencroff.

— Przyroda ma czas — odparł inżynier.

— Ale jaki byłby pożytek z nowych lądów? — spytał Harbert. — Zdaje mi się, że obecna powierzchnia zamieszkiwanych obszarów wystarczy ludzkości. A przecież przyroda nie robi nic bezużytecznego.

— Istotnie, nic bezużytecznego — odpowiedział inżynier. — Ale można wytłumaczyć potrzebę powstania w przyszłości nowych lądów, i to właśnie w strefie tropikalnej, gdzie znajdują się wyspy koralowe. Przynajmniej takie wyjaśnienie mnie przekonuje.

— Słuchamy pana, panie Cyrusie — powiedział Harbert.

— Oto moja myśl: Uczni zgodnie uznają, że pewnego dnia nasza kula ziemską skończy się, a właściwie, że skończy się na niej życie zwierzęce i roślinne, stanie się niemożliwe wskutek znacznego oziębienia, jakiemu ulegnie planeta. Nie zgadzają się tylko co do przyczyny tego oziębienia. Jedni sądzą, że nastąpi z powodu obniżenia się po milionach lat temperatury Słońca; inni, że wskutek stopniowego wygaśnięcia wewnętrznego żaru Ziemi, który wywiera dużo większy wpływ na nasz glob, niż się powszechnie uważa. Co do mnie, jestem za tą ostatnią hipotezą, przy czym opieram się na fakcie, że Księżyc jest w rzeczywistości wystygłym i już niezamieszkanym ciałem niebieskim, choć Słońce nie przestaje posyłać na jego powierzchnię tej samej ilości ciepła. Jeżeli więc Księżyc wystygł, to dlatego, że całkowicie wygasły jego ogień wewnętrzny, którym, podobnie jak wszystkie inne ciała niebieskie, zawdzięcza swoje powstanie. Zresztą niezależnie od tego, co będzie przyczyną, kiedyś nasza kula ziemską ostygnie, ale ostygnięcie to będzie się odbywało stopniowo. Co się wówczas stanie? Otóż strefy umiarkowane w mniej lub bardziej odległej przyszłości przestaną się nadawać do zamieszkania, tak jak obecnie okolice podbiegunowe. A wtedy ludzie, jak i zwierzęta gromadnie powędrują na szerokości geograficzne bardziej poddane wpływowi słonecznemu. Nastąpi wielka migracja. Europa, Azja Środkowa i Ameryka Północna zostaną opuszczone, tak samo jak Australia i południowe obszary Ameryki Południowej. Za wędrowką ludzi będzie podążać roślinność. Flora cofnie się na równik razem z fauną. Głównymi zamieszkałymi lądami staną się środkowe części Ameryki Południowej i Afryki. Lapończycy<sup>189</sup> i Samojedzi<sup>190</sup> na wybrzeżach Morza Śródziemnego znajdą warunki klimatyczne znad Morza Lodowatego. Kto nam zaręczy, że w tej epoce regiony równikowe nie okażą się zbyt małe, by pomieścić i wyżywić całą ludność Ziemi? Dlaczegoż by więc przewidująca przyroda, chcąc przygotować schronienie dla całej tej emigracji roślinnej i zwierzęcej, nie miałyby już teraz zakładać pod równikiem fundamentów nowego kontynentu i dlaczego nie miałyby powierzyć polipom jego budowy? Często rozmyślałem nad tymi sprawami, przyjaciele, i wierzę, że wygląd zewnętrzny naszej kuli ziemskiej zupełnie się kiedyś zmieni, że wskutek wyniesienia się nowych kontynentów morza pokryją stare i że w przyszłych wiekach Kolumbowie odkryją wyspy Chimborazo<sup>191</sup>, Himalaje czy Bont Blanc<sup>192</sup> — szczątki Ameryki, Azji czy Europy, pochłoniętych przez fale morskie. W końcu z kolei i te nowe lądy staną się niezdatne do zamieszkania; ciepło z nich ucieknie, jak ciepło ciała, które opuściła dusza, i życie zniknie z naszego globu, jeżeli nie ostatecznie, to co najmniej na jakiś czas. I może wtedy nasza kula ziemską odpocznie, może przeistoczy się podczas śmiertelnego snu, aby kiedyś odżyć w lepszych warunkach... Ale to wszystko, przyjaciele, jest tajemnicą Stwórcy wszechrzeczy, a z powodu pracy polipów posunąłem się być może zbyt daleko w rozpatrywaniu sekretów przyszłości.

— Mój drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett — te teorie są dla mnie prośnię, które niewątpliwie kiedyś się spełnią.

— To tajemnica Boga — powiedział inżynier.

<sup>189</sup>Lapończycy — lud zamieszkujący Laponię, krainę historyczno-geograficzną w Europie Północnej obejmującą północne krańce Norwegii, Szwecji, Finlandii oraz Rosji (Płw. Kolski). [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Samojedzi — grupa ludów zamieszkujących płn.-zach. Syberię. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>Chimborazo — najwyższy szczyt Ekwadoru, o wys. 6263 m n.p.m.; położony w płn. Andach, bardzo blisko równika, uznawany za szczyt najbardziej odległy od środka Ziemi. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>Bont Blanc — najwyższy szczyt Europy, o wys. 4808 m; położony w Alpach. [przypis edytorski]

— Wszystko to ładnie, pięknie — odezwał się Pencroff, słuchający dotąd uważnie — ale czy może mi pan powiedzieć, panie Cyrusie, czy Wyspę Lincolna także zbudowały pańskie polipy?

— Nie — odpowiedział Cyrus Smith — ona ma pochodzenie czysto wulkaniczne.

— A więc pewnego dnia zniknie?

— Bardzo możliwe.

— Mam nadzieję, że nas już tu wtedy nie będzie.

— Nie, niech pan się nie martwi, Pencroffie, nas już tu nie będzie, bo nie mamy najmniejszej ochoty tu umrzeć i znajdziemy w końcu jakiś sposób wydostania się z wyspy.

— A tymczasem — wtrącił Gedeon Spilett — urządzajmy się jak na wieczność. Nie należy nigdy niczego robić połowicznie.

Na tym skończyła się rozmowa, a jednocześnie z nią i śniadanie. Koloniście zabrali się na nowo do badania okolicy i wkrótce doszli do miejsca, od którego rozpoczynały się bagna.

Było to prawdziwe bagnisko, rozciągające się aż do zaokrąglonego brzegu na południowym wschodzie wyspy, na powierzchni dwudziestu mil kwadratowych. Utworzone było z mułu gliniasto-krzemiennego, pomieszanego z mnóstwem szczątków roślinnych. Pokrywały je glony, trzciny, turzyce, sitowie, tu i ówdzie kępy traw, gęste jak grube kobierce. Gdzieniedzie lśniły zamrożone bajorka, odbijając promienie słońca. Tych rezerw wodnych nie mogły utworzyć ani deszcze, ani żadna wezbrana nagłym napływem wód rzeka. Należało więc wnioskować, że bagnisko zasila woda sącząca się z ziemi, i tak też było istotnie. Można było obawiać się, czy w czasie upałów w powietrzu nie unosiły się miazmaty<sup>193</sup> wywołujące gorączkę bagienną<sup>194</sup>.

Ponad trawami wodnym, rosnącymi na powierzchni stojącej wody, fruwały się chmary ptactwa. Myśliwy nie zmarnowałby tu ani jednego strzału. Dzikie kaczki, rożeńce, cyranki, bekasy żyły tu gromadnie i nie zdradzając najmniejszej obawy, pozwalały się z łatwością podejść.

Jednym strzałem ze śrutówki<sup>195</sup> można by położyć parę tuzinów tych ptaków, tak były stłoczone. Trzeba jednak było poprzestać na strzelaniu do nich z łuku. Oczywiście, wyniki były gorsze, ale cicho lecąca strzała miała tę przewagę, że nie płoszyła ptactwa, które na odgłos wystrzału rozproszyłyby się po wszystkich zakątkach bagniska. Myśliwi zadowolili się tym razem tuzinem kaczek o białym upierzeniu z cynamonowymi paskami, zielonym łebku, czarnych, białych i rudych skrzydłach oraz spłaszczonym dziobie. Harbert rozpoznał w nich kazarki<sup>196</sup>. Top zręcznie pomagał wylawiać ptaki, których imieniem nazwano tę bagnistą część wyspy. Koloniści znaleźli tutaj wielkie rezerwy wodnego ptactwa. Gdy nadejdzie czas, trzeba będzie odpowiednio z nich korzystać, a przy tym niektóre gatunki prawdopodobnie dałoby się jeżeli nie oswoić, to przynajmniej zaaklimatyzować w okolicach jeziora, gdzie mieliby je pod ręką.

Około piątej po południu Cyrus Smith i jego towarzysze udali się w drogę powrotną do domu, przechodząc przez Bagno Kazarek i przekraczając Rzekę Dziękczynienia po lodowym moście.

O ósmej wieczorem byli już w Granitowym Pałacu.

## ROZDZIAŁ XXII

*Wilcze doły. — Lisy. — Pekari. — Zmiana wiatru na północno-zachodni. — Śnieżna zawieja. — Koszykarstwo. — Najsilniejsze mrozy. — Krystalizacja cukru klonowego. — Tajemnicza studnia. — Zamierzone badania. — Ziarnko śrutu.*

<sup>193</sup>miazmaty (z gr.) — szkodliwe wyziewy, niezdrowe powietrze. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>gorączka bagienna — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. Dawniej uważano, że jej przyczyną są szkodliwe wyziewy bagienne; przypuszczenie, że powoduje ją zakażenie pierwotniakami przenoszonymi przez komary, pojawiło się dopiero w latach 80. XIX w. i zostało potwierdzone odkryciem przez Ronalda Rossa cyklu rozwojowego zarodźca malarii (nagroda Nobla w 1902). [przypis edytorski]

<sup>195</sup>śrutówka — strzelba myśliwska, z której strzela się śrutem. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>kazarki (biol.) — rodzaj ptaków z podrodziny kaczek, obejmujący kilka gatunków zamieszkujących Afrykę, Eurazję i Australię. [przypis edytorski]

Silne mrozy trwały aż do 15 sierpnia, nie przekraczając jednak dotychczasowego minimum. Przy bezwietrznym powietrzu łatwiej było znieść niską temperaturę, ale gdy wiatr się rozgulał, zimno dawało się we znaki ludziom niemającym odpowiedniego odzienia. Pencroff żałował, że na Wyspie Lincolna nie znalazło schronienia kilka rodzin niedźwiedzi zamiast lisów i fok, których futra pozostawiały wiele do życzenia.

— Niedźwiedzie — mówił — są zwykle dobrze odziane i z chęcią pożyczylbym do nich na zimę ciepłą kapotę, którą noszą na grzbiecie.

— Ba! — odpowiadała na to Nab. — Ale może one wcale by się zgodziłyby, Pencroffie, na odstąpienie kapoty. Te bestie nie są świętym Marcinem<sup>197</sup>!

— No, toby się je zmusiło, Nabie, zmusiłoby się — odcinał się Pencroff tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Ale tych groźnych drapieżników na wyspie nie było, a przynajmniej dotychczas się nie pokazały.

Na wszelki jednak wypadek Harbert, Pencroff i reporter zajęli się urządzeniem wilczych dołów na Płaskowyżu Pięknego Widoku i w pobliżu lasu. Zdaniem marynarza każde zwierzę było pożądaną zdobyczą, a gryzonie czy drapieżniki, które wpadną w nowe pułapki, zostaną dobrze przyjęte w Granitowym Pałacu.

Konstrukcja pułapek była nadzwyczaj prosta: wykopane doły w ziemi, przykryte z wierzchu gałęziami i trawą, maskującymi otwór, wewnątrz przynęta, której zapach miał zwabić zwierzynę — i to wszystko. Należy wspomnieć, że dołów nie kopali na chybił trafił, ale w upatrzonych miejscach, tam gdzie liczne ślady wskazywały na częste przechodzenie zwierząt. Zasadzki codziennie sprawdzano i w pierwszych dniach trzykrotnie znaleziono w nich okazy lisów napotkanych wcześniej na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia.

— Ach, do kroćset! W tym kraju są tylko lisy! — wykrzyknął Pencroff, gdy po raz trzeci wyciągał z dołu jedno z tych zwierząt, siedzące tam z zakłopotaną miną. — Zwierzaki nic nie warte!

— Ale jednak — odpowiedział mu Gedeon Spilett — na coś się przydadzą.

— Ciekawe na co?

— Na przynętę dla innych zwierząt.

Reporter miał rację i odtąd jako przynętę kładziono do dołów zabite lisy.

Marynarz sporządził także sidła z włókien trzciniowych i było z nich więcej pożytku niż z dołów. Rzadko kiedy minął dzień, by nie złapał się w nie jakiś królik. Co prawda stałe były to króliki, ale Nab wiedział, jak przyrządzać je w przeróżnych sosach, tak że kolonistom ani na myśl nie przyszło się uskarżać.

Jednakże raz czy dwa razy, w drugim tygodniu sierpnia, doły dostarczyły myśliwym innej zwierzyny, i to bardziej przydatnej niż lisy. Były to mianowicie dziki, które zauważyli już kiedyś na północnym brzegu jeziora. Tym razem Pencroff nie musiał pytać, czy te zwierzęta są jadalne. Można to było poznać od razu po ich podobieństwie do świń amerykańskich i europejskich.

— Ale uprzedzam cię, Pencroffie, że to nie są świny — powiedział do niego Harbert.

— Mój chłopcze — odpowiedział marynarz, pochylając się nad dołem i wyciągając stamtąd za małąki ogonek jednego z przedstawicieli rodziny świńiokształtnych — pozwól mi wierzyć, że to świny!

— Dlaczego?

— Bo mi to sprawia przyjemność!

— Lubisz więc świny?

— Bardzo lubię świny — odparł Pencroff — zwłaszcza za ich nóżki, i lubiłbym je jeszcze bardziej, gdyby miały po osiem nóg zamiast czterech!

<sup>197</sup> *Marcin z Tours* (316 lub 336–397) — pustelnik, założyciel pierwszych wspólnot zakonnych w Kościele zachodnim, biskup Tours, święty chrześcijański, patron Francji. W jego żywocie opisano, że kiedy w młodości służył w Galii jako kawalerzysta armii rzymskiej, zimą pod murami miasta napotkał półnagiego żebraka, któremu oddał połowę swojej żołnierskiej opończy, rozcinając ją mieczem. W nocy po tym zdarzeniu we śnie zobaczył Chrystusa odzianego w tę samą połówkę płaszcza i mówiącego aniołom, że Marcin go nią okrył. Według jednej z opowieści usłyszał też, że podarowana część należy do niego, a kiedy się zbudził, jego opończa znów była cała. [przypis edytorski]

Zwierzętami, które wpadły do dołu, były pekari<sup>198</sup>, należące do jednego z czterech rodzajów, które liczy ta rodzina, a mianowicie do gatunku *Tayassu*<sup>199</sup>, który rozpoznać można po ciemniejszej sierści i braku długich kłów, sterczących z pyska u reszty kuzynów. Pekari żyją zwykle stadami i prawdopodobnie w zalesionych częściach wyspy było ich wiele. W każdym razie jadalne były od stóp do głów, a Pencroff niczego więcej od nich nie wymagał.

Około 15 sierpnia pogoda nagle się zmieniła z powodu północno-zachodniego wiatru. Temperatura podniosła się o kilka stopni i niebawem opary nagromadzone w powietrzu spadły w postaci śniegu. Cała wyspa pokryła się białym całunem i ukazała się mieszkańcom pod inną postacią. Śnieg sypał obficie przez kilka dni i wkrótce grubość jego pokrywy osiągnęła dwie stopy.

Zaczął wiać gwałtowny wiatr, a z wysokości Granitowego Pałacu słychać było, jak morze huczy, rozbijając się o rafy. W niektórych załamaniach skał tworzyły się wiry powietrzne, a śnieg kręcił się tam w wysokich słupach, podobnych do trąb wodnych, które okręty muszą rozbijać strzałami z armat. Na szczęście huragan idący od północnego zachodu uderzał na wyspę z drugiej strony, co ratowało Granitowy Pałac od bezpośredniego naporu. Podczas tej śnieżycy, tak strasznej, jak gdyby to było gdzieś w okolicach podbiegunowych, ani Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie mogli pomimo szczerych chęci wyjść na zewnątrz i przez pięć dni, od 20 do 25 sierpnia, pozostali w zamknięciu. Słychać było, jak burza szaleje w Lesie Złotopióra, gdzie musiała wyrządzić wiele szkód. Mnóstwo drzew wichur z pewnością wyrwał z korzeniami, ale Pencroff pocieszał się myślą, że to mu oszczędzi trudu ścinania pni.

— Wichur został drwalem, nie przeszkadzajmy mu — powtarzał.

Zresztą nie było żadnego sposobu, żeby mu przeszkodzić.

Jakież to dzięki Niebu składali mieszkańcy Granitowego Pałacu za obdarowanie ich tym solidnym, niewzruszonym schronieniem! Część podziękowań należała się słusnie Cyrusowi Smithowi, ale koniec końców to przyroda utworzyła tę ogromną pieczarę, a on tylko ją odkrył. Tutaj wszyscy byli bezpieczni i ciosy burzy nie mogły ich dotknąć. Gdyby zbudowali na Płaskowyżu Pięknego Widoku dom z cegieł i drewna, na pewno nie oparłby się teraz wściekłości huraganu. Co do Kominów, to wystarczyło przysłuchać się łoskotowi fal dobiegającemu z niezmierną siłą od ich strony, aby pojąć, że w tej chwili musiały zupełnie nie nadawać się do zamieszkania, gdyż morze, przewaliwszy się przez wysepkę, wściekle o nie uderzało. Tymczasem tutaj, w Granitowym Pałacu, w środku masywu skalnego, gdzie nie miała dostępu ani woda, ani wichur — nie było najmniejszej obawy.

Podczas tych kilku dni przymusowego zamknięcia koloniści nie siedzieli beczynnie. W magazynie nie brakowało drewna pociętego na deski, więc pomалу uzupełniano umeblowanie, robiąc stoły i krzesła, bardzo solidne, bo nie oszczędzano materiału. Sprzęty te, trochę przyciężkie, trudno byłoby nazwać ruchomościami, gdyż nie dawały się łatwo przenosić z miejsca na miejsce, mimo to stanowiły przedmiot dumy Naba i Pencroffa, którzy nie zamieniliby ich na cacka wyrobu Boule'a<sup>200</sup>.

Następnie koloniści ze stolarzy zamienili się w koszykarzy i wcale nieźle radzili sobie w tym nowym rzemiośle. W pobliżu wysuniętego na północ krańca jeziora odkryli obfite zarośla wikliny, gdzie rosło mnóstwo wierzby purpurowej<sup>201</sup>. Przed nadejściem pory deszczowej Harbert i Pencroff zebrali sporo pożytecznych krzewów i obecnie ich gałęzie, dobrze przez ten czas przygotowane, mogły być z powodzeniem wykorzystane. Pierwsze próby wypadły niezdarne, ale dzięki zręczności i pojętności robotników, służących sobie wzajemnie radami, przypominających sobie widziane wzory, współzawodniczących z sobą, wkrótce najrozmaitszych rozmiarów kosze i koszyki powiększyły inwentarz kolonii.

<sup>198</sup>pekari (biol.) — wszystkożerne zwierzę podobne do dzika, żyjące stadnie w lasach Ameryki Południowej, Środkowej i pld.-zach. części Ameryki Północnej, spokrewnione ze świniowatymi. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>*Tayassu pecari* (biol.) — pekari białobrody, jedyny przedstawiciel rodzaju *Tayassu*, jednego z czterech rodzajów, na jakie dzieli się rodzina pekariowców (*Tayassuidae*). [przypis edytorski]

<sup>200</sup>Boule, André Charles (1642–1732) — najsłynniejszy francuski projektant i wytwórca artystycznych mebli; pracował na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>wierzba purpurowa, *Salix purpurea* — wiklina, gatunek krzewu z rodziny wierzbowatych, tworzący zarośla nad brzegami rzek i potoków, występujący w Europie, Azji i Afryce Północnej. [przypis edytorski]

Zaopatrzone w nie magazyn, a oprócz tego Nab poumieszczał w specjalnych koszykach swoje zbiory kłaczy, orzeszków pinii i korzeni smokowca.

W ostatnim tygodniu sierpnia pogoda znowu się zmieniła. Temperatura nieco spadła, a burza ucichła. Koloniści wyszli na zewnątrz. Na plaży leżały na pewno ze dwie stopy śniegu, ale po jego stwardniałej powierzchni można było iść bez większego trudu. Cyrus Smith i jego towarzysze wpięli się na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Co za zmiana! Lasy, które zostawili w zieleni, zwłaszcza w najbliższej części, gdzie przeważały drzewa iglaste, zniknęły obecnie pod jednobarwną okrywą. Wszystko było teraz białe, od szczytu Góry Franklina aż do wybrzeża: lasy, łąki, jezioro, rzeka. Fale Rzeki Dziękczynienia płynęły pod sklepieniem z lodu, które przy każdym przyplywie i odpływie pękało i łamało się z trzaskiem. Gromady ptactwa fruwały nad zamarzniętą powierzchnią jeziora: kaczki i bekasy, rożeńce i nużyki. Były ich tysiące. Skały, pomiędzy którymi płynął wodospad na skraju płaskowyżu, były najeżone lodem. Wyglądało to, jakby woda umykała przed paszczą potwornego gargulca<sup>202</sup>, wyrzeźbioną z całą fantazją renesansowego artysty. Szkód wyrządzonych w lesie przez huragan nie można było jeszcze ocenić. Trzeba było czekać, aż stopnieją śniegi.

Gedeon Spilett, Pencroff i Harbert nie omieszkali skorzystać z okazji, żeby odwiedzić swoje wilcze doły. Z trudnością je odnaleźli pod grubą warstwą śniegu. Musieli uważać, ażeby nie wpaść do któregoś z nich, gdyż byłoby to i niebezpieczne, i zarazem upokarzające: wpaść we własną pułapkę! Uniknęli szczęśliwie tej przykrości i odnaleźli doły zupełnie nienaruszone. Nie wpadło w nie żadne zwierzę, a jednak wokół widniało mnóstwo tropów, między innymi wyraźnie zarysowane ślady pazurów. Harbert bez wahania stwierdził, że przeszły tędy jakieś drapieżniki z rodziny kotów, co potwierdzało zdanie inżyniera o istnieniu na Wyspie Lincolna niebezpiecznych dzikich zwierząt. Niewątpliwie zazwyczaj mieszkają w gęstych Lasach Dalekiego Zachodu, ale przyciśnięte głodem zapędziły się aż na Płaskowyż Pięknego Widoku. Kto wie, może zwęszyły mieszkańców Granitowego Pałacu?

— No, ale co to za zwierzęta? — zapytał Pencroff.

— Jaguary — odpowiedział Harbert.

— Myślałem, że żyją tylko w ciepłych krajach.

— Na nowym kontynencie<sup>203</sup> — odpowiedział młody chłopiec — spotkać je można od Meksyku do pampasów<sup>204</sup> koło Buenos Aires. A ponieważ Wyspa Lincolna leży na prawie tej samej szerokości, co kraina La Platy<sup>205</sup>, nic dziwnego, że i tu trafiają się jaguary.

— Dobrze, będziemy się mieć na baczności — powiedział Pencroff.

Tymczasem ociepiło się i śnieg zaczął tajać. Rozpadał się deszcz, rozpuścił śnieg i biała okrywa zniknęła bez śladu. Pomimo brzydkiej pogody koloniści uzupełnili zapasy żywności, zarówno roślinnej, jak i zwierzęcej. Nazbierali orzeszków piniowych, korzeni smokowca, kłaczy, soku klonowego. Przynieśli króliki, aguti i kangury. Wymagało to kilku wycieczek do lasu i stwierdzili przy okazji, że huragan powalił wiele drzew. Marynarz i Nab dotarli nawet z wózkami aż do pokładów węgla i przyciągnęli kilka ton opału. Po drodze spostrzegli, że komin pieca garncarskiego został poważnie uszkodzony przez wicher i ścięty o prawie sześć stóp.

Równocześnie z węglem uzupełnili także zapasy drewna, korzystając z uwolnionego od lodów prądu Rzeki Dziękczynienia, którą spławili do Granitowego Pałacu kilka tratw. Nie wiadomo było, czy pora mrozów na pewno się już skończyła.

Odwiedzili również Kominy i ujrawszy je, mogli sobie tylko pogratulować, że nie było ich tu w czasie burzy. Morze pozostawiło po sobie niezaprzeczalne ślady spustoszenia. Pędzone gwałtownym wiatrem fale, przewalwszy się przez wysepkę, zalały korytarze, które były teraz do połowy zasypane piaskiem; skały pokrywała gruba warstwa wodorostów. Podczas gdy Nab, Harbert i Pencroff polowali lub odnawiali zapasy opału, Cyrus

<sup>202</sup>*gargulec* — rzygacz, ozdobne zakończenie rynny w kształcie głowy zwierzęcej bądź ludzkiej. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*nowy kontynent* — odkryta przez Kolumba Ameryka, w odróżnieniu od znanych Europejczykom od starożytności lądów Europy, Azji i Afryki. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>*pampasy* — południowoamerykańskie stepy. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*La Plata* — wielkie wspólne lejkowate ujście końcowych odcinków rzek Parany i Urugwaj do Oceanu Atlantyckiego. [przypis edytorski]

Smith i Gedeon Spilett zajęli się uprzątnięciem Kominów. Kuźnia oraz piece okazały się prawie nienaruszone, gdyż chroniła je warstwa naniesionego piasku.

Wkrótce okazało się, że koloniści dobrze zrobili, uzupełniając zapasy opału. Mrozy bynajmniej się nie skończyły i znowu dały im się we znaki. Jak wiadomo, że na półkuli północnej luty odznacza się zwykle dużym spadkiem temperatury. Tak samo jest na półkuli południowej i pod koniec sierpnia, który odpowiada lutemu w Ameryce Północnej, wystąpiła tutaj ta sama prawidłowość klimatyczna.

Około 25 sierpnia, po nowych śniegach i deszczach, wiatr zmienił kierunek na południowo-wschodni i nagle zrobiło się bardzo zimno. Według szacunków inżyniera słupek rtęci termometru Fahrenheita wskazywałby co najmniej osiem stopni poniżej zera (około dwudziestu dwu stopni Celsjusza poniżej zera). Mrozy, które z powodu przenikliwego wiatru były jeszcze dokuczliwsze, trwały przez kilka dni. Koloniści musieli znowu zamknąć się w Granitowym Pałacu, a ponieważ trzeba było szczelnie pozatykać wszystkie otwory frontowe, pozostawiając tylko maleńkie szczeliny dla dopływu świeżego powietrza, zużycie świec było wielkie. Aby ich zaoszczędzić, koloniści poprzestawali często na oświetlaniu wnętrza płomieniami ogniska, któremu nie żałowano opału. Parę razy ten czy ów schodził na wybrzeże, pomiędzy bryły lodu nanoszone tam przez przypyływ, ale powracali natychmiast do Granitowego Pałacu, z trudem i bólem trzymając się szczebli drabiny. W czasie silnych mrozów szczeble parzyły im palce.

Należało jakoś zagospodarować wolny czas, którym dysponowali wskutek przymusowego zamknięcia w Granitowym Pałacu. Cyrus Smith przystąpił do pracy, którą można było wykonywać w pomieszczeniu.

Jak wiadomo, koloniści nie mieli innego cukru oprócz soku klonowego, który pozyskiwali, robiąc na drzewie głębokie nacięcia. Płyn ten zbierali do naczyń i używali go w tej postaci do rozmaitych celów kulinarnych, tym łatwiej, że z czasem stawał się bielszy i nabierał konsystencji syropu.

Ale można było zrobić z niego coś lepszego i pewnego dnia Cyrus Smith oznajmił swoim towarzyszom, że zajmą się teraz rafinacją cukru.

— Rafinacją! — odpowiedział Pencroff. — To chyba gorące zajęcie?

— Nawet bardzo — odpowiedział Cyrus.

— A więc przychodzi w samą porę! — zawołał marynarz.

Słowo „rafinacja” nie powinno przywoływać obrazu fabryki ze skomplikowanymi maszynami i mnóstwem robotników. Skądże! Żeby skryształizować sok klonowy, wystarczyło oczyścić go za pomocą bardzo prostego działania. Sok postawiono na ogniu w wielkich glinianych naczyniach, poddano po prostu parowaniu i wkrótce na jego powierzchni pojawiła się piana. Kiedy tylko płyn zaczął gęstnieć, Nab ostrożnie mieszał go drewnianą łopatką, żeby przyspieszyć parowanie i zabezpieczyć go przed smakiem spalenizny.

Po kilku godzinach wrzenia na dużym ogniu, którego działanie było tak samo pożyteczne dla pracowników, jak dla substancji, nad którą pracowali, sok klonowy zamienił się w gęsty syrop. Syrop zlano do glinianych form różnego kształtu, wypalonych uprzednio w piecu kuchennym. Nazajutrz syrop zastygł w postaci głów<sup>206</sup> i tabliczek. Był to cukier, trochę czerwonawy, ale prawie przezroczysty i bardzo smaczny.

Zimno nie ustawało aż do połowy września i jeńcy Granitowego Pałacu zaczęli już narzekać na długość swojej niewoli. Prawie codziennie próbowali wycieczek na zewnątrz, ale tylko na chwilę. Poza tym bez ustanku pracowali nad urządzeniem i zaopatrzeniem we wszystko swego mieszkania. Przy pracy toczyła się pogawędka. Cyrus Smith oświecał swoich towarzyszy w przeróżnych zagadnieniach i w pierwszym rzędzie objaśniał im praktyczne zastosowania nauki. Koloniści nie mieli do dyspozycji biblioteki, ale inżynier był zawsze gotową księgą, zawsze otwartą na potrzebnej stronie, księgą, która rozstrzygała wszystkie ich wątpliwości i którą często przeglądali. Tak mijał czas, nie przynosząc tym dzielnym ludziom najmniejszego lęku o przyszłość.

Była już jednak pora, żeby to zamknięcie wreszcie się skończyło. Wszyscy pragnęli, jeżeli już nie pięknej pogody, to przynajmniej ustania tego nieznośnego zimna. Gdybyż

<sup>206</sup>głowa cukru — forma, jaką do pocz. XX w. nadawano cukrowi rafinowanemu na potrzeby handlu: stożkowata bryła z zaokrąglonym wierzchołkiem, o średnicy podstawy od kilkudziesięciu centymetrów do metra i zróżnicowanej wadze; taką głowę cukru należało następnie rozdrobnić (rozłupać na kawałki, utrzeć w móżdżerzu), aby móc używać cukru do celów spożywczych. [przypis edytorski]



przynajmniej mieli odpowiednią odzież, ile by zrobili wypraw czy to na wydmy, czy też do Bagna Kazarek! Zwierzynę można było teraz łatwo podejść i polowanie na pewno byłoby owocne. Ale Cyrusowi chodziło o to, aby nikt nie narażał zdrowia, bo potrzebował wszystkich rąk do pracy — i jego rady usłuchano.

Najniecierpliwszy ze wszystkich, rozumie się po Pencroffie, był Top. Wiernemu psisku było nazbyt ciasno w Granitowym Pałacu. Chodził z jednego pokoju do drugiego i na swój sposób okazywał niezadowolenie z tak długiej niewoli.

Cyrus Smith zauważył, że gdy Top zbliżał się do ciemnej studni łączącej się z morzem, której otwór znajdował się w głębi magazynu, to zawsze jakoś dziwnie warczał. Nieraz znowu biegał wokół tej dziury zasłoniętej drewnianą pokrywą. Niekiedy nawet próbował wcisnąć łapy pod pokrywę, jak gdyby chciał ją podnieść. Poszczekiwał wówczas w pewien szczególny sposób, wyrażający zarazem gniew i niepokój.

Inżynier parokrotnie zaobserwował te manewry Topa. Co mogło być w tej przepaści, co tak niepokoiło to pojętne zwierzę? Studnia dochodziła do aż morza — to było pewne. Czyżby rozgałęziała się wąskimi kanałami przebiegającymi pod całą wyspą? Może łączyła się z innymi pieczarami? Może od czasu do czasu jakiś morski potwór przypląwał, żeby zaczerpnąć powietrza na dnie studni? Inżynier nie wiedział, co o tym myśleć i nie mógł się powstrzymać od snucia różnych dziwacznych wyjaśnień. Przyzwyczajony do stąpania po twardym gruncie rzeczywistości naukowej, nie mógł sobie wybaczyć, że daje się wciągnąć w dziedzinę rzeczy dziwnych, prawie nadprzyrodzonych. Ale jak można było wytłumaczyć, że Top, jeden z tych rozsądnych psów, które nigdy nie marnowały czasu, szczekając na księżyc, tak uporczywie węchem i słuchem badał tę studnię, gdyby się w niej nie działo coś dla niego niepokojącego? Zachowanie Topa intrygowało Cyrusa Smitha bardziej, niż się do tego przyznawał sam przed sobą.

W każdym razie swoimi spostrzeżeniami podzielił się tylko z Gedeonem Spilettem, uważając za zbyt ciche wtajemniczać towarzyszy w mimowolne refleksje, wywołane być może tylko zwykłą psią fantazją Topa.

Wreszcie zimna ustały. Zaczęły się deszcze, ulewy ze śniegiem, ulewy z gradem, wiatry gwałtowne — ale wszystko to trwało niedługo.

Lody ustąpiły, śniegi stopniały — plaża, płaskowyż, brzegi Rzeki Dziękczynienia i las stały się znowu dostępne. Powrót wiosny zachwylił mieszkańców Granitowego Pałacu i wkrótce spędzali w nim tylko godziny przeznaczone na sen i posiłki.

W drugiej połowie września rozpoczęły się częste polowania, co skłoniło Pencroffa do ponownego dopominania się o broń palną, którą, jak twierdził, Cyrus Smith obiecał. Inżynier, wiedząc dobrze, że bez specjalnych narzędzi wykonanie nadającej się do użytku strzelby jest prawie niemożliwe, ciągle się wymawiał i odkładał to na później. Zwracał uwagę Pencroffowi, że przecież Harbert i Gedeon Spilett stali się biegłymi łucznikami i że od ich strzał padają najrozmaitsze wyśmienite zwierzęta: kangury, aguti, kapibary, gołębie, dropie<sup>207</sup>, dzikie kaczki, bekasy, krótko mówiąc, wszelka opierzona i pokryta sierścią zwierzyna. Można więc było poczekać na doskonalszą broń. Ale uparty marynarz nie dał się niczym przekonać i wciąż niepokoił inżyniera, popierany w tym zresztą przez Gedeona Spilletta.

— Jeżeli na wyspie — mówił reporter — mieszkają, jak można podejrzewać, drapieżne zwierzęta, to powinniśmy pomyśleć zawczasu o walce z nimi i ich wytepieniu. Może nadejść taka chwila, że będzie to najpilniejszą sprawą.

W tym jednak czasie Cyrusa Smitha zajmowała nie tyle sprawa broni palnej, co problem odzieży. Dotychczasowe ubrania kolonistów wytrzymały tę zimę, ale do przyszłej nie mogły dotrzeć. Trzeba było za wszelką cenę zdobyć skórę mięsożerców lub wełnę przeżuwaczy, a ponieważ muflonów nie brakowało, należało pomyśleć o sposobie utworzenia z nich stada, które można by hodować na potrzeby kolonii. Zagroda dla zwierząt domowych, kurnik dla ptactwa, jednym słowem założenie fermy hodowlanej w jakiejś części wyspy — oto były dwa najważniejsze zadania do wykonania w czasie pory ciepłej.

Dlatego też, ze względu na to przyszłe gospodarstwo, pilną sprawą stało się zbadanie nieznannej dotąd części Wyspy Lincoln, to znaczy wysokich lasów, rozciągających się na

<sup>207</sup>dropie (biol.) — rodzina dużych ptaków, do której zaliczają się największe obecnie żyjące ptaki latające; dropie zamieszkują Europę, Azję, Afrykę, a jeden z gatunków także Australię; europejski drop zwyczajny jest obecnie gatunkiem zagrożonym wyginięciem, na terenie Polski wymarłym. [przypis edytorski]

prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia, od jej ujścia aż do krańca Półwyspu Wężowego, a także całego wybrzeża zachodniego. Na to potrzeba było stałej pogody, a więc należało poczekać jeszcze z miesiąc z podjęciem takiej wyprawy.

Oczekiwali więc z niecierpliwością na tę chwilę, gdy nagle zdarzył się wypadek, który ponownie wzmógł w nich pragnienie zbadania całej ich posiadłości.

Było to 24 października. Tego dnia Pencroff wybrał się obejrzeć doły, które zawsze utrzymywał w dobrym stanie, zaopatrzone w przynętę. W jednej z nich znalazł trzy zwierzaki, niewątpliwie bardzo pożądane w kuchni. Była to samica pekari z dwoma młodymi.

Pencroff powrócił do Granitowego Pałacu zachwycony swoją zdobyczą i po przybyciu, jak zwykle, zaczął się nią głośno chwalić.

— No, będziemy wreszcie mieli wyborny obiad, panie Cyrusie! — zawołał. — I pan, panie Spilett, skosztuje tego...

— Czemużby nie — powiedział reporter — ale co to będzie za przysmak?

— Prosiątko!

— Tylko prosiątko, panie Pencroffie? Słuchając pana, sądziłem, że przyniósł pan co najmniej kuropatwę z truflami.

— Jak to?! — wykrzyknął Pencroff. — Czyżby pan miał przypadkiem pogardzić młodym prosięciem?

— Nie — odpowiedział Gedeon Spilett, nie okazując żadnego entuzjazmu. — Owszem, byleby się go nie nadużyło...

— No, no, dobrze już, dobrze, panie dziennikarzu — odciął się marynarz, rozdrażniony takim lekceważeniem swojej zdobyczy. — Udaje pan wybrednisia? A siedem miesięcy temu, gdyśmy wylądowali na tej wyspie, nie posiadałby się pan z radości, napotkawszy taką zwierzynę...

— Otóż to — odpowiedział reporter. — Człowiek nigdy nie jest ani doskonały, ani zadowolony.

— No, co tam — ciągnął dalej Pencroff — tego jestem przynajmniej pewny, że Nab się dziś popisie. Popatrzcie. Ta parka pekari ma zaledwie trzy miesiące. Będą delikatne jak przepiórki... Chodź, Nabie, chodź! Ja sam dopilnuję ich upieczenia.

Marynarz, prowadząc za sobą Naba, poszedł do kuchni i pogrążył się w pracy nad przyrządzaniem ulubionej zwierzyny.

Zostawiono mu pełną swobodę. Obaj z Nabem przygotowali wspaniałą ucztę złożoną z dwóch pekari, zupy z kangura, wędzonej szynki, orzeszków pinii, napoju z korzenia smokowca, herbaty Oswego — słowem ze wszystkiego, co mieli najlepszego. Ale wśród wszystkich potraw w pierwszym rzędzie figurować miały smakowite, duszone pekari.

O piątej podano obiad w dużej sali Granitowego Pałacu. Zupa z kangura parowała na stole. Uznano ją za wyborną.

Po zupie przyszły pekari. Pencroff chciał sam je pokroić i poobdziałał współbiedników olbrzymimi porcjami.

Prosiaki były rzeczywiście wspaniałe i Pencroff pochłaniał swoją część z wielkim apetytem, gdy naraz krzyknął i zaklął.

— Co się stało? — spytał Cyrus Smith.

— Stało się... stało się... że sobie złamałem sobie ząb! — odpowiedział marynarz.

— Ech, czyżby w pańskich pekari były kamyki? — zapytał Gedeon Spilett.

— Widocznie tak — odpowiedział Pencroff, wyjmując z ust przedmiot, który go przyprawił o utratę zęba.

Nie był to bynajmniej kamień... Było to ziarnko śrutu...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/verne-tajemnicza-wyspa-tom-i/>

Tekst opracowany na podstawie: Jules Gabriel Verne, Tajemnicza wyspa, Nakładem księgarni Seyfartha i Czajowskiego, Lwów 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Justyna Lech, Kotwica Wojciech, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5592-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.